Anthony G. Lewandowski.

ŚWIĘTY GAJ

Sacred Grove
(Part III of The String Man)

Tegoż autora poprzednio wydane:

GODY ŻYCIA. Dramat współczesny w 4 aktach 1.50
TOPIEL. Dramat w 3-ch aktach 1.20
WYZWOLENIE. Mocnego człowieka cz. II. . . 2.—
ZMIERZCH. Synów ziemi cz. III. i ostatnia . . 1.80

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Sacred grove

ŚWIĘTY GAJ

»MOCNEGO CZŁOWIEKA«
CZĘŚĆ TRZECIA I OSTATNIA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

PRAWO WYDANIA I PRZEKŁADU NA JĘZYK ROSYJSKI TEJ POWIEŚCI NABYŁ »NAKŁAD POLSJA« (W. ANTYK) W MOSKWIE.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

1913

UKOCHANEJ ŻONIE

I JEDYNEMU PRZYJACIELOWI W PRACY

JADWIDZE

POŚWIĘCAM.

Polish Bk. Imp. Co 1/14/18 $1.50

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/swietygaj0000unse

»Święty Gaj« stanowi trzecią i nierozerwalną część—nie trylogii, ale jednolitej powieści p. t.: »Mocny Człowiek«, którą autor z przyczyn od niego niezależnych, na trzy części rozerwać musiał i w pewnych odstępach czasu wydawał. Kto zatem z czytelników chce sobie wyrobić sąd o całej powieści, musi przeczytać w jednym związku, wszystkie trzy części, jako całość: I »Mocny Człowiek«, II »Wyzwolenie«, III »Święty Gaj«.

AUTOR.

I.

Pan Zygmunt Ligęza ważył ciężkie i przykre myśli w swej głowie.

Zupełnie siebie nie poznawał. Odkąd poznał tego demona, tę dziką Nastusię, całkiem się na ręby wywrócił.

Już od tygodnia przysięgał sobie, że wyjedzie i uwolni się od niej, ale czuł z dnia na dzień, że się to staje coraz trudniejszem, ba! nawet wprost niemożliwem.

Całkiem go opętała. W domu usiedzieć nie mógł, z zegarkiem w ręku obiegał niecierpliwie pokój, rychło-li nadejdzie wyznaczona mu godzina. Furami skupywał kwiaty, codziennie odbywał narady z najmodniejszym jubilerem, pozwalał sobie wmawiać co najkosztowiejsze rzeczy, i to wszystko składał pokornie i wdzięcznie u stóp swego bożyszcza.

Wieczory spędzał w teatrze; z zapartym oddechem, gorączkowo rozpalonemi oczyma

śledził jej istotnie mistrzowską grę, śmiał się z nią razem, płakał i szalał, gdy ona szalała, żył jej tryumfem, cały świat nie istniał dla dla niego — nie zauważył nawet, że swem roznamiętnionem skupieniem, wytężonem na scenę, zwracał uwagę całego teatru, bo zblazowanej i wytwornej publiczności tego rodzaju zainteresowanie wydawało się czemś parafiańskiem: pana Zygę poza genialną Nastusią nic nie obchodziło — nie widział nawet szyderczych ukłonów znajomych, a biegnąc do niej, po skończonym widowisku, był tak roztargniony, że już całkiem ordynarnie przepychał się przez stłoczoną publiczność.

Prosta jego dusza została nagle wypchnięta z równowagi, a teraz staczała się z niewiarogodnym pędem—dokąd? nie wiedział, czuł tylko niejasno, że tam, gdzie wreszcie spocznie, będzie, jak sobie zlekka uświadamiał, płacz i zgrzytanie zębów.

Pan Zyga był wprawdzie żonaty, ale jego miłość do aktorki cóż mogła mieć wspólnego z jego małżeństwem? Żona — żoną, a co innego mieć piękną artystkę za kochankę... To są rzeczy, które całkiem się godzą, właśnie dlatego, że z sobą nic nie mają do czynienia. A zwłaszcza jeżeli ma się to szczęście i posiada na wyłączną własność małżonkę, która pozostawia absolutną swobodę ruchów, o nic się

nie pyta, nie śledzi, ani nie bada, żadnych przeszpiegów nie czyni, co wprowadza zgoła nic, do małżeństwa przykry pierwiastek. Pozatem pan Zyga nie potrzebował sobie robić żadnych wyrzutów — o ile zdołał przy wspólnych obiadach i śniadaniach wymiarkować, żona czuła się doskonale i wcale się nie nudziła, bo któżby, a raczej któraż kobieta mogłaby się nudzić w towarzystwie tak nieocenionego, słynnego na całą Polskę przyjaciela, jakim jest Bielecki.

A o żonę swoją lękać się nie potrzebował: zimna, jak głaz — nie do zdobycia — piękna, bo piękna, ale nie do zdobycia.

Myślał o niej z rozrzewnieniem i z głębokim szacunkiem, a przez chwilę z goryczą. Bo istotnie był w głupiem położeniu: miał niby to żonę — i nie miał jej: troszkę to było kłopotliwe — nawet wspólnej sypialni nie posiadał.

Ten ostatni argument był atoli zarazem czemś bardzo dla pana Zygi uspokajającem: któż może się jemu przy tak anormalnych warunkach dziwić, że dla swego temperamentu, zdrowia, ognia i wszelakiej tężyzny jakieś ujście znaleść musi.

Wprawdzie nie było jeszcze tak źle, by kościół katolicki mógł mu dać z powodu »matrimonium imperfectum« rozwód, ale tyle za każdym razem było próźb, zachodów, błagań —

z przeciwnej strony tyle niechęci, wymówek i mrożącego zimna, że pan Zyga zwolna się wystudził.

A tu nagle zyskuje względy jednej z najsłynniejszych artystek, z dumą pokazywać się z nią może na mieście w automobilu—w pierwszorzędnych restauracyach, dwa razy w loży w operze, gdy Nastka w dramacie nie występowała — czuł radosne ciągotki, gdy się wszystkich lornetki na nich zwracały, a mężczyźni zielenieli z zazdrości.

I któż mógłby mu się dziwić?!

Co innego niepokoiło pana Zygę. W jego mózgu roiło się od liczb - czarne, potworne kółka, kreski, znaki matematyczne, które się nagle ożywiały, układały się w łany pszeniczne, inne wyglądały, gdyby olbrzymie buraki, inne zaś, gdyby iglaste, albo też liściaste drzewa wielkiego lasu. Jedna pozycya ustawiła mu się w kształt ogromnej stodoły, wypełnionej po samo poszycie sianem, inne zaś w kształt czarnej, zaoranej i już obsianej ziemi, której plon już na pniu był sprzedany.

Zakotłowało w głowie pana Zygi.

Szumiały łany pszeniczne w rozgłośnym rozhoworze, słaniały się ku sobie buki i jesiony i brzozy i dęby — poprzez niebotyczne sosny i hojary świszczał złowrogi wiatr zniszczenia — po błotnistych drogach ujrzał cały

korowód wozów, obładowanych burakami — ale to wszystko było jakby nie jego.

Zamajaczył mu się dramat Calderona »Circe«, w której wczoraj Nastkę tak oklaskiwał, że aż mu dłonie popuchły — a w którym Circe przy końcu rzuca się w krater wulkanu.

Tylko tą Circe nie była Nastka — Circe to raczej pieniądz, który ludzi w świnie i małpy przemienia — a Nastka wulkanem, w którego krater człowiek-świnia ten pieniądz rzuca: i łany pszeniczne i lasy i zboże na pniu sprzedane.

Przed jego oczyma rozpoczął się oślepiający taniec dyamentów, brylantów, topazów, szafirów, złotych naszyjników, bransoletek, pereł — wszystko to zlało się w jakieś groźne, przerażające słońce, które się w on wulkan stoczyło.

Naszyjnik z pereł dwadzieścia tysięcy rubli, kolia brylantowa blizko trzydzieści tysięcy — same kwiaty i perfumy blizko dwa tysiące — o modniarce nie śmiał już pomyśleć...

Zimny pot wystąpił mu na czoło.

Ujrzał spustoszony krajobraz: las wycięty, zboża zaledwie na wysiew — buraki pod kuratelą fabryki...

Uspokajał się: no, no, tak źle jeszcze nie jest — pocóż się takiemi przykremi myślami trapić. Raz kozie śmierć — do dyabła! Jak użyć,

to użyć! Inny pojechałby do Monte Carlo i tam się spłukał do nitki i coby miał z tego?

Ja zaś posiadłem przepiękną kobietę, genialną artystkę, której mi cały świat zazdrości, potomność o tem wiedzieć będzie — no? i tego żałować? A! fe!

Za taką miłość, takie rozkosze i pieszczoty, jakiemi go Nastka darzy, królewskich skarbów byłoby za mało.

Spojrzał na zegarek:

Za pół godziny Nastka próbę ukończy — pojadą automobilem za miasto, gdzie pan Zyga odnalazł wcale przyjemną restauracyę, której gospodarz umiał nawet najwybredniejszych gości zadowolnić, a bajońskie sumy za każdą drobnostkę były tylko przynętą dla panów Zygów.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Pan Zyga drgnął, jakby w jasnowidzeniu: proszę!

Do pokoju wpadła rozpromieniona Nastka i rzuciła się panu Zydze na szyję.

— Tak byłam stęskniona za tobą, że próbę przerwałam i pędziłam prosto do ciebie... Och ty mój słodki — kocurze, ty niepoprawny rozrzutniku — jak ci podziękować za tę cudowną kolię... Dziś rano, jak się obudziłam, otrzymałam ją... Wiesz, co zrobiłam? Całowałam całowałam bez końca, i myślałam o tobie... Ale

coś ty taki niespokojny? Lękasz się małżonki? A przecież mówiłeś, że osobno mieszkacie...

Pan Zyga się zaperzył.

— Ale cóż znowu? myśmy się po wielkopańsku urządzili — jedno skrzydło zajmuje pani dobrodziejka, a w tem tu — moje niepodzielne panowanie.

Zrzuciła z siebie futro, kapelusz cisnęła gdzieś w kąt...

— No, rozgrzej mnie, rozgrzej słodki kocie: na dworze piekielnie zimno.

Pan Zyga schwycił ją, przygarnął do siebie — gorące dreszcze go zbiegły: Nastka była bez gorsetu. Całował ją bez opamiętania, a Nastka oddawała mu jego pocałunki z takim żarem i namiętnością, jakiej jeszcze — tak mu się zdawało, u niej nie zaznał.

Kocha mnie, kocha! Serce mu piersi z rozkoszy rozpierało. Teraz dopiero poznał, co to miłość...

Jeszcze silniej przycisnął ją do siebie, tak że jękła z rozkosznego bólu i tak nierozerwalnie, w zapamiętałej chuci zwarci, padli na otomanę.

— Teraz nie! — broniła się Nastka — poczekaj — pojedziemy za miasto.

Dziś cały dzień będziemy razem — dziś nie występuję.

— Jakie szczęście, że znowu cały dzień razem spędzimy — szeptał namiętnie — ja już na zawsze przy tobie zostanę.

W oczach zamajaczył mu straszliwy wulkan, w który Circe się rzuca.

I tem silniej cisnął ją do siebie i w zacietrzewionej niepamięci wszystkiego, co się naokół niego działo, nie słyszał, jak się zwolna otworzyły drzwi, nie widział, że żona jego w nich stanęła.

Nastka doskonale słyszała zbliżające się kroki na kurytarzu, słyszała skrzypnięcie drzwi, uczuła zimny przewiew, jaki się z korytarza do pokoju wcisnął, a serce jej roześmiało się cynicznym, łobuzerskim chichotem.

Będziesz ty miał za swoje, biedny kocurze, pomyślała i z genialnie odegranym gestem jakiejś bezpamiętnej namiętności rzuciła się na pana Zygę.

Nina chwilę cofnęła się z niesmakiem, a potem powiedziała głośno:

— Przepraszam za niedyskrecyę, ale tu nadszedł jakiś pilny telegram — podeszła do stołu i położyła na nim telegram.

Przez jednę chwilę zdawało się panu Zydze, że to jakiś szatański majak, zerwał się, jakby go ktoś ukropem zlał, piorunująco szybkim ruchem, przy której to nagłości niespo-

dzianej ruchu, Nastka spadła z otomany na podłogę, ale w tej chwili podniosła się, zebrała i poprawiła machinalnie sukienki, siadła na fotelu i jakby się nigdy nic nie stało, oglądała z zajęciem paznogcie.

Jak w wizyi ujrzała dyabelskim uśmiechem wykrzywioną twarz Bieleckiego.

Jak dobrze się stało, żem ci, mimo twej wiedzy, taką przysługę wyświadczyć mogła — pomyślała — zasłużyłeś na to.

I dalej oglądała paznogcie.

Pan Zyga trząsł się i drżał cały — nie był w stanie pojąć, by to mogła być rzeczywistość — bladł i czerwieniał, roztworzył usta — nie mógł wykrztusić ani jednego wyrazu, aż wreszcie z wielkim wysiłkiem bąknął:

— To nieporozumienie!

— Ale gdzieżtam! — odpowiedziała Nina z zagadkowym uśmiechem — to wcale nie nieporozumienie — to tylko moja nieuwaga, że przedtem nie zapukałam do drzwi. Proszę mi wybaczyć to roztargnienie.

Pan Zyga obrócił się w słup soli.

Był, jak sparaliżowany — szczęki poruszały się tam i sam, ale głosu wydobyć nie mógł, chciał podejść do żony, ale kroku zrobić nie mógł — tylko ręce błądziły nieporadnie wokół marynarki.

— Do widzenia! — Nina kierowała kroki ku drzwiom.

— Nino! — krzyknął pan Zyga.

Nina zniknęła.

A na fotelu w spazmatycznym śmiechu wiła się Nastusia.

II.

— Nino, zaklinam cię na wszystko — jam nic, nic nie winien, to była ze strony panny Żegoty komedyancka sztuczka — nic więcej... ja poza tobą nic nie widzę — ty jedna dla mnie istniejesz — cóż mnie może jakaś komedyantka obchodzić?

Ligęza był bardzo skruszony i już od pół godziny błagał i zaklinał, podczas, gdy pani Nina spokojnie pakowała swoje rzeczy...

— Nino! błagam cię na wszystko — nie rób mi tego wstydu, tej sromoty — na cóż ci się zda, tak mnie unieszczęśliwiać? Przecież wiesz, że bez ciebie wyżyć nie mogę — na rękach cię nosiłem — myśli twoje czytałem — a teraz — teraz, gdy mnie jakaś komedyantka podeszła, poprostu skusić chciała — a wierz mi, że wszystkiemi siłami się broniłem — co dla mężczyzny nie jest zbyt łatwe — teraz chcesz mnie opuścić?

Pani Nina zamknęła wieko ciężkiego kufra, siadła na nim, popatrzyła uważnie na Ligęzę i uśmiechnęła się.

— Słuchaj, Zyga, tak cię będę i nadal nazywała, o ile zechcesz zostać moim przyjacielem, bo mężem moim już przestałeś być. Ale jeżeli ci na tem coś zależy, bym cię za przyjaciela uważać mogła, to przestań być tchórzem i kłamcą. Tobie się zdaje, że ja cię opuszczam dlatego, że ciebie i pannę Nastkę na gorącym uczynku schwyciłam? — mylisz się — ja już oddawna wiem, co się święci — i gdybym cię kochała, nie byłabym tego wszystkiego zniosła — ale to mi wszystko było obojętnem. Kompromitowałeś siebie i mnie wprost w niepoczytalny sposób przez cały miesiąc, ale i to nie byłoby powodem dla mnie, by od ciebie odejść... Musiałabym kłamać, gdybym chciała powiedzieć, że odchodzę dlatego, iż cię z Nastką w bardzo niedwuznacznej pozycyi zastałam. Odchodzę wprost dlatego, że cię nie kocham! A prostytucyi — małżeństwo bez miłości jest prostytucyą — uprawiać nie chcę i nie mogę.

Ligęza patrzył nieprzytomnie na Ninę.

— Moją żoną jesteś! — wyrzucił wreszcie — nie mogło mu się w głowie pomieścić, by żona śmiała nie kochać męża.

— Przestałam już dawno nią być — nie

szukałam nawet sposobności, którą mi twoja zdrada nasunęła — tak, czy tak, byłabym od ciebie odeszła.

— Żoną moją jesteś! Oczy Ligęzy krwią nabiegły, zdawało mu się, że wszystkie żyły w jego skroniach popękają.

Pani Nina się zachmurzyła.

— Cóż to znaczy? Twoją rzeczą jestem — własnością twoją, czy co?

— Mnie przynależysz! Ligęza dławił się, chciał cały potok słów z siebie wyrzucić, ale zakrztusił się i tylko ochrypłym głosem powtórzył.

— Moją żoną jesteś!

Nina patrzyła na niego zdziwiona.

— Byłam twoją żoną tak długo, jak nią być mogłam, a ponieważ teraz sobie uświadomiłam, że nic mnie z tobą nie wiąże, że nawet odrobiny przywiązania do ciebie nie mam— więc sprawa jasna. Jesteśmy wolni. Ja pójdę swoją drogą, a tyś na tyle bogaty, by pannę Nastkę powieźć na jakiś miesiąc na twoją wieś — dłużej tam nie wytrzyma...

— Milcz! — Ligęza dygotał na całem ciele.

— Słuchaj Zyga, bądź rozsądnym — rozpatrz sprawę z innego punktu widzenia. Przecież nie będziesz chciał wywoływać skandalu. Czy chcesz, bym sama rozpoczęła proces rozwodowy? Kłamać nie możesz, bo ta twoja

miłosna awantura aż nadto dobrze w całem mieście znana.

— Zaklinam cię! wybacz mi!

— Nie mam ci nic do wybaczenia, a zresztą, gdyby nawet jakaś przyczyna była, to, g d y b y m c i ę k o c h a ł a, chętniebym ci wybaczyła, ale ponieważ jesteś mi obojętny, a ja z tobą żyć dłużej nie chcę, więc jeślibyś się nie zgodził na dobrowolne, spokojne rozstanie, to kto wie, czybym na prawnej drodze uwolnienia z tak zwanych pęt małżeńskich nie poszukała...

Myślała, że otrzyma jakąś odpowiedź, ale dziwna rzecz: przez długą chwilę zaległo głuche milczenie.

W mózgu Ligęzy odbywała się ciężka praca.

Patrzyła na niego z zajęciem, bo cała twarz jego się zmieniła. Oczy nagle zapadły — czoło zaorało się w głębokie bruzdy, zdawało się, że nagle policzki schudły, tylko usta drżały nerwowo, jakby ich nie miał w swej mocy.

Poczęło mu świtać w głowie.

Słyszał dzwoniące, bębniące jakieś »Aha!« zrozumienia w swym mózgu, ale nie wiedział jeszcze, co to »Aha!« ma oznaczać.

Całą siłą rozpaczy skupił się w sobie.

Jeszcze nigdy — nawet w najcięższych chwilach mózg jego z takiem natężeniem nie

pracował. Czuł to, jak dotkliwy, szarpiący ból fizyczny.

Że jego Nina nie kochała, to czuł dobrze— ale ponieważ była dobrą żoną... no... no... czekaj — zaraz! Aha! Nina, ni stąd, ni zowąd nie chciałaby odejść, nawet, gdyby... syknął na wspomnienie Nastki — a więc pokochała...

I teraz nagle zrozumiał:

Bielecki!

Tak, tak — tylko on!

Twarz wykrzywiła mu się bolesnym skurczem.

Ninę zdjęła litość, wstała, podeszła ku niemu, wzięła go za rękę i mówiła;

— Bądź rozumny i sprawiedliwy, Zyga! Rozumny o tyle, że przecież wiesz, że miłości wymusić nie można — jeżeli jej niema — sprawiedliwy o tyle, że wiedziałeś, że gdym wyszła za ciebie, byłam za młodą, by zrozumieć, że do małżeństwa miłość potrzebna. I tobie żadnego wyrzutu nie robię, przeciwnie, dziwię się, żeś dotychczas nie popełnił większego szaleństwa, aniżeli to z Nastką.

Ligęza słyszał to wszystko, jak przez grubą, gęstą mgłę.

— Pocóż masz się dalej męczyć? rozstańmy się dobrowolnie i w zgodzie.

Ligęza zerwał się nagle:

— Bielecki! — syknął.

Spojrzała na niego poważnie.

— Tak! Bielecki.

— Ten szatan cię opętał — ten, ten, który mnie z tą aktorzycą zrajfurzył.

Nina odsunęła się od niego.

— Bacz, bym nie musiała myśleć, że masz ordynarną duszę. Mnie żaden Bielecki, ani ktokolwiekbądź opętać nie zdołał. Jeżeli pokochałam, to mogłabym kochać i bez opętań i wzajemności, ale kochając innego, nie mogłabym się w małżeństwie prostytuować...

Jakby go ktoś w lodowatej przerębli zanurzył — wstał ociężale, zatoczył się. przyszedł do równowagi.

— Aha! tak rzeczy stoją!—w Ligęzie zaszła niepojęta zmiana.

— Teraz wszystko rozumiem. Ten szatan wyzyskał chwilowy mój szał i chęć użycia i podsunął mi tę dyablicę...

— Wstydź się Zyga — brać tyle rozkoszy miłych chwil od kobiety, a potem ją błotem obrzucać.

Ligęza zastanowił się.

— Masz racyę — wy wszyscy macie racyę — wy jesteście tacy nieskończenie mądrzy, sprawiedliwi i tacy — tacy podstępni...

Zerwała się, szarpnęła go za ramię.

— Ty możesz o mnie powiedzieć, że jestem podstępną?

— Ty nie, ale ci inni...

Stanął przy drzwiach, patrzył na nią długo, a potem powiedział:

— Żegnaj mi! i wyszedł.

Na korytarzu znowu przystanął.

Oparł się plecami o ścianę, bo nogi pod nim drżały.

Tysiące myśli krzyżowało się przez jego mózg, ale żadnej przygwoździć nie mógł. Miał wrażenie, że lata z klapką na muchy po pokoju, chce jakąś natarczywą ubić, ale żadnej dogonić nie może — a! gdyby to była jedna, ale całe setki! Jak temu plugastwu się opędzić? Jadowitemu, złemu plugastwu — inaczej tego nie mógł nazwać, co się w jego mózgu roiło.

Jeden tylko przeciągły ryk posłyszał w tej pogmatwanej, niemożliwie splątanej symfonii swoich niesfornych myśli:

Bielecki! Bielecki!

Skupił całą uwagę naokoło tej najjadowitszej i najwięcej natrętnej muchy — ależ nie! to krwiożercza pluskwa, obrzydły karaluch... Więcej jeszcze: to upostaciowanie Judasza... Odetchnął wyzwolony — znalazł wreszcie dosadne określenie:

Judasz! Judasz!

Teraz wezbrała w nim taka wściekłość, że od razu myśli jego porządkować się poczęły.

Pragnienie zemsty napełniło go energią i przedsiębiorczą chęcią odwetu.

Poszedł do swego pokoju i zadzwonił.

— Wielmożny pan sobie życzy? — pytał lokaj.

— Jeżeli pan Bielecki tu przyjdzie do hotelu, proszę go natychmiast do mnie poprosić.

Zaczął błądzić po pokoju.

A Judasz! Judasz!

Gwałtowne ruchy wprowadzały zwolna równowagę w wzburzoną falę ciemnego jeziora mózgu pana Ligęzy.

Co za piekielny podstęp!

Naraił mi Nastkę, by tem łatwiej mi moją piękną żonę uwieść. I w tem wszystkiem pewno Nastka nic nie winna — na wspomnienie Nastki zwolna się uspokajał — oczywiście, że Nastka Bogu ducha winna... Nastka od niego zależna, bo w przyszłych dramatach może jej dać rolę, lub nie. — Nie, nie — zamyślił się głęboko... Pewno Nastce powiedział, by mnie odwiedziła, a sam tymczasem sfingował telegram. — No nie! bo telegram był od rządcy jego dóbr — w każdym razie Nastka postąpiła lekkomyślnie, ale nie podstępnie.

Znowu zadzwonił.

— Wielmożny panie?

— Proszę mi przynieść flaszkę koniaku.

Gdy pan Ligęza po chwili wypił szklane-

czkę koniaku, coraz większa jasność weń wstępować jęła.

Nieokiełzana kobieta — pomyślał nawpół jeszcze z żalem — nawpół z uczuciem dumy. Jednak mnie bardzo kochać musi, jeżeli nawet próbę przerwała, aby do mnie przybiedz! To co innego, jak ta moja żona — myśli jego się rozgoryczały i poczęły się buntować:

Żona! żona! Chyba od parady! Prawdziwej rozkoszy zażył tylko przy Nastce.

Zawstydził się teraz głęboko, że wobec Niny starał się Nastkę spospolitować, a nawet ją lżył.

I jeszcze głębiej się zawstydził, gdy sobie przypomniał, co mu na to Nina powiedziała: że to brudna rzecz lżyć kobietę, która rozkosz dała.

Tak to rzeczywiście chamska rzecz — pomyślał.

Co, psiakrew, za świństwo popełnił, jeżeli własna żona zdradzona musi kochankę brać w obronę!

Tę krzywdę musi Nastce po królewsku wynagrodzić.

Przed oczyma jego stanęła Nastka, a myśli jego nabierały pieszczotliwego połysku i poczęły się rozgrzewać.

Co za biust! co za biodra! Jaka namiętność w każdym ruchu — a czuł to doskonale —

bez jej pieszczot nie mógłby się już teraz obyć!

Wychylił drugą szklankę koniaku.

Czuł się prawie rozweselonym.

Właściwie nic złego się nie stało. Niech moja żonka ma swoją wolę... zastanowił się: czy ty idyoto nie widziałeś, że twoja żona wyraźnie tobą pogardza?! Rozgniewał się: jak najwyraźniejsze lekceważenie i pogarda! Czyż tak postępuje żona wobec męża, choćby go na gorącym uczynku spotkała? Popłacze, awanturę zrobi, ale gardzić nie będzie, ani też ni stąd ni zowąd opuszczać!

Dobrze więc! Zgadzam się — ale na tym Judaszu pomścić się muszę! Pomszczę się! — zgrzytnął zębami.

Począł więc rozważać szanse pojedynku.

W tej chwili usłyszał pukanie do drzwi.

— Proszę!

— A! pan Bielecki!

Bielecki wyciągnął na powitanie rękę, ale Ligęza udał, że tego nie widzi.

Bielecki zachmurzył się:

— Co to ma znaczyć?

— To, że marnemu Judaszowi ręki się nie podaje. — Ligęza stał wyprostowany, jakby kij połknął i mierzył Bieleckiego pogardliwym wzrokiem.

Bielecki patrzył na niego przez chwilę — potem wybuchnął szyderczym śmiechem:

— Tyś pewno dostał pomieszania zmysłów — zresztą nie dziw — właśnie wracam od Nastki, która mi całą twoją niefortunną przygodę opowiedziała

— To wszystko twoja intryga! — Ligęza przybrał groźną postawę.

Bielecki usiadł spokojnie na fotelu.

— Słuchaj Ligęza — tylko bez tych niepotrzebnych gestów. To, że Nastka cię kocha — i to tak gwałtowną miłością, że aż próbę przerwała, by do ciebie przylecieć, na to moich intryg nie było potrzeba.

Ligęza uczuł rodzaj rozrzewnienia na wspomnienie gwałtownej miłości Nastki, ale nie chciał dawać przystępu przyjaznym uczuciom.

— Myślałem, że jesteś moim przyjacielem, a widzę, żeś jest Judaszem!

Bielecki wyciągnął etui z papierosami, zapalił jednego z długim zachodem, zaciągnął się i zapytał zdziwiony:

— O czem ty właściwie pleciesz?

— Ty śmiesz mnie się pytać, o czem ja plotę?

— Czyś za mojemi plecami nie uwodził mi żony?

— Słuchaj, braciszku — Bielecki nagle spoważniał — tak się możesz o rozmaitych Nast-

kach wyrażać — ale twojej żony znieważać ci nie wolno!

Ligęza przetarł oczy ze zdumienia.

— Takie kobiety, do których twoja żona należy, ani się nie uwodzi, ani ich uwieść nie można — rozumiesz? Może nawet pokochać innego, ale pozostanie wierną. Ale co innego, jeżeli jej małżonek awanturuje się w tak waryacki sposób z jakąś aktorką, jak ty, że i ty i Nastka jesteście na wszystkich językach, że w całym teatrze o niczem innem nie mówią, jak tylko o waszym stosunku, uwaga publiczności na was tylko w teatrze zwrócona, i już powszechnie obliczają, ileś na Nastkę wydał, i obżałowują twoją bezgranicznie cierpliwą żonę — o! widzisz! to zmienia postać rzeczy. Tobie się zdaje, że na to, by twoja żona się o tem dowiedziała, było potrzeba intryg z mej strony? Mylisz się, kochany Zygo — przysiągłbym, że już oddawna wie o twoich eskapadach, a gdyby nawet nie wiedziała, to mocno podniszczony stan twego majątku prędzej, czy później, oczy by jej na wszystko otworzył.

Ligęza osunął się głęboko w fotel i patrzył ponuro przed się.

Bielecki coraz więcej się zacietrzewiał.

— Judaszem mnie nazywasz? Jakiem prawem? Jeżelim ci za to policzka nie wymierzył, to jedynie dlatego, że rozumiem, iż musisz być

wzburzony tą całą, wysoce niemiłą dla ciebie historyą. Judaszem nie byłem i żony ci nie uwodziłem. Powiedzieliśmy sobie, że się kochamy i to wszystko. To ty byłeś Judaszem dla swej żony.

Ligęza zerwał się — uszom nie wierzył.

— Tylko, mój kochany, bez moralnych oburzeń i patetycznych gestów — gdybyś nie był jej zdradzał w haniebny sposób przez cały miesiąc, to byłaby pogrzebała swoją miłość i znowu na wieś z tobą wróciła — i jabym wszystko w sobie zgryzł i żył tylko najcudowniejszem wspomnieniem, jakie człowiek mieć może.

Bielecki wstał.

— To wszystko, co ci miałem do powiedzenia. Jeżeli chcesz pojedynku, służę ci w każdej chwili — ale radzę ci tego zaniechać — lepiej zrobisz, jeżeli zaraz pojedziesz do Nastki, która cię z niepokojem i z gorącą miłością oczekuje.

Wyszedł.

III.

Bielecki już całą godzinę krążył naokoło pokoju.

Zupełnie nie pojmował, co się z nim działo. Raz po raz zbierał go taki lęk, że oddychać nie śmiał. Tysiące myśli zalewało mu mózg jakąś katastrofalną powodzią: a może ten jej, tak zwany, prawy małżonek ją wywiózł — zgwałcił — może ją mocą małżeńskich swych praw zmusił do czegoś — co — co... nie odważył się dalej myśleć... W głowie strzyknęło mu coś boleśnie, serce się skurczyło a ręce bezradnie błądziły po biurku.

Nie! to niemożliwe! Prędzejby się w kawałki posiekać dała, zaczem... Opanował go głęboki wstyd — jak śmiał coś podobnego o niej pomyśleć? już sama ta myśl była jej znieważeniem — ona — czysta, dziewicza... a jeżeli — no tak! — to bez jej współudziału — mimo wszystko czysta i niepokalana...

Bo ostatecznie, panie Bielecki, Bielecki majaczył, możesz nawet powiedzieć jaśnie wielmożny panie Bielecki — więcej nawet: Jaśnie Oświecony — nie jesteś tak mało oświecony i naiwny, by ci się mogło zdawać, że... że... Nina. —

Daj sobie do jasnego pioruna spokój!

O wszystkiem rozstrzyga pierwsze wrażenie.

Jeżeli od pierwszej chwili uczułeś, nie — nietylko uczułeś, aleś miał absolutne przeświadczenie, że Nina jest dziewicą, bo nią jest, a chociażby była matką kilkorga dzieci, to...

Począł filozofować:

Kobieta jest dziewicą tak długo, dopóki sama z gorącem pragnieniem mężczyźnie się nie odda — o tem wiedział już budhaizm, kiedy kazał się Budzie z niepokalanej kobiety porodzić.

W żadnym wypadku wtedy kobiety winić nie można — bo jeżeli pozwoli się gwałcić — a inaczej tego nazwać nie można — to spełnia męczeński, przez społeczeństwo lub rodzinę narzucony jej obowiązek, ale dusza pozostaje nietknięta.

Mąż — mąż! co za piekielna suggestya tego słowa! A to przecież prosta werbalna kategorya!

Jakiem prawem mogę wiązać kobietę z sobą

i zmuszać ją do tego, do czego ma wprost wstręt i obrzydzenie?

Widzisz panie Ligęzo, tych subtelności twój zakuty łeb nie jest w stanie pojąć, bo inaczejbyś postąpił i nie potrzebowałbym ci kazania na ten temat prawić.

To dla ciebie, panie Ligęzo, herezya — za którą, gdybyś był sędzią w średniowieczu, kazałbyś mnie kamieniami ubić, że ośmielam się targnąć na świętość sakramentu małżeńskiego, który w rzadkich wypadkach jest święty, a przeważnie głupim interesem, albo wprost zbrodnią gwałcenia, podlegającą kodeksowi kryminalnemu.

To są, musisz przyznać otwarcie, szanowny i czcigodny, a przedewszystkiem moralizujący panie Bielecki, ogólne komunały, funta kłaków w rzeczywistości nie warte, zdolne chyba wzruszyć i rozentuzyazmować wiec feministek, sufrażystek i wszelakiego rodzaju pań niezadowolonych z niewygodnych lub niezawartych związków małżeńskich, ale komunał ma właśnie to do siebie, że wywiera ślepą suggestyę na człowieka.

I mnie to uspokaja. Ponieważ przed niedawnym czasem odkryłem w sobie »człowieka«, co znaczy: zacnego i moralnego, a przedewszystkiem prawego człowieka, z którem to odkryciem się pani Ninie zwierzyłem — i to

przedwcześnie, jak się zdaje — więc muszę mieć dla każdego swego czynu usprawiedliwienie — a więc w tym wypadku fenomenalnie łatwe: żadnej krzywdy panu Ligęzie nie czynię, bo Nina jest dziewicą i nigdy mu nie przynależała.

Ponieważ człowiecze »noblesse oblige« wymaga usprawiedliwienia swego postępku, a czyni to najwygodniej i najskuteczniej za pomocą komunałów, więc ten obowiązek wobec siebie spełniłem i mogę teraz z lekkiem sercem powiedzieć: »Dziękuję ci Boże, że nie jestem, jako on celnik...«

A więc »facit« jest taki, panie Ligęzo: żona twoja, tak nazywają ludzie przed ołtarzem w niewolę pojętą kobietę, nie kocha cię, a więc w mojem znaczeniu nie jest twoją żoną, bo ja uznaję w tym wypadku tylko jeden sakrament, to znaczy: miłość.

A ponieważ w tym krótkim czasie, w którym Ninę poznałem, nie zdążyłem jeszcze na tyle się w »człowieka« przeobrazić i nie zdołałem jeszcze wskoczyć do ostatniego D-pociągu prawości, by módz zrozumieć, że twoja żona jest rzeczywiście twoją, więc muszę się na razie rządzić własnemi prawami, na mocy których ona nią nie jest, bo kocha mnie, a więc jest moją żoną.

Biorę ci zatem to, co mnie przynależy —

a nie zrobiłbym tego — bom dotychczas tego jeszcze nigdy nie robił i cudzych żon nie uwodziłem — gdybym jej sam nie kochał.

W całym chaosie i rozgwardyaszu mojego, pod ożywczą, słodką mocą Niny, poczętego człowieczeństwa, ten jeden pewnik istnieje, że ją kocham.

Broniłem się wszystkiemi siłami przed tą miłością, ale mimo, że jestem niezwykle mocnym człowiekiem, zostałem tem uczuciem tak znienacka zaskoczony, żem musiał uledz.

Miłość jest u mnie tak czemś niewiarogodnem, że sam potrzebowałem długiego czasu, by sobie ten nagły stan, który od pierwszej chwili, w której ujrzałem Ninę, uczułem, uświadomić i postawić dyagnozę, że niezmiernie przykry stan, poprzedzający błogie wniebowstąpienie, jest chorobą, zwaną miłością, jak Kant mówi.

I jakże to nie ma być patologicznym objawem?

Teraz naprzykład trzymam bezwiednie zegarek w ręku, by jak zwykle pobiedz do Niny i ręce jej całować i słuchać bezmiernej pieszczoty jej głosu — a zapomniałem, że jeszcze muszę dwie godziny czekać, bo nie upłynęła jeszcze doba, w której pan Ligęza mógł mi sekundantów przysłać.

Wprost mnie coś szarpie, by do niej po-

biedz — wściekły niepokój mną targa — bezustannie prześladuje mnie wizya tej chmury miedzianych włosów, tej drobnej twarzyczki, tych słodkich pieściwych rącząt — o niczem innem myśleć nie mogę, nawet gazety od tygodni całych do rąk nie brałem — a mimo, że jestem zobowiązany przeczekać w domu dwadzieścia cztery godzin, by się wreszcie owi sekundanci Ligęzy zjawili, wybiegłem wczoraj wpół nieprzytomny i krążyłem wokół hotelu Niny, by choć na błysk jednej sekundy tylko cień jej poza firanką ujrzeć: to wysoce męczące uczucie nazywają ludzie tęsknotą: najważniejszy atrybut miłości.

I, gdybym mógł na usprawiedliwienie mojej od miesiąca doszczętnie wykolejonej duszy, powiedzieć sobie, że miłość moja jest niczem więcej, jak tylko pożądaniem, to mógłbym być spokojnym.

Ale to jest tysiąckroć razy więcej... Hej! nie robiło się dużo zachodów ani z Łusią, ani nawet z Adą... dziesiątki kobiet przefrunęły przez jego mózg, przewiały, jakby w szalonym pędzie przez rozległą scenę — a tu jakaś dziwna nieśmiałość — więcej jeszcze: zbożna pokora — A, gdy pierwszy raz ją do siebie przygarnąłem, gdy usta nasze się w pierwszym pocałunku zwarły, uczułem tak bezmierną wdzięczność

i taką błogość, jak gdybym posiadł królestwo niebieskie.

Niema co: to miłość!

Kochał! Już się nie bronił przed tem uczuciem, chociażby zgubą jego i ostatniem zaprzepaszczeniem stać się miało. — Gdyby w jakiejś przepastnej czeluści zatonęła cała jego przeszłość, i Górski — przystanął — i Łusia — drgnął — no miejże odwagę, powiedzieć sobie wszystko, co się w tem wielkiem, świętem uczuciu stopiło!

Zgrzytnął zębami.

A więc na pohybel ukochanej babci, uroczej Adzie, wytwornemu Porajowi, szubrawemu Kotowiczowi i temu... temu, który jeszcze czuwa, tu razem ze mną tem samem powietrzem oddycha, nietoperzowemi skrzydły bezustannie wokół mnie krąży — ten wpleciony w moje sny, straszący na jawie, cichym krokiem ścigający mnie ustawicznie — może nie istniejący, a wszechobecny...

— Kto?! — krzyknął — i przeraził się swego krzyku.

— Uhera... Uhera — Surzyński — uśmiechnął się błędnie.

Co za Uhera? Kto? co? jak? Czy on istnieje? Czy mógłbym włożyć palec w ranę jego boku, która powstała wskutek śmierci Górskiego? Mógłbym spaść z konia wskutek oślepiającej

rzeczywistości i mocy jego istnienia i z Szawła stać się Pawłem? Przecież ja nic nie wiem, czy on wogóle istnieje — o tem Kotowicz wiedział, ale Kotowicz już dawno ziemię gryzie, bo gryzący również ziemię, książę Poraj wziął go, by się przypodobać Adzie, na zbyt celny strzał — a ja — ja — nic nie wiem! O żadnym Uherze — Surzyckim nic nie wiem!

A może ten Uhera — ten Uhera — Surzycki wcale nie istnieje, jak tyle rzeczy na Bożym świecie nie istnieje, które człowieka w najcięższy lęk smagają, niepokoją, a nawet i tak bywa — wprost w przepaść ostatniego szaleństwa wtrącają?!

Może to tylko wiatrak Don Quichota — straszak dla płochliwych wróbli?

Przedśmiertna złośliwość Kotowicza i przedśmiertna jego zemsta?

Dlaczegoż ja bezustannie się jakiegoś Uhery — Surzyckiego lękam?

Dlaczego w tej chwili zimny pot mi na czoło występuje?

Znowu wyciągnął machinalnie zegarek — jeszcze czas.

Teraz poczekam pół godziny. Jeżeli do tego czasu sekundanci pana Ligęzy się nie zjawią, wtedy każę zawołać automobil — i — na dworzec!

Tam już pewnie Nina czeka.

Nadsłuchiwał. Słyszał najdelikatniejszy szelest w całym domu — ucho jego było tak przeczulone na każdy szmer, że gdyby był pyłek spadł z posowy na podłogę, niechybnie by z wytężonem oczekiwaniem był podskoczył — a co najwięcej go męczyło, to to, że bezustannie w tej ciszy nocnej miał złudzenie zbliżających się i oddalających kroków.

Począł się teraz poważnie i głęboko nad sobą zastanawiać.

Obejrzał się dookoła.

Dlaczego zamienił cały pokój wprost na oranżeryę? Dlaczego kazał z całego miasta naznosić najkosztowniejszych kwiatów?

Po co przybrał się w odświętny strój i bieliznę, nawet lakierki?

Po co? na co? Niny się spodziewałem — myślałem, że choć na sekundę tu zajrzy — ale przecież wyraźnie się umówiliśmy, że dopiero na dworcu się spotkamy...

Coś z tobą w nieporządku panie Bielecki... tak postępujesz przez cały dzień nielogicznie i bezsensowo, że gotów ktoś pomyśleć, iż robisz to w przerażonym lęku przed sekundantami pana Ligęzy, a im się ani śni bronić honoru człowieka, który się w niepoczytalny sposób awanturował z Nastką i był na tyle głupi, że pozwolił się załapać własnej żonie na gorącym uczynku.

Gorąca wdzięczność rozlała się teraz w jego sercu dla Nastki. Co za niesłychana intuicya u tej kobiety! Skąd mogła przeczuwać, że i Ninie i mnie ręce rozwiązuje?

Ninie — bo już czcigodny i prawy pan Ligęza jej żadnych trudności stawiać nie może — mnie, bo spokojnie za pół godziny ten obecny padół płaczu, zgrzytania zębów, tryumfów i słusznych rozterek opuścić i namioty moje na innym terenie rozbić mogę.

Zdawało mu się, że drzwi skrzypnęły — ależ nie! to tylko deska podłogi ugięła się pod jego niespokojnymi krokami.

Sekundantów ani słychu, ani dychu!

A więc jestem w porządku.

Teraz wszystkie moje rachunki zlikwidowane.

Łusia, Ada, Poraj, Kotowicz — już im wszystkim krzyżyki na grobie postawiłem w zbożnem i pietyzmu pełnem nabożeństwie.

Pozostaje tylko wiecznie nieśmiertelny Górski, nieżyjący wprawdzie, ale którego czarną »kamą« dla mnie, jest niejaki Uhera-Surzycki, znany mi co prawda tylko ze słyszenia i złośliwego gadania niejakiego pana Kotowicza, śp. Kotowicza — daj mu Boże wieczne spoczywanie — ale, który musi istotnie istnieć, bo inaczejbym...

Co?

He! trudno! Nie czas na wybiegi.

Przerwał tok myśli.

Cóż u dyabła?

Takie to ślubne łoże sobie ścielesz? pomyślał nagle — taką rozkoszną girlandą myśli chcesz je opasać?

Rozpaczny skurcz ścisnął jego serce.

Oprzytomniał.

Zawstydził się, że nagle tak osłabł i to właśnie w tej chwili, gdy mu jutrznia nowego życia świtać poczęła — gdy miał już zerwać z przeszłością przez przepotężną moc miłości, która go już na zawsze i nierozerwalnie z Niną związała.

Znowu spojrzał na zegarek.

Teraz już uczyniłem zadość prawom, obowiązującym mnie jako owego człowieka, który ponoć się pod przemożnym wpływem miłości we mnie obudził — chciałem spełnić wszystko, co każdy gentleman i tak zwany człowiek honoru spełnić musi — ale, jeżeli Ligęza sekundantów nie przysłał, to ja ich sobie w nadmiernem poczuciu honoru na kark nasyłać nie myślę.

Właściwie byłoby wskazanem, by się głęboko namyślać, co teraz dalej będzie — ale ponieważ te refleksye musiałyby z natury rzeczy zająć dużo czasu, więc tego poniechał.

Cóż go jeszcze teraz obchodzić mogło?

Za pół godziny będzie na dworcu — między

tysiącem ludzi ujrzy ją, bo ludzi jest tysiące, ale ona tylko jedna — ujrzy miedziane zwoje włosów, prawie nie dające się okiełzać szerokim kapeluszem, ujrzy małą twarzyczkę, której »owal« dlatego jest tak piękny, że nie dałby się odcyrklować i tem samem stanowił jej wyrafinowaną piękność — a jakby w wizyi czuł ciepło jej drobnych rączek.

A co będzie dalej? brzmiał mu ustawicznie jeden i ten sam refren w uszach.

Co dalej? A cóż mnie to obchodzić może? Jedno tylko wiem, że Ninę kocham, a to przeświadczenie zupełnie mi starczy — jak najzupełniej, bo jeżeli bez miłości — a nie trudno mi się przyznać: żadnej kobiety dotychczas nie kochałem — dawałem sobie radę — cóż dopiero teraz, gdy się stworzyło uczucie nowe źródło potęgi miłości, siły, które jest w stanie Pelion na Ossę postawić, z idyoty zrobić geniusza, a Bieleckiego... ha, ha... Górskiego!

I może stanie się cud! Czegóż przez miłość dokonać nie można?

Zadrżał.

Może będę w stanie coś stworzyć?! Było to tak skrycie i lękliwie pomyślane, że na chwilę się zawstydził... a równocześnie czuł, że siła jego miłości jest tak wielką, że gdyby Nina powiedziała, by zrobił coś, co dla niego

wydawało się niemożliwością, to jednakby zrobić zdołał, bo ona tego chciała.

I przez błysk sekundy rozlał się w jego sercu cały ogromny, spieniony potok szczęścia.

Ale tylko na chwilę.

Takie cuda się nie dzieją, pomyślał i ugrzązł zrozpaczony prawie w fotel.

Zastanawiało go tylko, jak mimo tej miłości, która powinnaby stać się dla niego źródłem nowej siły i mocy, nie mógł się cieszyć tą »*vita nuova*«, ani też zbytnio się tego lękać, że go Ligęza w pojedynku ubije.

Ale to nie było taką głęboką zagadką: całe jego życie było oparte na kłamstwie, a, aby jedno kłamstwo na silnym fundamencie oprzeć, na to potrzeba tysiąca innych kłamstw — i to go tak męczyło i wyczerpywało, że już nie był w stanie odczuć tego szczęścia, że za kilkadziesiąt minut spotka się z Niną, że wsiądzie z nią do pociągu, że ich święta dobrotliwa łaska pary — w tej chwili nie znał większej świętości nad parę — wywiedzie w daleki świat, gdzie będzie mógł o wszystkiem zapomnieć — gdzie... mróz ściął jego żyły — gdzie tylko jeszcze Uhera-Surzycki pokutować nie przestanie.

Spojrzał znowu na zegarek — czas, kodeksem honorowym go zobowiązujący, już był minął.

Zamknął kufer i kazał zawołać automobil.

Nino! Nino! Ciebie już na zawsze do serca przygarnąłem — przez ciebie się dowiedziałem, że we mnie serce istnieje, i ty już na zawsze moją pozostaniesz, tak, jak ja twoim... ale równie dobrze wiem, że Uhery z ciężko obarczonych pleców moich zrzucić nie zdołam...

IV.

Zaledwie zdążyli wpaść do pociągu.

Właśnie w ostatniej chwili.

Tragarz wrzucił na kurytarz podręczną torbę — Bielecki przez okno rzucił mu pieniądze i pociąg ruszył.

Bielecki wynajął aż do granicy osobne coupé — przez kilka godzin mogli pozostać sami.

Zwolna wyjeżdżali poza dworzec — a potem pociąg się rozpędzał i z błyskawiczną szybkością pędził przed się poprzez śniegiem pokryte pola — pod ciężarem śniegu uginające się lasy — krystaliczna, przymarznięta śnieżność ogromnych przestrzeni biła blaskiem ku niebu — gwiazdy się iskrzyły, wschodzący księżyc zapowiadał swój pochód na niebie srebrzystą łuną, tak, że z okien przedziału widzieć było można cały krajobraz, jak daleko okiem sięgnąć.

Chwilę siedzieli przytuleni do siebie i przez długą chwilę słowa nie mówili.

Głowa jej spoczywała na jego piersiach objęła go ramionami: wszystko, jak przez sen.

Rozwiązał jej welonkę, zdjął kapelusz i wodził palcami po tej niepojęcie pięknej łasce jej miedzianych włosów, ale wciąż jeszcze milczał. — I wdzięczny był jej prawie, że i ona milczała. Teraz był już całkiem spokojny, teraz mógł już swobodnie, bez lęku, bez nerwowego wyczekiwania o wszystkiem pomyśleć.

Teraz, kiedy ją miał przy sobie...

Ujął ją w ramiona, położył na szerokiem posłaniu.

— Spocznij teraz chwilę — cała dygoczesz — pewnoś z strasznym lękiem mnie oczekiwała? a ja ani na sekundę rychlej przyjechać nie mogłem — musiałem odczekać ostatnią chwilę dwudziestoczterogodzinnego terminu.

Jak gibka trzcina zawisła na jego ramionach — oplotła go — i szeptała:

— Każda minuta była mi całą wiecznością — chwilami przytomność traciłam — gdyś automobilem nadjeżdżał — nie widziałam cię jeszcze, a już cię przeczułam — nogi się podemną uginały...

Nina mówiła w gorączkowem podnieceniu — Bielecki układał ją na wygodnem posłaniu wagonu.

Siadł przy niej, objął ją ramionami i gorąco tulił do siebie — usta ich zwarły się przez długą, długą chwilę.

— Gdybyś wiedziała, jakie ja męczarnie przeżyłem, gdym tak musiał bezczynnie czekać, by zadosyć uczynić kodeksowi honorowemu, gdym się z domu ruszyć nie mógł, gdym wreszcie jechał na dworzec w tej piekielnej niepewności, czy cię tu zastanę, czy... czy — czy przypadkowo Ligęza przemocą cię nie zatrzymał...

— O czem ty mówisz? — podniosła się nawpół na posłaniu i podparła na ręku.

— Mnie? Mnie przemocą zatrzymać? O nie! Miłością można mnie w najcięższe kajdany zakuć — ale przemocą nic ze mną zrobić nie można...

Opadła znowu na posłanie.

— Wybacz, jedyny — serce mi tak bije — niech się uspokoi — dziś w tej ostatniej godzinie czekania na ciebie zrozumiałam, jaka głęboka treść tkwi w tej poetycznej metaforze, że serce istotnie pęknąć może — pozwól — że chwilę całkiem cicho spocznę.

Całował jej ręce, całował jej suknię, a potem siadł na przeciwległem siedzeniu i zaczął myśleć, a raczej nie zaczął, tylko w dalszym ciągu prządł myśli z niesfornie poplątanego kłębka.

Ale myślał już raźniej — jaśniej — przeźroczyściej.

Z każdym kilometrem, którym się od tego miasta oddalał, uroczyściała mu dusza tem przeświadczeniem, że się lepszym staje, że się czegoś paskudnego pozbywa — że z starej, brudnej skóry się wyciąga, że pozostawił za sobą daleko już starą ruderę, w której mieszkał, a w której bezustannie czuł się, jak mokrym pyłem oblepiony — tak! ruderę — a nagle strzeliło mu do głowy: tak, tak! Uherę!

Drgnął: Uherę!

Uhera? — qu'est-ce que ça? A! — a! tak przecież nazwałem pana Surzyckiego, bo mi się złowieszcze nazwisko trochę małomieszczańskiem wydało... No — no! przypomnij sobie: U: — ciemne brzmienie — h: przydech niepokoju — c: małe zdumienie — r: zgrzyt — a: wyzwolenie... ale to »a«, na odwrót może być pogromem, — débâcle — Maciejowicami, a potem: finis!

Rozdrażniał się: finis? dlaczego głupi jakiś finis? chyba tym samym idyotycznym prawem, jakiem całemu pięknemu, niezmiernie kulturalnemu społeczeństwu wyło się przez całe stulecie: finis!?

Niedoczekanie wasze!

Błądziłem — biję się pokornie w piersi — w duszy mej są wszystkie cnoty — wady —

piękności i zbrodnie ostatniego z rodu Bieleckich, ale daleko jeszcze do »finis«!

Uhera — Surzycki!

— No i cóż z tego? Czyż to znowu taką zbrodnią, żem uratował od zagłady doskonałe — teraz już bez żadnej »rancune«, żadnej »animosité« — jak trudno się w tych wypadkach po polsku wyrazić — a więc doskonałe dramaty Górskiego od zagłady uratował?

Wydobędzie jakiś archiwaryusz z starych śmieci jakiś odwieczny dokument, już się staje słynnym na cały świat — wygrzebie się z grobów przeszłości jakieś dzieło — najprostszy nieużytek, który wskutek trudu archeologicznego, żmudnego odgrzebywania, staje się nagle arcydziełem — już się ma niespożytą zasługę — a ja, który wydobyłem rzeczywiście kapitalne dramaty na jaw, i to takie, którymi pięć teatrów wcale przystojnie i wydajnie żywot swój pędzi — czyż ja nie jestem rzeczywiście jednym z najwięcej zasłużonych?!

I cóż znaczy nazwisko — to, czy owo?

Spojrzał na Ninę. Nina miała zamknięte oczy — ale w tej chwili miał wrażenie, że jego myśli nadsłuchuje.

Nino! Nino! pomyślał z głęboką miłością — przecież ty musisz wiedzieć, jak mnie tym prostem powiedzeniem wyzwoliłaś...

Teraz chyba musi oczy otworzyć — był prze-

konany, że ona słyszy, co do niej w myślach szepce.

Ale Nina leżała wyciągnięta na posłaniu, rozluźniły się jej członki, jak Homer mówi — gdzieś w Iliadzie, czy też Odyssei — męczył się przez chwilę, by znaleść odpowiedni wiersz — ale napróżno — całkiem już mu greczyzna z głowy wywietrzała.

Zapatrzył się przez okno w śnieżny krajobraz — opanował go lekki sentyment... Tak stał całemi godzinami za stodołą folwarku swego ojca i patrzył i patrzył w śnieżno-niebieską równinę — wzdrygnął się — przypomniała mu się Ada, która gdzieś tam jakiemuś swemu opiekunowi stodołę podpaliła.

Swoją drogą była ciekawa ta Ada — Jezus Marya! zaprzestań — teraz jeszcze gotów zapokutować to wołyńskie książątko — ten tam Poraj, który tak sprawnie zrobił to, com ja zrobić był powinien, by pomścić — oddychał szybko — pomścić Łusię — za co pomścić? Że... że... zgrzytnął zębami, że nie chciałem — ja sam we własnej osobie podzielić mej wielkiej zasługi z Łusią, iż razem uratowaliśmy od zatracenia wiekopomne dzieło polskiej twórczości dramatycznej.

Poderwało go jakieś piekielne przykre uczucie:

Upiory! upiory!

A już mu się zdawało, że z chwilą, gdy to miasto opuści, będzie miał spokój — a tu przeciwnie: cały przedział pełen upiorów!

Przeskok wagonu z jednej szyny na drugą, wydawał mu się szyderskiem dudnieniem głosu Kotowicza, świst lokomotywy, która mijała jedną stacyę po drugiej, ostrzegającą świstawką Uhery — którego końcowe »a« coraz więcej przybierało znaczenie pogromu — a na domiar wszystkiego ukazała mu się babunia nieżyjąca, bo tak się przeraziła przypadkowo w płomieniach stojących firanek, że aż umarła, i jak najoczywiściej żyjąca, bo przez swą jakoby—śmiercią, była zmuszoną popłacić jego, Bieleckiego weksle, których nie podpisywała, a przytem była tak szlachetną, że ze względu na pamięć swego zięcia — i to jedynie z tego względu — zapisała swemu jedynemu wnukowi pięć tysięcy rubli — które to pięć tysięcy również szlachetny wnuk zużywa właśnie na to — on, ostatni z Bieleckich — by mógł raz wreszcie odetchnąć, choć przez czas jakiś nacieszyć i upoić się skarbem, którego nie kradł, tylko który już od początku swego istnienia mu przynależał...

Nino! Nino! Czemu ja cię już dawniej nie poznałem?!

Teraz zdawało się, że posłyszała krzyk jego serca.

Siadła na posłaniu i porzecierała oczy:

— Tyś mnie wołał — prawda?

Klął przy niej i pieścił się jej rękoma.

— Wołałem, ale zdawało mi się, że śpisz i nie śmiałem cię budzić.

Głaskała go po twarzy, zanurzyła swoje małe rączki w jego bujnej czuprynie i zapytała nagle:

— A dokąd ty mnie wieziesz?

— Dokąd? A czy ci to nie wszystko jedno? W słowniku zakochanych powtarza się ustawicznie jeden frazes: pójdę z tobą, choćby na koniec świata!

Nina spojrzała na niego zdziwiona.

Ten nagły przeskok od prawie zbyt tkliwej czułości do tego prawie również banalnego pytania — skąd się to u niego wzięło?

Zmiarkował się — czytał w jej oczach — tak rzeczywiście czytał: jeden dowód więcej, że ją istotnie kochał.

— Ach ty — ty! — przywarł ustami do jej ręki. — Myślisz, że nie widziałem zdumienia w twoich oczach, gdym ten oklepany frazes powiedział? Nie — nie! nie lękaj się — jak jestem zdenerwowany, to raz po raz powiem jakieś głupstwo — jakiś dziecinny żart — do tego będziesz musiała się przyzwyczaić...

Moja najdroższa — ty, ty jedyna... Dokąd cię wiozę? pytałaś — sam niewiem dokąd — w Wiedniu się namyślimy — to wszystko stało

się tak gwałtownie — może pojedziemy do Włoch...

Urwał.

Łusia mu się przypomniała — cała tragiczna historya w Porto Venere — żachnął się w myślach — wcale nie tragiczna, bo błogosławieni ci, którzy śpią, i ci, którzy są z kamienia i nic nie czują i ci, którzy nic nie przeczuwają, a jakiś Poraj im jednem pchnięciem sztyletu w serce — ułatwi zwrotną metamorfozę z człowieka w robaka, i błogosławiona moja babunia, którą sam widok palących się firanek już wyrzucił z łóżka i to tak niefortunnie, że, gdybym jej w sam czas nie był pochwycił, pęknięta jej czaszka, mogłaby policyę na rozmaite domysły sprowadzić.

Nina wpiła się w niego niespokojnemi oczyma:

— Coś się tak nagle zamyślił?

Uśmiechnął się i nagle spoważniał.

— Związaliśmy się na całe życie — tak? czy nie? — zapytał.

Nina spojrzała na niego pytająco:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Zrozumiał, że miał z kimś do czynienia, którego wola równie silną być mogła, jak jego własna.

Poczęło świtać w jego mózgu — ale jeszcze nie mógł się domacać — no — no! jakby to na-

zwać? podłoża? też nie — istotności? śmieszne! aha! nie zdołał dotychczas, jak mu się zdawało, pochwycić zasadniczego tonu słodkiej melodyi duszy Niny.

— Nino! my jesteśmy bardzo zdenerwowani, i może trochę podrażnieni — co ja chciałem powiedzieć? tyś przeczulona, tobie może się zdawało, że ja... ja... — roześmiał się na cały głos:

— Moja ty — tyś może myślała, ze zawierasz ze mną nowe jakieś związki małżeńskie — i przeraziłaś się — nie — nie! wolni jesteśmy, a nasze małżeństwo będzie się nazywało wolnością...

— Wolny związek? — zapytała Nina filuternie.

Odczuł odrobinę ironii w jej słowach i spojrzał na nią ciekawie:

— Słuchaj Nino — nasz związek małżeński niech już nie będzie wolnością, bo te wolne związki trącą starzyzną, ale niech się ułoży na szerokiej, jak najszerszej, a więc absolutnej szczerości — dobrze? Nigdy, w żadnej chwili, choćby najprzykrzejszej — nie będziemy sobie kłamać — dobrze?

Patrzył na nią przenikliwie.

— Spróbujmy od razu zastosować tę metodę w naszym związku... O czem ty teraz myślisz?

Pogłaskała go z lekka po twarzy:

— Byłeś daleko odemnie przed chwilą — tobie się zdawało, że ja śpię, a ja twoje myśli słyszałam — takie były głośne — jakbyś je w głos wypowiadał...

— Przyznam ci się, że nie były też wesołe.

— Ja wiem — szepnęła — ale nie mówmy o tem... są rzeczy, o których milczeć musimy — są rzeczy, które... zamyśliła się — które doszczętnie zapomnieć musimy i takie, o których nam nawet nie wolno wspominać — dla szczęścia naszego — prawda? wszak nie pozwolimy dać się obrócić w słup soli?

Znasz chyba biblię i znasz przykład żony Lotha.

Głaskała go bezustannie, a pieszczota tej małej, miękkiej ręki była dla niego czemś tak kojącem, tak nieskończenie rozkosznem, że zapomniał o wszystkich widmach, upiorach — dyabli wiedzą, jakich przywidzeniach — całą duszą chłonął tylko rozkosz, jaką chwila teraźniejsza mu dawała.

Rozplatał zwolna jej włosy.

— Dokąd jedziemy?

— Włosy twoje są dla mnie, który widział najkosztowniejsze twory najwięcej wyrafinowanej kultury artystycznej — cudem, jednym wielkim cudem!

— Dokąd jedziemy?

— Włosy twoje żyją, włosy twoje mówią, myśli twoje zdradzają — to jak najkosztowniejsza, najdelikatniejsza roślina — taka, która żyje, myśli, czuje...

— Dokąd jedziemy?

— O czem mówisz? Aha! dokąd jedziemy...? Zanurzył ręce w jej włosy i szeptał jej do ucha:

— Pytasz się, dokąd jedziemy? Jakby ci to powiedzieć? każde słowo, które realnie jakąś rzecz określa, wydaje mi się w tej chwili banalnem, tak, że wprost go wypowiedzieć nie mogę.

Czekaj chwilę... aha! pojedziemy tam, gdzie w gruzach i zwaliskach stare zamki leżą — jeżeli się chce o wszystkiem zapomnieć, to tam, tylko tam! Tam, gdzie żyje się tylko dalekimi snami o starej, zaśniedziałej piękności tego, co było przed wiekami, a niema się czasu na rozpamiętywanie rzeczy niedawno przeżytych i na gorzkie żale nad teraźniejszością... Ta stara, wielka przeszłość na oścież otwiera wrota szczęśliwej, radosnej przyszłości, zapomnieć każe, więc wiedzie w przyszłość.

A więc powiozę cię tam, gdzie Tristan i Isolt gody miłości święcili, tam, gdzie Walther von der Vogelweide swoje przecudne hymny na cześć miłości wyśpiewywał, a gdy będziemy po górach błądzić, na każdym kroku

będziemy napotykać na resztki prastarej kultury gotyckiej. Tam jeszcze żyją potomkowie ostatnich Gotów...

Urwał.

— Śmieszny jestem z tym moim historycznym wywodem — całkiem, jak jakiś niemiecki profesor...

— Mów — mów! — Nina słuchała zaciekawiona — ach! jak mnie dźwięk twego głosu upaja!

— Więc słuchaj, to wszystko, co ci dotychczas mówiłem, możesz w Baedekerze przeczytać — więc cię tem nudzić nie będę — a ponieważ i ty i ja potrzebujemy dla naszych, zbyt zmęczonych ostatnimi przeżyciami nerwów, pewnego rozweselenia, więc opowiem ci mniej poetyczne, ale nierównie więcej zabawne rzeczy z tego zaczarowanego kraju, do którego cię wiozę —

— O Tyrolu?

— A w jaki sposób to zgadłaś?

— Mówiłeś o Waltherze von der Vogelweide.

Bielecki spojrzał na nią zdumiony.

— To ty tego pana znasz?

— Jakże? toś ty myślał, że ja o niczem pojęcia niemam?

— Nie to — tylko to rzadka rzecz, by Polka coś o Walterze wiedziała...

— No, ale opowiedz mi te wesołe rzeczy o tym kraju, do którego mnie wieziesz... zachmurzyła się nagle — sam tam byłeś? — zapytała nagle.

— Sam — samiuteńki! — zastanowił się, i spojrzał na nią z zaciekawieniem — po co stawiłaś to pytanie?

Patrzała na niego przenikliwie.

— Po co? — pauza — Przyrzekliśmy sobie mówić prawdę, chociażby najprzykrzejszą, więc wiedz, że gdybyś tam przebywał kiedykolwiek z inną, za nic w świecie tambym z tobą nie pojechała.

Bielecki uśmiechnął się.

— Zazdrość wstecz! znam to teoretycznie — ponoć wielką rolę w życiu miłosnem odgrywa... ale tu możesz być spokojną: sam jeden Tyrol zwiedziłem, każdy kąt sam obejrzałem...

— Sam jeden?

— Sam, sam jeden...

Nina swobodnie odetchnęła:

— Teraz z rozkoszą tam jadę. Mów, mów mi te wesołe rzeczy.

— Więc są tam zwaliska zamku, w którym bezustannie pokutuje, a stróż tych ruin jest wiecznie pijany, bo, jak mówi, na trzeźwo musiałby ze strachu zwaryować.

Nina zaśmiała się serdecznie.

— Ach, jak ja twój śmiech kocham!

Objął ją i poczuł, że wybrała się w podróż nocą bez gorsetu.

Zadrżał, parne gorąco rozeszło się po jego ciele.

— Kocham twój śmiech i kocham cię wesołą. Widzisz, tak się rzeczy dziwacznie złożyły, że ja jestem artystą i — fatalny zbieg okoliczności — nim nie jestem. — To znaczy, że jestem nawskróś tym artystą, który na razie nic nie stworzył, ale którego Górski do tego stopnia uważał za artystę, że nawet pod swoje dramaty moje nazwisko położył... Widzisz — najwyższą podnietą dla artysty jest wesołość, harmonia, pogoda. — Dziwaczny ten żywot artysty: w pogodzie i wesołości tworzy najwięcej tragiczne rzeczy — i na odwrót: wszyscy ci wielcy satyrycy, humoryści, kpinkarze, klowni, żyją przeważnie w takich życiowych warunkach, że waryują, w łeb sobie strzelają i t. d.

Nina śmiała się:

— To ty już sobie w łeb nie strzelisz, bo dowcip się u ciebie nie klei.

— Obrażasz mnie — Bielecki miał chwilami śmiech rozbawionego chłopaka-łobuza: śmiech ten Ninę wprost odurzał...

— U mnie dowcip się nie klei? Może być — za to natrafiam często na dowcipy, w które życie się bawi.

W moich wędrówkach po Tyrolu zaszedłem do jednego zamku, w którym była

urządzona mała gospoda. W gospodzie tej zastałem młodą kobietę wiejską, trzymała na ręku dzieciaka, który mi coś-kogoś przypominał. Napiłem się wina, zjadłem szynkę, gawędziłem z nią dobrą chwilę — nagle pyta się mnie, czem ja właściwie jestem?

Schriftsteller: powiedziałem.

I ze zdumieniem widziałem, jaka nagła zmiana dokonała się w tej dotąd grzecznej i wesołej kobiecinie.

Jakby ją osy opadły.

— Tu, tu! — wskazała na dziecko — wy Schriftstelerzy, malarze, tylko takie rzeczy umiecie robić! Shańbić, wyssać, a potem nogi za pas, a biedną kobietę na łaskę losu i pośmiewisko zostawić!

Z niejasnego gadania zdołałem wywnioskować, że jakiś mój słynny kolega po piórze, zabawił się w małżeństwo na próbę z biedną dziewczyną. Napróżno jej tłomaczyłem, że ja do tej kategoryi artystów, uwodzących, ogłupiających, dzieci płodzących nie należę, ale moje zaklinanie na nic się nie zdało.

Była tak oburzona moim fachem, że piwne, które jej chciałem dać, pod stół rzuciła.

Nina uśmiechnęła się blado — niezbyt wesołą i zabawną wydała jej się sytuacya biednej dziewczyny, zapłodnionej przez jakiegoś »Schriftstelera«.

— No i cóż dalej? — pytała z pewnym przymusem...

— Co dalej? — Bielecki spojrzał bystro na nią... wyczuł w tej chwili, że tego rodzaju opowiadania niesmak u Niny budzą, więc starał się czem innem rzecz całą zagadać.

— Widzisz, jak się stulecia różnią: nasze jest ordynarne i głupie — na całkiem inny gest stać było ludzi z średniowiecza, jak zapłodnienie biednej dziewczyny i pozostawienie jej potem na pastwę losu. — Więc posłuchaj: tam — zastanowił się chwilę — tam, gdzieś w pobliżu słodka Ada ponoć las podpaliła, pomyślał, i przed oczyma stanęło przykre widmo Ady z szyderczym, drwiącym uśmiechem na trupiej twarzy — otrząsnął się — aha! o czem to ja chciałem mówić?

— A! prawda! W pobliżu, na wysokości 800 metrów nad powierzchnią morza sterczą zwaliska dumnego zamku — Sauburg zwie się w podaniach ludu — jakiś hrabia Meranu oblegał ten zamek przez pół roku, a zdobyć go nie mógł, postanowił zatem załogę wygłodzić. I to mu się udało. Gdy już wszystkie zapasy zamku zostały wyczerpane, pan zamku kazał tej hordzie, która na jego zgubę czyhała, ostatnią świnię z murów do fosy wrzucić, a potem własnoręcznie podpalił prochownię i sam z całą załogą wyleciał w powietrze.

— Widzisz, to wielkopański gest. Nie dać się — Bielecki mówił to prawie zaciekle — nie dać się! ostatnią świnię im na pastwę rzucić — tym psom, którzy na zgubę człowieka czatują, siebie samego w powietrze wysadzić, ale nie oddać się żywcem w ręce tej sfory!

Cień niepokoju przesunął się przez jej twarz i on się zamyślił — pewno i mnie nic innego nie pozostanie, przeleciało mu przez głowę — serce mu załopotało, ale w tej samej chwili ocknął się.

— No, to już mniej wesołe, mówił swobodnie, ale ciekawe tym wielkopańskim gestem... Ukląkł przed nią, objął leżącą na wygodnem posłaniu i mówił cichym, pieściwym głosem:

— I tak będziemy błądzić bezustannie od rana do nocy po tych lesistych wzgórzach i winnicach, pławić się w słońcu, zachodzić do mieszkań górali, z których każdy będzie ci opowiadał o Andrzeju Hoferze, a z każdej przystani będą ci się otwierać widoki przecudne, to na śnieżne Alpy Trydeńskie — to na cudowny Rosengarten — na niebosiężne Dolomity — zapomnimy o całym świecie i zdołamy uwierzyć, że nikt, prócz nas nie istnieje — ciebie i mnie — i nic nie będzie poza naszą miłością.

Patrzył na nią długo.

— A teraz nie będę już mówił. Pierwszy raz kocham i widzę, że do najwięcej charaktery-

stycznych znamion miłości należy brak wymowy. To wszystko, com ci opowiadał, to tak chaotyczne, takie fatalne trzy po trzy, że mogłabyś stracić ochotę, tam jechać...

Jej ręka błądziła nerwowa, drżąca w jego włosach — silniej ją jeszcze objął, a usta jego wpiły się z chciwą namiętnością w jej szyję, tam, gdzie karotydy ściągają wszystką krew z mózgu do serca i ślepem i głuchem go na wszystko czynią, co się naokół dzieje.

I sam nie miał już jasnego uczucia, czy to rzeczywistość, czy wizya — po raz pierwszy uczuł w sobie coś świętego, coś pozaświatowego — było to, jakby sen, z którego lękał się obudzić — pierwsza chwila szczęścia, jaką dotychczas w całem swojem życiu przeżył, a którą wszystkiemi siłami do samego dna zakosztować zapragnął.

Niną ogarnęło, ogromem nieznanej rozkoszy, przerażone zdumienie. Raz zdawało się jej, że płynie w przestworzu, to znowu, że leci w jakąś bezbrzeżną czeluść, dokonywał się w niej po raz pierwszy jakiś niepojętej, świętej łaski pełen cud — przeistaczanie się dziewczyny w kobietę, z żebra adamowego porodzonej, tę, która nieskończenie daje i bierze:

W tej chwili uczuła się Nina z cichą, błogą dumą i rozkoszy pełnem przeświadczeniem: kobietą...

— Żono! — szeptał Bielecki.

A pociąg pędził z zawrotną szybkością, jakby chciał się przemocą z pod władzy ludzkiej wydrzeć — jego dudnienie wydawało mu się teraz przedziwną muzyką, jakiemś słodkiem ukojeniem narkotycznego snu.

I nic już nie mówili, tylko usta ich zwarły się w długim, nienasyconym pocałunku.

W świetle krystalicznej, mroźnej śnieżności, spowitem z światłem księżyca, który był już wszedł, migały wsie, lasy, bezbrzeżne przestrzenie, migały stacye drożników i miasta — raz po raz przeskakiwał pociąg z jednej zwrotnicy na drugą, witał przeraźliwym świstem przydrożne stacye, ale oni nic nie słyszeli, prócz własnego gorączkowego oddechu i gwałtownego bicia swych serc, a otuliła ich chmura, w której olimpijski bóg do ziemskiej dziewicy zstępował.

V.

Już pod wieczór wrócili z całodziennej wycieczki i znaleźli się na dworcu w Bozen.

— Tu chwilę odpoczniemy — powiedział Bielecki — a potem kawałeczek drogi, i wstąpimy do Runkelsteinu na wino i przekąskę.

— Runkelstein a co to?

— To stare, piękne zamczysko, które miasto podarowało Franciszkowi Józefowi, ten kazał je odrestaurować ogromnym kosztem i napowrót darował je miastu. Och! gdybyśmy tam mogli zamieszkać! Ale nie sposób, bo miasto wynajmować tam mieszkania nie chce...

Spoczęłaś?

Jestem jeszcze trochę zmęczona, ale tak mnie zaciekawia ten Runkelstein, że już zmęczenia nie czuję — chodźmy!

Szli dłuższy czas wzdłuż nagich winnic, które, jak Bielecki zauważył, w przedsionku wiosny tyrolskiej nie bardzo przyczyniały się do upięk-

szenia krajobrazu, a może jeszcze nudniejszym go czyniły, jak smerekowe lasy przy mocno fatygującej drodze z Zakopanego do Morskiego Oka... po długiej wędrówce dostali się na piaszczystą drogę, która w jednej chwili grubą warstwą białego pyłu pokryła ich obuwie, wreszcie stromo pod górę, a tak stromo, jak im się po całodziennej wędrówce wydało, że co chwila przystawać musieli, znaleźli się wreszcie na podwórzu zamkowem.

— Jak w bajce — powiedziała Nina i rozglądała się dookoła. Podwórze było obszerne, pewnie się tu ongi turnieje rycerskie odbywały — dziś całe porosłe dzikiem winem i bluszczem, dawało rzeczywiście złudzenie jakiejś sennej baśni, czegoś całkiem nierzeczywistego.

W murze okalającym podwórze zamkowe znajdowało się okno: »Lug ins Land«, a raczej wykusz wartowniczy, z tą jedną różnicą, że ponad tym wysoce wygodnym wykuszem z szerokiemi kamiennemi ławkami, dachu nie było.

Tu usiedli.

— Jak ci jestem wdzięczna, żeś tu mnie przywiózł — mówiła Nina, a oczy jej zabłysły zachwytem.

— To ja tobie jestem nieskończenie wdzięczny, że tu ze mną jesteś, i że ci tę całą piękność pokazać mogę.

Spojrzała z przestronnego okna w dół.

Głęboko w dole pieniła się Adyga — na przeciwległym brzegu wiercono w skałach jakiś tunel — spojrzała w jedną i drugą stronę: wszędzie ruiny starych zamków — wszędzie ślady tej przeszłości, o której Henryk mówił, że nawet o teraźniejszości zapominać i tylko radosną, jasną przyszłość śnić każe.

Wychylili się poprzez okno i patrzyli z niemym zachwytem w dół. Widzieli przepiękną panoramę Bozen i Gries i ponad nią okrągłe wieże Schwalbensteinu, a jeszcze wyżej ponad niemi ruiny zamku Rafenstein. Serca ich wezbrały głęboką radością.

Na chwilę ucichli.

Zawiadowczyni zamku przyniosła wino i szynkę, chleb i masło, opowiedziała smutną historję o poprzednim zawiadowcy, który był na tyle ordynarny, że nie przyjął od jakiejś księżniczki saskiej, czy też austryackiej, napiwku, bo zwrócił uwagę na jej niemożliwie wydekoltowany stanik i radził, by sobie za te pieniądze płótna na kaftanik kupiła, bo widać tym razem miała go zamało, potem usprawiedliwiała się, dlaczego nie może wieczorem wnętrza zamku pokazywać, a nie otrzymawszy odpowiedzi dyskretnie się wyniosła.

Z budki przyczepionej do restauracyi wy-

lazł stary pies, obwąchał Bieleckiego i zawył z radości.

— Widzisz, Nino — poznał mnie... byłem tu przed dwoma laty i po tak długim czasie mnie jednak poznał.

Pies przywarł u nóg Bieleckiego i patrzył na niego z tkliwą czujnością.

Bielecki rzucił mu jeden i drugi płat szynki, posmarował mu bułkę masłem — bo przecież nie mógł wymagać, by pies, szlachetniejsze zwierzę od człowieka, mógł się byle czem zadawalniać, uśmiechnął się nagle:

— Jednakowoż ja takim ostatnim łotrem nie jestem — zadumał się — musi tam we mnie tkwić i coś dobrego, jeżeli psy i dzieci tak do mnie lgną... O! o! patrz tylko: to maleństwo już przez całą chwilę ku mnie zerka — no! chodź tu! — zawołał na małego chłopaka, który już dłuższy czas z rozdziawioną gębą się przypatrywał temu obcemu panu.

— No chodź — skinął na chłopaka, który się powoli z wielkiem zastanowieniem i tysiącem zapobiegliwych ostrożności zbliżał.

Wsunął mu wreszcie koronę do ręki, którą chłopak przezornie obejrzał i pędem pobiegł do domu.

Bielecki spojrzał na Ninę.

— Widzisz, stara natura się we mnie odzywa — ja wiem, że tą jałmużną robię z niego

żebraka, ale właśnie mi o to chodzi — mówił z zaciętą przekorą — gdzie tylko stąpnę, mam przynajmniej tę istotną satysfakcyę, że ludzi demoralizuję, deprawuję — wszystko jedno, jak to chce ktoś nazwać — opamiętał się:

Cóż u djabła, skąd się to nagłe rozdrażnienie wzięło? Przecież ja, który tygodniami po Tatrach i Alpach uganiałem, nie mogłem się przemęczyć salonową przechadzką po Virglwarte i Ritten?

Co innego, panie Bielecki, cię rozdrażnia — Stary Bielecki nie chce się poddać temu nowemu, świeżo obudzonemu pod wpływem bezpamiętnej miłości, i stąd cała rozterka...

»Naturam expellas furca«... ha, ha... przytem zdaje mi się, że w tym nowym garniturze całkiem mi nie do twarzy — tu mi za wolny, tu pod pachami mnie rżnie, tam znowu te obwisłe spodnie zacności i prawości wcięły mi się w międzykrocze — przypomniała mu się karykatura Wilhelma II w jakiemś niemieckiem czasopiśmie, przedstawiająca go na maskowym balu w uniformie Fryderyka Wielkiego, a zdumiona Wiktorja, żona jego, z przerażeniem go oglądając, mówi: »Aber, Willem, der Rock ist für dich viel zu lang!«

Chciał się w głos roześmiać, ale zdusił śmiech, i równocześnie zamyślił się: jak jeszcze tkwisz w skórze starego Bieleckiego! Zaledwie łeb

wychyliłeś na słoneczny świat, już samo światło cię drażni.

Ta miłość, którą nosił w sobie, jakby jakąś największą, żadnem słowem nie dającą się określić świętość, stała się dla niego rozterką i gniewem, bo rozrywała i kruszyła w nim to, co uważał dotychczas za istotę jednolitą swej natury i burzyło mu syntezę jego psychiki, jaką był sobie już o niej wytworzył.

Kilka tygodni dopiero przeżył z Niną, a już czuł, jak słabnie, jak już rozluźnia się spoistość jego woli, która żadnymi środkami nie gardziła, by swój cel osiągnąć, która nie znała ni przeszkód, ni żadnych skrupułów — by jego, Bieleckiego »ad astra« poprowadzić.

Już go upiory straszyć jęły — już nie był w stanie pomyśleć swobodnie o Łusi · wpół obłąkany, rozczochrany Borsuk z całym jego artystycznym, zniszczonym dorobkiem tłukł się bezustannie w jego myślach. Nawet ta baba, żebraczka, której kiedyś radził, by dziecko chore powtórnie ochrzciła lodowatą wodą, nie dawała mu spokoju, bo może zastosowała się do jego rady — i ten piękny Poraj — przerwał tok myśli, — To mu się jeszcze udawało, że, gdy zechciał, mógł przykre myśli z mózgu wyrzucić, ale na jak długo jeszcze?

A może wyciągnie się całkiem ze starej skóry i nie będzie w stanie zapanować nad

tem jadowitem rojowiskiem myśli, wyrzutów, i Bóg wie, jak się te wszystkie uczucia mienią i jakiemi żądłami są przez Opatrzność uzbrojone?

Nina spojrzała głęboko w jego oczy. Instynktem miłości przeczuła, że się w nim coś dzieje.

— O czem ty tak głęboko myślisz?

Spostrzegł, że jest zaniepokojona, więc uśmiechnął się do niej nawpół dobrotliwie, nawpół filuternie i powiedział:

— We mnie tkwi jakaś żyłka niszczenia — to głupio powiedziane — bo przeciwnie: ta odrobina niszczenia może być zarodkiem czegoś, co w nowopowstaniu będzie odrodzeniem. — Gdyby Napoleon był jeszcze więcej naniszczył, cała Europa sto razy piękniejby jeszcze wyglądała...

Bielecki pił jedną szklankę wina za drugą w jakiemś chorem podrażnieniu.

— Gdyby Ada — ten malutki geniusz niszczenia...

— Jaka Ada?

Bielecki nagle oprzytomniał.

Ujrzał przerażone oczy Niny.

— Jakaś ty podejrzliwa — kochanie — tobie się może zdaje, że ja znałem, a może pozostawałem w jakichś stosunkach z tą Adą Karską, której serce przeszył sprawny i pe-

wny sztylet księcia Poraja!? Nie — nie, dziecko, z tą panią nie miałem nic do czynienia — to za małe, za głupiutkie, zbyt powszednią literaturą codziennej senzacyi cuchnące, bym ja mógł mieć z tem coś do czynienia.

Zmrok zapadał.

Bielecki odwrócił rozmowę.

Patrzył na nią z całem wytężeniem.

— Nino! słuchaj — niewiem co mi się stało — ale przez chwilę byłem, jak nieprzytomny, i rozumiem dobrze twoje zdumienie, które z twoich przerażonych ócz wyzierało, teraz już całkiem przyszedłem do siebie, i teraz ci to wytłomaczę...

Nagle obejrzał się:

Uczuł, że ktoś nadchodzi, i wprost ku nim zdąża.

Obok ich stołu stanął młody człowiek, który się z głęboką uniżonością pokłonił Bieleckiemu, z najgłębszem uszanowaniem zwrócił w stronę pani Niny, chwilę się zachłysnął, a potem wreszcie przemówił:

— Zdala już słyszałem dźwięk ojczystej mowy — oczy przecierałem, bom nie był w stanie uwierzyć, że tu spotkam rodaka, pana Bieleckiego — wszak się nie mylę?

— Bynajmniej! Noszę istotnie nazwisko Bieleckiego, ale może pan się co do tożsamości osoby myli?

— O nie! Teraz już jestem pewien — państwo pozwolą, że się przedstawię, moje nazwisko: Hedera...

Bielecki drgnął, czuł, że cały blednie, że tu jakieś niepojęte rzeczy się dzieją...

— Przepraszam pana — niedobrze słyszałem nazwisko pańskie.

— Hedera! Trochę niezwykłe w Polsce, ale ja właśnie pochodzę z Białorusi i prawdopodobnie do mego nazwiska przymieszał się wpływ tatarszczyzny.

— Hedera — Uhera — obydwa nazwiska wzięły się za bary, jęły kotłować w mózgu Bieleckiego — cała jego mózgownica stała się w tej chwili niezmiernie przykrą dla niego widownią szarpania się i zmagania Hedery z Uherą...

Bielecki drżał — to przekręcenie Uhery na Hederę — Jezus Marya! co to miało znaczyć?! Ale nie dał po sobie poznać, jak głęboko, jak do samego dna duszy uczuł się wstrząśniętym.

Opanował się.

Jakiś szatański majak, czy co? - pomyślał, i już uspokojony rzekł wesoło:

— Niezmiernie nam przyjemnie — żonie mojej — wskazał na Ninę...

Hedera skłonił się powtórnie głęboko, i z jak największym szacunkiem...

— A mnie spotkał niemały zaszczyt, że mogę

się poznać, na tak całkiem obcym gruncie — z słynnym rodakiem.

Niech się pan nie dziwi, że ośmieliłem się do pana zbliżyć — ale ja pana widziałem na scenie — widziałem bez liku razy na fotografiach — i — tu przybrał pan Hedera posępną minę — w towarzystwie tej młodej kobiety, która w tak tragiczny sposób życie zakończyła.

— No — no? A cóż to za młoda kobieta?

— Pani Ada Karska: teraz się o niczem nie mówi, jak o niej.

Bielecki spojrzał zaniepokojony na Ninę — Nina okręcała spokojnie dookoła kieliszkiem wina, który przed nią stał i pilnie się mu przyglądała.

— Przepraszam pana — jakieś wewnętrzne drżenie tak go opanowało, że z trudem słowa już nie wymawiać, ale, jak z przerażeniem zmiarkował, wprost wykrztusić nie mógł... niech pan wybaczy, że niedyskretnie się zapytam: nazwisko pańskie jest tak niezwykłe, że możnaby je za pseudonim literacki uważać.

Hedera uśmiechnął się lekko:

— Ja się rzeczywiście tak nazywam i pod własnem nazwiskiem zamierzam wydawać od pierwszego kwietnia tygodnik literacki, który chcę bez żadnych zastrzeżeń pańskiej redakcyi oddać — i tem się tłomaczy, że nasze przy-

padkowe spotkanie wcale nie jest przypadkowem, bo ja już od dwóch tygodni wszędzie pana szukam.

Czy pan się na to zgadza?

— Propozycya pańska tak mnie zaskoczyła, że w tej chwili, aczkolwiek czuję się wprost nią zaszczycony, pewnej odpowiedzi panu dać nie mogę...

Nina podparła twarz ręką i słuchała z wytężeniem.

— Nie dziwię się panu, że pan tak bez wszystkiego na moją propozycyę zgodzić się nie może — taka teraz jałowizna w rodzinnej literaturze, taki brak sił... Któż jeszcze prócz pana? Był Górski...

Nina przybladła — Bielecki zatrząsł się cały.

— Jaki Górski? — zapytał, jak się Ninie wydało, zbyt ostrym głosem.

— Ach, to szanowny pan Górskiego nie znał? To przecież ten sam Górski...

Hedera umilkł na chwilę:

— Mówiono mi, że go pan znał - Hedera się plątał i grał rolę zakłopotanego, czy też rzeczywiście był tą całą zawikłaną historyą zakłopotany... Mówiono mi, że panna Łucya Szumska...

— Co? Co znowu? Jaka Łucya?

Teraz Hedera spojrzał na Bieleckiego, jak na całkiem nieprzytomnego człowieka:

— Jaka? Pan się pyta jaka? Ależ ta, którą pan z narażeniem swego życia z morza chciał wyłowić tam gdzieś pod Spezzią...

Bieleckiemu oczy krwią nabiegły.

— Pan wybaczy, że zwrócę mu uwagę, iż wobec mej żony — wskazał na Ninę, nie jest zbyt delikatnem mówić o rzeczach, które do dawnej przeszłości należą.

Hedera wstał:

— I pan mi wybaczy, jak również, łaskawa pani, — głęboko się pochylił w kierunku Niny — że, nie mając najmniejszego pojęcia o zmianie stosunków, jakie w życiu szanownego pana zaszły, napomknąłem o rzeczach, które z obecną chwilą nie licują.

Teraz się sprzęgły oczy Bieleckiego z oczami Hedery z jakąś groźną, złą nienawiścią.

— Czy pan przypadkowo nie nazywa się Surzycki?

Hedera uśmiechnął się delikatnie.

— Wybacz pan: Kotowicza znałem, którego książę Poraj sprzątnął — a szkoda, bo byłoby go można w nowej redakcyi, jako niezwykle pożyteczną siłę zużyć — ale pana Surzyckiego, o którym dużo po śmierci Kotowicza mówiono, nie mam zaszczytu znać, a tembardziej jego nazwiska nosić.

Bieleckiemu zdawało się, że przeżywa jakiś piekielny sen.

Spojrzał na Ninę.

Jakie szczęście, że już gęsty zmrok zapadał — byłaby przerażona, gdyby widziała, jak w tej chwili pozieleniał — a czuł to doskonale — i więcej jeszcze przerażałby ją swoim lękiem.

— Więc o cóż właściwie panu chodzi? — pytał Bielecki swobodnie; odnalazł wreszcie starego Bieleckiego, który nie znał ni lęku, ni trwogi: będę bezczelnym i mocnym! powiedział sobie — quand même!

— O co chodzi? — Hedera cedził słowa — Prosta, jak najprostsza rzecz: pozyskać pana na głównego redaktora pisma, które już jest założone, finansowo całkiem zapewnione.

Oczy Niny — nie widział ich — ale czuł, jak go do dna nurtują — jak z jakiemś ciężkiem zapytaniem w jego duszę już się wprost wrzynają.

Zdawało mu się, że krzyczą: Tchórz!

O nie — nie! Tego od ubóstwianej, ponad wszystko ukochanej kobiety nie byłby w stanie posłyszeć!

— Panu może się dziwnem wydaje — ciągnął spokojnie — że sobie pewnych osób, a nawet tak blizko z mojem życiem splątanych, z trudnością tylko przypomnieć mogę, ale te osoby, o którym się rozmaitym ludziom zdaje, że jakąś rolę w mojem życiu odegrały, a wcale jej nie odgrywały... umilkł na chwilę... a po-

wtóre miałem to szczęście, czy też nieszczęście, tyle osób poznać w mem życiu, że mi się wszystkie nazwiska pomieszały...

Teraz sobie przypomniałem, że znałem rzeczywiście Adę Karską, widziałem i poznałem też przypadkowo księcia Poraja — jak również dobrze pamiętam, że pannę Łucyę Szumską chciałem uratować od niechybnej śmierci, co mi się nie udało — a ratowanie było trudne, — o mało sam się pod łódź motorową nie dostałem — nawet uczuwam pewien żal, że za bohaterski — he, he — mój czyn, nie dostałem pamiątkowego medalu...

Czuł, jak Niny oczy krzyczały:

— Ja z całą przeszłością niemam nic do czynienia — może się panu wydać ta cała rozmowa zbyt poufałą, ale pan przedstawił mi się, jako bardzo sympatyczny człowiek, więc mówię do pana, jak do człowieka, który na wielu punktach jest fałszywie poinformowany, i...

— Ależ drogi panie — Hedera całkiem był zmieszany — pan — nie wiem, jak to wyrazić — pan całkiem fałszywie mnie rozumie. Ja przecież ponadto, że chciałbym — nie tylko to — pragnę gorąco, pozyskać pana na redaktora pisma, które zakładamy...

— Wybacz pan...

Wiem, o co panu chodzi, — przerwał Hedera — pan się może lęka, że ja się w czem-

kolwiek panu w redakcyjnych sprawach mieszać będę — gdzież tam! dla mnie będzie to najwyższym zaszczytem i honorem, jeżeli mi będzie wolno, podpisywać moje nazwisko.

— Hedera? — przerwał Bielecki.

— Tak! Hedera! — pod pismem, które pan redagować zechce.

I jakby uczuli nagłe zmęczenie, umilkli na długą chwilę.

Patrzyli na siebie, ale, ponieważ noc już zapadała, widzieć się nie mogli.

To jedno, co Bielecki widział, mimo zapadającej ciemności, to były oczy Niny. Teraz było mu wszystko jedno — dla niego tylko Nina istniała — nic poza nią. Wiedział to jedno tylko, że zrobi wszystko: niebo i ziemię poruszy, byle jej nie utracić... Niną rozpoczęło się jego życie — a jak trzeba będzie — to niech się nią i skończy.

— Co sądzisz, Nino? — zapytał.

— Zdaje mi się, że pan Hedera jest w błędzie — przecież nie jestem jeszcze oficyalnie twoją żoną — może fakt ten mógłby zaszkodzić całemu przedsiębiorstwu.

Bielecki spojrzał na nią zdumiony — co — co to miało znaczyć? pomyślał: nie zirytowany, ale wylękniony, że tu coś — nie wiedział co — wszystkie szyki mu krzyżuje.

— Nino droga, to ty znajdujesz się w błę-

dzie. Jeżeli ja cię uważam za moją żonę i jako taką cię przedstawiam, to na to nie potrzebuję żadnej sankcyi, ani cywilnej, ani kościelnej...

— Ale społeczeństwo, w którem masz pracować, tej sankcyi potrzebuje.

— Społeczeństwo!? — Bielecki wstał i zaśmiał się.

Nastała chwila milczenia, którą rychło przerwał Hedera:

— Pani w tym wypadku — niech mi pani wybaczy — ale pani istotnie się myli... Co do mnie przynajmniej, sprawa przedstawia się tak, że... jeżeli pan Bielecki powie: ta kobieta jest moją żoną, to byłoby wprost śmiesznem i niesmacznem, gdybym ja się ośmielił w to powątpiewać. Nie należę do ludzi, którzy potrzebują społecznych, czy też kościelnych cyrografów, by małżeństwo, jako takie uważać.

Skłonił się głęboko przed panią Niną, ujął jej rękę i pocałował z głębokim szacunkiem.

— Toś pan rzadki okaz człowieka... takich nie tak często się spotyka...

Bielecki nie wiedział, czy Nina mówi seryo, czy też kpi – skombinował tylko, że musiała być mocno podrażniona wspomnieniem o Łusi, i o tej, której całkiem nie znała, a która teraz na wszystkich językach była: Adzie Karskiej — i serce mu się lękiem skurczyło.

— Rzeczywiście — mówił to nerwowo —

rzeczywiście rzadki okaz człowieka, który rozumie Bieleckiego — mówił coraz zacieklej — że jego tylko stać na to, by być własnym urzędnikiem stanu cywilnego, a jeżeli już gwałtem o to chodzi: swoim własnym kapelanem, który bez żadnej pomocy obejść się może, by sobie samemu dać ślub.

Zaległo przykre milczenie.

Bielecki czuł się tak podrażnionym obecnością Hedery, że z trudem hamował wybuch wściekłości — więc właśnie dlatego, że wolę swoją wytrenował był w tym kierunku, by wszystko sobie samemu na przekór robić, uśmiechnął się swoim najwięcej ujmującym uśmiechem i zapytał:

— A cóż z tą panną Karską? — od całych tygodni gazet nie czytałem...

Hedera popatrzył na niego chwilę i dyskretnie się uśmiechnął.

Niny oczy szły zwolna od jednego do drugiego — zdziwiło ją nagłe pytanie Bieleckiego, zastanowił ją zagadkowy uśmiech Hedery.

— Z panną Karską? Jakieś tam głupstwo: jakiś książę ją zasztyletował — no i to wszystko — pan się obracał dużo w sferach teatralnych, więc, uśmiechnął się, zdawało mi się...

Bielecki spojrzał na niego groźnie i stanowczo.

— Właściwie nic mi się nie zdawało — tylko takie sobie ludzkie gadanie...

— Jakie? — Bielecki zdumiał się swoim zdecydowanym tonem.

Hedera spojrzał na niego poważnie:

— Nie myślę, żeby panu na tem zależało, dowiedzieć się, jakie bajdy o panu krążą — myślałem i czytałem, że to wszystko dla pana jest jak najzupełniej obojętnem...

— Teraz Hedera począł brać przewagę.

— Nawet jestem zdumiony, że człowiek tej ogromnej miary, jak pan, może choćby na chwilę troszczyć się o to, co jakiś głupi motłoch o panu mówi.

— Czy ja pana nazwisko dobrze zrozumiałem? — Bielecki tracił chwilowo przytomność — a może mi się przesłyszało? pan wybaczy, ale ja tysiąc nazwisk jestem zmuszony zapamiętać — a więc Uhera?

— Nie miałem, nie mam nawet pretensyi, byś pan odrazu moje nazwisko miał zapamiętać: Hedera się nazywam...

— A więc panie Hedera — Bielecki był zdumiony, jak dziwnie ciężko, żmudno i rozlaźle tego wieczoru myślał — daj mi pan czas, bym się na pańską propozycyę mógł zgodzić.

— Rozporządzam dużym kapitałem — mówił Hedera — koncesyę na pismo już mam —

zależy tylko od decyzyi pana, czy pan zechce objąć ster i kierownictwo jego.

— A dlaczego pan się właśnie do mnie zwrócił?

Hedera spojrzał na niego, jakby nie rozumiał tego pytania.

— Ależ, czy pan nie wie, co pan w Polsce znaczy? Są ludzie, którzy na megalomanię chorują, a pan zdaje się chorować na mikromanię — niech pan wybaczy, że ośmielam się w ten sposób do pana przemawiać, ale człowiek-artysta, który stworzył tak ogromne rzeczy — i to takie, które sławę Polski na całą Europę roznieść mogą...

To nie moje! ryczało już wprost w duszy Bieleckiego — to Górski napisał! ale pohamował się.

Nina podparła twarz obydwoma rękoma i słuchała uważnie i z coraz głębszym współczuciem dla tego, który przed chwilą powiedział, że sam sobie może dać ślub bez współudziału urzędnika lub też kapelana.

Takim go kochała.

Mocą swej miłości przeżywała całą mękę zewnętrzną, jaką Bielecki w tej chwili przechodził.

Jak w jasnowidzeniu zrozumiała, że on jest teraz, jak zwierz z wszystkich stron osaczony, że ten ukochany człowiek walczy o życie

i śmierć. Odezwała się w niej duma, że ten człowiek, który ostatnim jakimś wysiłkiem rozpacznym broni prawie już straconej pozycyi, do niej przynależy — i zawstydziła się małej zazdrości o inną jakąś kobietę — tę, czy ową, wszystko jedno...

Teraz tylko ten człowiek, ten głębią całą duszy pokochany, pozostał... Przy nim wytrwa, choćby nawet pod najohydniejszym pręgierzem miał stanąć.

Patrzyła na tę spopielałą twarz, która w ciemnym zmroku majaczyła i w nie widzianym, ale przeczutym skurczu całą tragiczną walkę wewnętrzną przejrzała; odezwał się w niej instynkt tajemniczy matki, która — myśli jej rozwijały się z piorunującą szybkością — gdzie ona to widziała? Aha! Obraz Wirtza w Brukseli: matka ucieka z palącego się domu — wszystko już się na niej pali, ale dziecko może jeszcze uratować zdoła.

I odezwał się w niej instynkt dziecka rycerskich przodków, którzy umieli do ostatniej kropli krwi, choćby już zupełnie straconego posterunku bronić.

Człowieka pokochałam, takiego, jakim jest — jakby kosztowna perła padło to w najgłębszą toń jej duszy i nanizało się na sznur, na którym już tyle kosztownych tkwiło: będę

stać przy nim i bronić go, lub razem z nim zmarnieję.

— Pan jest na tyle cywilizowanym człowiekiem zwróciła się do Hedery — że pan się o nasze legitymacyjne papiery nie pyta i nic Go to nie obchodzi — panu nawet zawdzięczam nauczkę, że niekoniecznie potrzeba urzędnika, lub też księdza, by módz spokojnie nazywać się żoną człowieka, którego się kocha...

Hedera popatrzył na nią chwilę — smutny prawie...

— Dlaczego mi pani to mówi? Od pierwszej chwili, w której panią ujrzałem, a to już prawie dwa miesiące temu...

Bielecki zerwał się niespokojnie z ławki: już gdzieś tego człowieka widział — ale w tej chwili opanował się i powiedział chytrze uśmiechnięty:

— Pańska propozycya?

— Otóż właśnie, co chciałam powiedzieć — mówiła Nina spokojnie i stanowczo — powinieneś ją przyjąć.

Bielecki usiadł obok Niny.

— Jeśli ty sobie tego życzysz, Nino, to już ani chwili się nie waham...

Kiedyż ja tegoczłowieka widziałem, w jakiem towarzystwie? Jak młyńskie koło obracała się ta myśl w wiatraku jego mózgu. I równocześnie było to, jakby cała jego dusza gorącym płaczem zał-

kała — uczuł niewypowiedzianą wdzięczność dla Niny — pierwszy raz w życiu — tem głupiem, marnem swojem życiu, uczuł się kochanym, i mocny człowiek miał ochotę paść przed Niną na kolana i powiedzieć — powiedzieć? na to słów znaleźć nie można...

Szarpnął się.

Mówił zimno i spokojnie.

— Pan rzeczywiście — urwał i grzebał w swoich myślach: gdzie on tego człowieka już widział? — pan istotnie chce mnie mieć za naczelnego redaktora swego pisma?

— Ależ po to jedynie jeździłem dwa tygodnie z miejsca na miejsce, by pana przychwycić.

— Nino? — zapytał Bielecki.

— Weź! odpowiedziała cicho — z tak dobrym, słodkim nakazem, że już się nie wahał.

— Dobrze! powiedział, a głęboka rozkosz rozlała się w nim całym, bo czuł, że Nina w niego wierzy.

Hedera zdawał się być niezmiernie uradowanym.

— Byłoby śmiesznem, gdybym chciał wyrazić radość, jaką czuję, że pana – właśnie pana, dla mego pisma pozyskać zdołałem — i o tem mówić nie będę, ośmielę się tylko poprosić

państwo, by nie odmówili memu zaproszeniu na kolacyę.

— Bardzo dziękuję, ale całodzienną przechadzką jesteśmy tak zmęczeni... Spotkamy się jutro...

Gdzie ja tego człowieka widziałem? myślał Bielecki.

— Niech nam pan za złe nie bierze, że dziś jego zaproszenia przyjąć nie możemy — ale istotnie: te dwa tygodnie codziennych wycieczek mocno nas znużyły... Zobaczymy się jutro...

— Zaszczytem i szczęściem to dla mnie będzie.

Hedera głęboko się pokłonił.

Zeszli z zamku w milczeniu; całe półgodziny szli w tem jakiemś dziwnem, przykrem milczeniu, podczas którego krzyczał jedynie imperatyw kategoryczny myśli Bieleckiego: gdzie ja tego człowieka widziałem?!

Przy moście ponad rzeką Talfer, dzielącą Gries od Bozen, rozstali się.

— A więc do jutra — o 11-tej przed południem w Waltershofie — Hedera był wprost uniżony.

— Do jutra! — powiedział Bielecki.

Nina podała rękę Hederze — całą ją zbiegło zimno — niemiły dreszcz jakiś.

Gdy się już rozstali i Hedera i zniknął im

z oczu, schwycił Bielecki Ninę mocno pod ramię — chciał zdusić w sobie podziemny lęk, który mu całą duszę rozwichrzał — i szybko prowadził ją kamiennemi, wązkiemi uliczkami wśród obmurowań ogrodowych — a, które jej się zawiłymi kanałami wydawały — już nic nie mówiła: chwilę przystanął, jakby nadsłuchiwał, silniej jeszcze przycisnął ją do siebie i szybciej jeszcze pobiegli dalej.

VI.

Zaledwie weszli do pokoju, schwycił Bielecki Ninę, porwał ją na ręce, i gorąco do piersi tulił.

— Ty, ty! — to wszystko, co na razie z siebie wyrzucić zdołał.

Nina wiedziała, o czem teraz Bielecki myśli, co teraz przeżywa, za co ją z takiem uniesieniem do piersi tuli, ale nic nie mówiła, bo nie śmiała i nie chciała przerywać świętości chwili, w której człowiek w takiej męce się z sobą zmaga, a wie, że nijako i znikąd żadnej pomocy otrzymać nie może, a teraz wybuchnął taką wdzięcznością dla tego jedynego człowieka, który... Nina nie potrzebowała sobie tego uprzytomniać: już na zawsze przy nim trwać będzie!

Oplotła jego szyję ramionami i przywarła gorąco ustami do jego ust.

Nie opuszczę cię! wołało zaciekle w jej duszy — na szafot z tobą pójdę!

Bielecki opuścił ją nagle na sofę.

— Zawstydzasz mnie! szeptał z zaciętymi zębami.

— Czem? — zerwała się.

— Twoją miłością! A może — litością, współczuciem, któreś mi dzisiaj okazała!?

Nina wyprostowała się dumnie.

— Ani litości, ani współczucia nie mogę mieć dla człowieka, o którym wiem, że tego surogatu miłości nie potrzebuje, bo sam jest na tyle mocnym, by się przed złą sforą psów obronić...

Bielecki patrzył na nią chwilę, jakby nie wierzył w to, co ona mówi, jakby podejrzywał o podstęp, podejście: ale czyste oczy Niny pałały w tej chwili takim blaskiem szczerości, tak bezgranicznem oddaniem się, że zawstydził się swych małych, brudnych — tak! to teraz mu się brudnem wydało — paskudnych podejrzeń.

Więc ją znowu pochwycił na ręce i powtarzał:

— O ty moje królewskie — moje przebogate dziecko!

Jeszcze silniej objęła go ramionami i z rozpaczną namiętnością garnęła się do niego, ale wciąż jeszcze powstrzymywała słowa, które się jej z serca rwały.

— Moje królewskie dziecko — szeptał Bielecki gorąco.

— Twoje — twoje... dziecko, kochanka, żona... I wiem, że ci grozi jakieś niebezpieczeństwo, ale wiedz, że choćby nawet cały świat się na ciebie rzucił, choćbym sama pod gradem kamieni miała zginąć, wytrwam przy tobie, aż do końca.

Bielecki walczył z czemś, co miało fatalne podobieństwo z tem, co jak słyszał, szlochem nazywają. Jakaś fala bezgranicznej wdzięczności wzdęła się w jego duszy, i pragnęła się wyzwolić ciężkim płaczem — ale zdołał to w sobie stłumić.

Nadsłuchiwał.

Krew mu zakipiała nagle wielkiem szczęściem, jakiego nie doznał dotychczas nigdy.

Co go teraz Górscy, Kotowicze, Uhery czy Hedery obchodzić mogli? Cóż go wogóle na Bożym świecie obchodzić mogło, kiedy już teraz wiedział, że po raz pierwszy jest kochanym i to przez to królewskie dziecko, które mu z jakiejś cudownej bajki w żywą postać wykwitło i ku niemu skłonić się raczyło?!

— Nino! — zawołał, ale poza tem jednem słowem nic wykrztusić nie zdołał, bo głos mu w krtani uwiązł.

I tylko przyklęknął u jej nóg, i tylko jej suknie i stopy całował.

Blady odblask księżyca czołgał się po podłodze. Bielecki wpatrzył się w jedną smugę światła, która zdawała się go hypnotyzować — zląkł się nagle:

— Nino! szepnął.

— Cicho — cicho! Jesteś podrażniony — ale cóż tobie grozić może?

Opanował się nagle.

— Co mi grozić może? Prawda? Nie wiem, co mi się stało, żem tak nagle opadł... Jakaś głupia przypadłość nerwowa, — zaśmiał się wesoło, ale w tym wesołym śmiechu Nina wyczuła drżącą trwogę...

— Ale dajmy temu spokój, po co nam o tem myśleć? Schopenhauer, zdaje się, powiedział, że myśli są paskudnem robactwem życia ludzkiego, wstrętnym czerwiem, który życie ludzkie toczy, więc to wszystko trzeba z mózgu wyrzucić, bo przecież po co i na co człowiek ma wolną wolę!? Zrozum, Nino, ten przeolbrzymi fakt, który człowiek skonstatował jeszcze w epoce Iguanodontów, a który to zdumiewający fakt przetrwał do dziś dnia i jeszcze — po rozmaitych profesorskich łbach się tłucze: ta głupia wolna wola!

Odetchnął.

— Oh, jak to trudno doprowadzić do końca dobrze zbudowany okres zdania.

Nina patrzyła na niego wylękła i smutna.

Jaki on rozdrażniony — myślała — głaskała go i błądziła świeżemi, dziewiczemi ustami po jego twarzy, całowała jego czoło i oczy:

— Przestań, już przestań myśleć!

— Tak, przestanę, — powiedział Bielecki, wyprężył się cały — teraz już zdołałem to całe robactwo z mego mózgu wygarnąć i na śmietnisko wyrzucić.

Osunął się znowu do jej nóg, pieścił je i całował — chwycili się chorym jakimś, rozpacznym odruchem, wcałowali, wwinęli się w siebie, a w oceanie bezpamiętnego uniesienia potonęło całe Schopenhauerowskie robactwo.

Nagle Bielecki ocknął się i nadsłuchiwał.

Nie byłoby Hedery, gdyby to paskudstwo nie był z ciemnych dziur i nor wywołał — ale w tej chwili zamknął oczy — nie chciał — nie chciał o tem ani myśleć — ni tego widzieć.

Porwał Ninę, jakby ją z jakiejś toni ratował... przed jakiemś groźnem niebezpieczeństwem bronił — szał jego i jej się udzielił: w tej chwili stopiła się ich przeszłość i bolesna teraźniejszość, ciężka tajemnica przyszłości w bezdenny lej tego, co wiecznem było i wiecznem pozostanie.

Miał wrażenia, że nie ciało jej całuje, ale jakąś mistyczną tajemnicę: coś, co było tylko symbolem, który to ciało wyrażało — to już

przestało być zmysłowym szałem: to chram jakiś święty!

To już nie było rozkoszą, to było nabożeństwem, uroczystą mszą...

Nina czuła to jedno jeszcze, że wyższą jeszcze ponad wszystko, miliony lat całych ponad wszelką rzeczywistość wybiegającą rozkoszą, byłoby teraz — skonać!

Podwinął pod nią ramiona, ogarnął ją nogami, i nagle zapadł w głęboki sen.

Znała już ten nagły, niespodzianie ogarniający go sen, słyszała nawet, że taki nagły sen przeważnie chorych lub zbrodniarzy nachodzi — i wiedziała również, jak niebezpiecznie z takiego snu budzić...

Nina leżała cichutko przy nim i jęła głęboko rozmyślać...

Dlaczego tego człowieka tak bezgranicznie kochać musiała?

Chwilę się przelękła, że była w stanie takie pytanie sobie postawić, ale powoli, cichuteńko snuła przędzę swych myśli, bo nęciła ją coraz więcej ta zdumiewająca zagadka... Przypomniała jej się bajka, że Matka Boska wzięła dziecinę sierotę do nieba, do siebie, pozwalała jej po całem niebie myszkować, tylko zakazała jej uroczyście, wstępować, lub nawet zajrzeć, do jednej komnaty, gdzie Tajemnica Świętej Trójcy spoczywa...

Ogarnął ją lęk.

Może przestać o tem myśleć?

Ale, jakby na przekór — zaczęło się w jej mózgu roić od najprzykrzejszych myśli.

To, to, co on zrobił, — to z Górskim, to z jego dramatami — zamyśliła się — pocóż on się wobec mnie do tego przyznawał? przecież nie miał do tego żadnej potrzeby! A może chciał tylko ze mną eksperymentować? dowiedzieć się, co w nim pokochałam: artystę, czy człowieka?

Nina patrzyła na niego: w blasku światła księżycowego, które coraz pełniej wczołgiwało się na łóżko, widziała twarz Bieleckiego, jakby oddychała tragicznem czemś, co ją w coraz większy lęk smagało.

Nie śmiała się ruszyć, by go nie przebudzić, tylko z coraz większą trwogą, ale i ciekawością wpatrywała się w niego:

Kto on? zapytała stę nagle.

Nie mogła powiązać najsprzeczniejszych myśli.

Górskiego dramaty... nie śmiała odpowiedniego czasownika użyć — ta Łusia — a! przypomniała sobie teraz dokładnie sprawozdania z gazet — serce trzęsło się w niej — ta Ada — to niedawno jeszcze: tydzień cały o tem pisano — całą siłą panowała nad sobą, by się z jego objęcia nie wyrwać — ta Ada...

I już, już uczuła, że za chwilę się wyrwie, gdzieś w jakimś najdalszym od niego kącie przykucnie i noc tam całą spędzi — a nagle wyrósł przed nią w potwornym majestacie: Hedera!...

Przelękła się, cichutko przytuliła się do Bieleckiego i patrzyła na to widmo, wampira, zmorę... Hedera!

Wytężała oczy, to znowu je zamykała, bo lękała się, czy blask rzeczywistości ich nie oślepi.

I silniej jeszcze przygarnęła się do Bieleckiego, ale z tą nieskończenie delikatną ostrożnością, by go nie obudzić — zdawało jej się, że jakaś moc go od niej oderwie — w jej przemęczonym mózgu widziała Bieleckiego, jak go jakaś niepojęta, głuchym, zjadliwym śmiechem wyjąca siła, wyrywała z jej ramion, rzucała z zaciekłą mocą o ścianę, że mózg wyprysnął z tej ukochanej, tej jedynej głowy!

Przeraziła się tych chorych myśli.

I znowu jęła mu się przypatrywać z matczyną prawie miłością — oczy jego wydały się jej zapadnięte, policzki wychudłe — jasnowidzącą siłą miłości uczuła, jak on — ten jedyny — ten ponad wszystko ukochany, musi się męczyć...

Stanęło jej nagle przed oczyma polowanie na dzika, które kiedyś na obrazie Snydersa

widziała. Cała sfor ogarów, złych, zaciekłych, obskoczyła dzika, a on gna przed siebie; raz po raz tylko obraca się: tu jednemu psu kłem brzuch rozpruł, tu innemu jednem chapnięciem mordę zmiażdżył — tam tylko głową huknął, a na parę metrów ogara odrzucił... Śmiała się jej dusza:

Piękny jest! patrzyła na Bieleckiego z coraz większą miłością.

I cóż on takiego zrobił?

Tam jakieś dramaty?!

Och, jakie to śmieszne!

Nietzsche podziwia małpę, która człowiekiem się stała — oczekuje człowieka, który poza człowieka wyjdzie, i przed którym wszyscy na twarz padną, a tu jakiś człowiek zapragnął wyjść ponadto, co jest w stanie zrobić, co już leży poza obrębem jego sił — i nagle straszna awantura!

Zachichotała cichuteńko i wesoło w siebie.

Potarła czoło:

Dziwne!

Zdawało jej się, że jakieś trzy warkocze myśli w jej duszy się splatają: Jeden: głupie jakieś dramaty, które Bielecki ponoć... przywłaszczył sobie. Drugi: czynem tym prawdopodobnie chciał wyjść poza siebie i chciał społeczeństwu zrobić wielką i wspaniałą rozrywkę i rzeczywiście ją mu zrobił, a trzeci, zu-

pełnie nierozplątany: ale ten tylko mnie dotyczy i ten ja rozplątać muszę. — Ale wy — wy Hedery — czegóż wy chcecie?

Myśli jej poczęły błądzić tam i sam. Miała wrażenia, że w jej mózgu wygrzewa się stojąca woda, na której raz po raz jakaś bańka — zielona, jadowita wyskakuje w parnem, burzę już wietrzącym, południu dnia lipcowego, w którem tak ta cudna aleja lipowa pachnęła, że chodziła, jak odurzona. — Myśli jej jeszcze głębiej chciały się wwiercać, szerzej jeszcze się rozbiedz, ale miała jeszcze tyle siły, by je odgonić, jak psotliwą dzieciarnię.

A tu nagle:

Hedera?!

Była zdumiona, że ani na chwilę widmo Hedery ją nie opuszczało... Ten Hedera wydał jej się – stężała z lęku — czemś tak nieprawdopodobnem — czemś, o czem dobrze nie wiedziała, czy na prawdę istniał, czy też nie... Lęk jej stał się bólem fizycznym — oczy jej się rozwarły, bo zdawało jej się, że im szerzej je roztworzy, tem głębiej zdoła wniknąć w dno zagadki, która ją bezustannie od całych tygodni męczyła, a nagle, jakby zrozumiała, ale nie jasnym mózgiem, tylko tym samym, który w mrokach przeczuć błądzi, do komnaty zakazanej, w której święta Trójca przebywa, lękliwie się dobija:

Hedera! Hedera! Jakby coś zatrzeszczało w jej mózgu — to może Bielecki sam — z przerażeniem prawie spojrzała na Bieleckiego, z przerażeniem uczuła, że się jakieś dziwne rzeczy w niej dzieją.

Twarz Bieleckiego się wydłużyła, oczy jęły się zapadać w jakieś głębokie oczodoły, usta wykrzywiły się piekielnym, zbolałym chichotem, i słyszała, jak najwyraźniej — chociaż słów rozróżnić nie mogła, że mówił — nie z sobą Bieleckim — ale z sobą Hederą!

Ale ponad przerażenie, ponad jasnowidzącą moc człowieka, która najskrytsze tajnie życia przenika, zwyciężyła nagle oślepiająca siła miłości.

Zapragnęła teraz objąć go całego, nie: całem ciałem go przykryć, a nawet mu powiedzieć — nie, nietylko powiedzieć, ale bezustannie mu mówić, że te dramaty ją nic nie obchodzą, że to śmieszne głupstewko — że najwięcej wzruszająca tragedya na scenie jakiejś, jest niczem wobec zaciekłych zapasów Bieleckiego z Hederą!

Hedera rósł w jej oczach do bezmiernych rozmiarów. Raz jej się wydawał szatanem, z którym się on — Bielecki w jej oczach był jakimś niezłomnym bohaterem — zstąpił w królestwo ciemności i nieustraszony zmagał, walczył z nim o panowanie nad mrokami, mgłą i nocą... To

znowu widziała go — Hederą, jak na niedostępnej drabinie królował, a w Bieleckim było tyle odwagi i mocy, by zwycięsko się na nią drapać i z archaniołem: Hederą — się mierzyć...

Poczuła głęboką cześć dla niego. Z szatanem, z archaniołem się zmagał — bezustannie nad przepaścią tańczy, igra z życiem i śmiercią... zachciało jej się śmiać, śmiać bez końca:

Czem głupie jakieś napisane dramaty wobec tej zaciekłej walki nieznanych mocy w człowieku samym!

Oślepiła ją teraz nagła, przerażająca jasność: ujrzała wreszcie Bieleckiego!

VII.

Bielecki siedział w swoim redakcyjnym biurze, a raczej gabinecie, bo gabinet ten był z takim komfortem urządzony, że go biurem nie było można nazwać, i głęboko dumał.

Nienawidził tej zadumy, która już z śnieniem graniczyła, ale oprzeć się jej nie mógł.

Zdawało mu się wtedy, że myśli jego mówić poczynają — he! gdyby to mówić! ale krzyczyć, tak, że wszyscy naokół je słyszeć mogli...

Całkiem, jakby jakiś zbrodniarz, który lęka się usnąć, bo wie, że podczas snu wszystko głośno wygada, a detektyw, który w tym samym pociągu z nim jedzie, może tą najprostszą drogą najwierniejszy obraz zbrodni zrekonstruować!

Wprawdzie dla niego, Bieleckiego, zbrodnia jest tylko kategoryą werbalną, bo kto może dowieść, co jest cnotą, a co zbrodnią w znaczeniu metafizycznem, bo w tem tylko znacze-

niu etyka istnieje, a więc jej wcale niema, bo wszystkie metafizyki wydawały się Bieleckiemu zawsze czemś w rodzaju kwadratury koła, lub też tysiącznego wymiaru, a więc czemś całkiem irrealnem i do życia codziennego zastosować się nie dającem. Dziwne jednak, że są ludzie, którzy tą kwadraturą koła posługują się z bajeczną sprawnością.

On, Bielecki, wówczas dopiero pomiarkował, że jest coś źle, gdy widział, że areopag ludzki za to nieistniejące zło karze, i naodwrót to, również nieistniejące dobro, czci i uwielbia.

Jeszcze głębiej zapuścił się w swoje etyczne dociekania.

To jednak się nie zgadza.

Bo przecież on, który Łusię na śmierć powiózł, i dla babci był pomostem do pól elyzejskich, i dla Borsuka tworu stał się Herostratem — ile razy Borsuka wspomniał, odruchowo się wstrząsał — i co to on jeszcze zrobił? Ada — Ada! no tu się rachunki wyrównały same z siebie — no i ten Poraj — psia krew! niewyczerpany register tych wszystkich, tak zwanych zbrodni — a mimo to jestem poważanym mistrzem, stałem się teraz wyrocznią w sprawach teatralnych dla całego społeczeństwa, postrachem dla prasy rodzimej, bo nie lada jestem szermierzem, oczywiście z pomocą Gwonta — i przy tym punkcie się zastanowił.

To jednak zdumiewające i wprost niewiarogodne, bym ja, w pojęciu ludzkiem zły człowiek, a nawet zbrodniarz, zdołał zyskać miłość tej słonecznej, tak mu bezgranicznie ufającej kobiety... zrobił przystanek: Gwoncie poczekaj chwilę, zaraz do ciebie wrócę...

Tyle etyczno-metafizycznego zoryentowania w pojęciach ludzkich miał, że mógł rozróżnić to, co dobrem, a, co »złem«, ludzie nazywają, więc, gdy popadał w rozdrażnienie, rozwłóczył przed Niną obraz swego życia: akta, które nie istniały, potworne szubrastwa, których nie byłby w stanie popełnić ze względów »estetycznych«, wszystko wywracał »à rebours«, stawał się chodzącą wymową, godną Demostenesów i niczem Cicero wobec niego, a pachołkiem w bronieniu »Blonder Bestie« Nietzsche mu się wydawał, gdy brał w gorącą obronę wszystkich drapichrustów, szubrawców, a nawet w końcu w zacietrzewieniu Kubę-Rozpruwacza — Nina zanosiła się wówczas od śmiechu.

O! mój pan w dobrym humorze! Wspaniale sparodyował Barbey d'Aurevillowski »diabolique-satanique« — ton — wspaniale!

Napisz to, napisz! to będzie cudowne wykpienie tego śmiesznego snobizmu różnych dowódców i rozmaitych Egeryi, które między ciebie i mnie gwałtem się wdzierają i tych hieratycznych Oskara Wilde'a małpujących ucz-

niów i adeptów czarnej magii i smakoszów móżdżku niewiniątek... Ha, ha, Nina śmiała się, jak rozbawiony dzieciak.

Bielecki zadrżał — był osłupiały: niczem jeszcze nie był tak zdumiony i przerażony, jak tą gorącą wiarą w niego, a przecież on dobrą połowę tego, co opowiadał, istotnie w czynach zrealizował — ta wiara była dla niego czemś całkiem niezrozumiałem, a równocześnie przejęła go tak głębokiem wzruszeniem, że chwilę nic mówić nie zdołał, aż wreszcie wybuchnął:

— Przecież ja Górskiemu dramaty skradłem!

Podeszła ku niemu, wzięła jego twarz w obie ręce i patrzyła chwilę głęboko w niego:

— Chociażbyś je skradł, to mnie to nic nie obchodzi, ani miłości mej nie dotyczy. Ale teraz już wiem: tyś małą chwilkę ze mną eksperymentował, boś chciał wiedzieć, czy sławnego artystę w tobie kocham, czy człowieka. Raz jeszcze ci powtarzam, że nic poza człowiekiem w tobie nie kocham i takim właśnie, jakim jesteś, a równocześnie wiem teraz, żeś tych dramatów nie skradł.

— Skradłem! — wołał Bielecki już wprost zrozpaczony nowym, nieznanym mu dotychczas uczuciem: upokarzającym wstydem.

— Heniu! — zarzuciła mu ręce na szyję i mówiła do ucha.

— Czemu ty się upierasz przy tem małem kłamstwie? przecież ja tak dobrze rozumiem, że ono było potrzebne — bo nie chciałeś mieć kobiety, która tylko na twój talent leci, twoimi dramatami się chełpi, a człowieka tego mojego, jedynego — w tobie nie widzi.

Bielecki zachłysnął się raz i drugi, chciał coś powiedzieć, ale tylko ustami poruszał, w oczach poczuł łzy: to moją śmiercią! pomyślał w najwyższem przerażeniu, odsunął ją delikatnie od siebie — ale ona jeszcze goręcej objęła jego szyję:

— Jakeś ty mnie musiał kochać, jak gorąco kochać, jeżeliś nawet tak potworne kłamstwo wymyślił, by wypróbować siły mojej miłości... Jakiem ja dzieckiem wtedy byłam, żem w to jakiś czas uwierzyć mogła, a nawet ciężkie chwile przerażenia przeżywała, gdy Hedera plótł trzy po trzy o jakimś tam Górskim, bo myślałam, że ci jakieś niebezpieczeństwo grozi... Daj już spokój tej niewinnej komedyjce, przecież jej już grać nie potrzebujesz — przecież mnie już masz, przecież wiesz, jak cię kocham...

Pod Bieleckim kolana się zachwiały — mróz lęku ściął mu żyły. Wiara lub niewiara społeczeństwa ostatecznie mogłaby go zniesławić,

pod pręgierz opinii publicznej postawić, ale czem to było dla niego teraz, gdy miał Ninę? Ale jej, właśnie jej, Niny, niepojętą wiarę w niego zniszczyć — o! nie! to lepsza śmierć!

— Nie myślałem, że ty tak bystro kombinować umiesz — uśmiechnął się blado.

— Już nic nie mów! — zamknęła mu dłonią usta, już ty mnie nie zwiedziesz, ani w pole wyprowadzić nie zdołasz.

Bielecki jęknął, ocknął się, ale, że już gęsty zmrok zapadał i nic nie widział, więc na nowo rozgaworzyły mu się myśli w ciemnej zadumie.

Sytuacya zaczyna się przeraźliwie komplikować.

Społeczeństwo żąda odemnie dramatów, których — okłamywać się nie potrzebujemy, panie Bielecki — z własnego rękawa nie wytrzęsiesz, a o drugiego Górskiego trudno. Ale to niczem jeszcze wobec tej przeraźliwej wiary Niny w niego.

Z chwilą, w której Nina tę wiarę straci, to... zerwał się — nie mógł, nie chciał kończyć myśli — serce się w nim trzęsło, jak u człowieka, który wie, że oprawca się już zbliża i za chwilę do jego celi zapuka. — Nie tchórz! warknął w siebie, wiesz dobrze, że ją wtedy stracisz! A równie dobrze wiesz, że bez niej —

ha, ha — pocóż ci bez Niny żyć — by w rynsztok się stoczyć?

Nagle nowa myśl rozłuniła ciemny firmament jego mózgu: zmarszczył czoło pod natłokiem całego ciężaru myśli.

Nina za mądra, zbyt głęboko wdrążyły się się jej oczy w moją duszę — miłość Niny zbyt jasnowidząca, by mogła sądzić, że to wszystko, com jej powiedział wtedy, gdym jej miłość wyznawał, było tylko komedyą — tylko eksperymentem, by wypróbować wartość złota jej miłości... Może to raczej nowy heroiczny wysiłek, by tą wiarą podeprzeć walącą się chałupę?

Ale, czyż to zmienia postać rzeczy?

Może siłą swojej miłości zdołała przemódz wstręt do wszelakiego rodzaju łajdactwa w nim, wielkim człowieku, a tynkiem wiary obrzuca w sobie rysy, które coraz groźniej na murze jej miłości się pokazują? Może sama siebie tą wiarą ratować pragnie?

Na chwilę pustynna cisza — a nagle, gdyby przykre strzyknięcie jakieś złośliwej »Ischias«: myśl, którą był urwał i na próżno starał się odnaleść:

Gwont!

I, jakby go dotykalnie widział, wyrósł mu przed oczyma człowiek o wysokiej, barczystej, nieco przygarbionej postawie, rasowych ry-

sach twarzy, już trochę szpakowaty, a nadmierna prawie inteligencya biła łuną z całej postaci.

Kto on? Bielecki zanurzał się w jakichś nieznanych mrokach.

Dlaczego ten człowiek od pierwszej chwili powziął dla niego tak głęboką sympatyę, że już po pierwszym poznaniu zaproponował mu »ty«?

Opatrzność jego, czy co?

I jedyny człowiek, o którym Bielecki wiedział, że jest jedynym jego przyjacielem, jakiego w życiu posiadał.

Wprawdzie cała ta dawniejsza banda Chrześniaków, Zieleniaków, Gajeckich — no i tak bez końca — łasiła się teraz do niego, gdy straciła swego herszta św. p. Kotowicza, krążyła naokół niego uniżenie i z największą czcią — ha! ha! roześmiał się wzgardliwie: dał im posady — ale żadnemu z nich nie wierzył, i nie ręczył, czyby go w danym razie za dziesięć kopiejek nie sprzedał.

Ten jeden!

I znowu to przekleństwo jego życia, że ten jeden dawał, a nic wzamian nie brał.

Jak obrzydliwa ropucha rozłaziło się zwolna po nim całym wstrętne uczucie upokorzenia, wstydu, i wstrętu przed samym sobą.

Wcale nie myślał się kryć przed sobą...

oh! rozporządzał dużym zasobem odwagi, a siebie samego okłamywać, uważał za najwstrętniejsze, bo głupie tchórzostwo — że całe to pismo... zerwał się z fotela, zapalił elektryczne światło.

Na przeciwległej ścianie wisiał bardzo piękny afisz jednego z najwięcej uzdolnionych malarzy polskich, przedstawiający święty gaj litewski, w którym się tajemnicze i tylko dla wtajemniczonych przystępne obrzędy odbywały, a na górnym brzegu afisza widniał napis: »Romowe«

Bielecki patrzył długo na afisz i wszystko mu się wydawało niepojętem, jakimś snem, wizyą deliryczną.

Gdzie on — Bielecki, mocny człowiek nagle się dostał? W święty gaj? Przy jego boku kobieta, czysta, jak łza, która wierzy, że on, Bielecki, kłamie, gdy się z swych zbrodni spowiada, a może mocą wielkiej miłości udaje, że wierzy, by żelaznym słupem swej wiary walącą się ruderę podtrzymać...

A ten Gwont, którego myślami on, wielki mistrz Bielecki żyje — ten Gwont, który w każdej linijce musi przecież własne swoje słowa i myśli rozpoznawać, a udaje, że choruje na jakąś chorobę Korsakowa i zapomina, co przed chwilą powiedział, a na drugi dzień przychodzi i winszuje mi gorącem sercem olbrzymiego

sukcesu, jaki moje artykuły na publikę wywarły, — to już chyba jakiś majak szatański!

Zupełnie cieleśnie i dotykalnie widział Gwonta, jak chodził naokoło pokoju, jak rozsnuwał kosztowne nici swych myśli, jak je dzierzgał w misterną tkaninę, — w bogate kobierce, najkosztowniejsze, jakie ludzkość stworzyła, przetykał nową złotą nić — widział ze zdumieniem, jak prosty, ślepy kamień nabierał w oświetleniu Gwonta szlachetnego połysku i mienił się najczystszą wodą, a on, który niczem więcej nie rozporządzał, jak tylko pamięcią i zmysłem kombinacyi, słuchał chciwie. Każda myśl Gwonta była dla niego kamyczkami, z których już prostą wprawą dziennikarską mógł układać kosztownej mozaiki.

Wtedy rzucał się z gorączkową siłą do pracy, by jednego słowa nie uronić — wszystko, co pisał, było pisane, jak pod dyktatem — jednego słowa nie zapomniał, nic nie gubiło się w gorączkującym mózgu, — Bielecki stawał się potęgą, którą jedni podziwiali, inni się jej w nim lękali, nienawidzili, a Bielecki coraz to potężniejsze gromy myśli ciskał — niebotyczne katedry nowych myśli stawiał, coraz to cudowniejszemi mozaikami je ozdabiał, aż wreszcie w wściekłem, nienawistnem opamiętaniu, gdy Gwont z myśli swych cudowny haft dzierzgał — zapytał wrogim sykiem:

— Czemu ty sam tego nie piszesz?

Gwont spojrzał na niego zdumiony.

— O czem ty mówisz?

— Przecież ty i ja okłamywać się nie będziemy — przecież doskonale wiesz, że te moje artykuły, które regularnie podziwiasz, jako moje własne utwory, tobie jedynie zawdzięczam.

— Drogi mój, powiedziałeś to bardzo niemądrze — bo jeżeli ja przypadkowo znajdę surowy kamień, zaniosę go do mistrza jubilera, a on mi go pięknie oszlifuje i artystycznie oprawi, czem kamień dopiero nabiera właściwej wartości — to przecież ja właściciel kamienia nie mam żadnej zasługi i w grę nie wchodzę, tylko ten majster, który go mistrzowsko oprawił. Tak, czy nie?

Bielecki wpił się żarłocznemi oczyma w Gwonta:

— A dlaczego ty sam nie oprawiasz tych kamieni, które posiadasz?

— A po co? Rzemiosła żadnego wyuczyć się nie mogłem i nie chciałem, więc przynoszę je do oprawy tobie, który swoje rzemiosło zna, jak nikt inny i co tydzień cieszę się cudowną oprawą tej surowizny, którąby bez twego kunsztu pozostała nieużytkiem.

— Jubilerem twoim jestem?—Bielecki pienił

się w napadzie nagłej wściekłości i zląkł się, bo tych napadów coraz częściej dostawał.

Gwont wytrzymał spokojnie napór gniewu rozpacznej bezradności, który tryskał z krwią nabiegłych oczu Bieleckiego.

— Oczywiście, ale takim, jakim jaśnieje nazwisko Celliniego, lub wielkiego norymberskiego mistrza Jamnitzera. Teraz już takich nie mamy, więc dlatego się tak do ciebie przywiązałem, bo wiem, że drugiego takiego majstra-jubilera dla mych myśli nie znajdę.

Gwont się nagle zamyślił.

— Ja dobrze rozumiem, że ty się musisz obruszać, bo tkwisz w rzemiośle: to całkiem, jak w tej fatalnej industryi — kłócą, procesują się o wynalazki, komu pierwszeństwo w nich przynależy — wy znowu obrzucacie się zarzutami plagiatów, kradzionych myśli, podejmowania obcych pomysłów — a w gruncie rzeczy jesteście strasznie śmiesznym narodem — wy literaci....

Powiedział z ciężką pogardą to »wy«, ręka jego żylasta położyła się na ramieniu Bieleckiego.

— Nie stosuje się do ciebie i właśnie dlatego poczułem dla ciebie tak głęboką sympatyę, bom pierwszy raz poznał literata, który nim nie jest...

Oczy Bieleckiego raziło elektryczne światło,

więc zwlókł się przemęczony z otomany i zgasił je.

Z ciemności wyłoniła się nagle szydercza, zbolała twarz Górskiego.

A widzisz! szeptał mu Górski z dobrotliwym uśmiechem do ucha: A nie mówiłem ci, że literackie rzemiosło to brudna rzecz? I jakiś ty głupi! Gdybyś był w myśl pana Gwonta powiedział: dostałem surowe kamienie od Górskiego do oprawy, właściciel tych kamieni zmarł i nie zostawił żadnych spadkobierców, a więc należą do mnie... ha, ha!

Byłbyś postąpił nietyle rzetelnie, ile mądrze i nie byłbyś sobie zgotował tych niesłychanie przykrych następstw — bo już teraz nikt ci nie uwierzy.... A dlaczego pan Gwont ci wierzy? skąd wiesz, czy to nie podstęp? może jakaś zasadzka? może to...

Tu Bielecki podskoczył w przerażeniu — zaćmiło mu się w oczach, potoczył się o meble, drżącą ręką zapalił na nowo elektryczną lampę i obejrzał się z lękiem naokół:

Dygotał cały:

— Surzycki — Uhera — to pewno Gwont, który mi Hederę nasłał, aby mnie w pułapkę zwabić...

I w tej chwili posłyszał gwałtowne dzwonienie elektrycznego dzwonka — raz, drugi i trzeci...

Było to przerażeniem i wyzwoleniem zara-

zem — ale któż tak gwałtownie mógł dzwonić? O tej porze?

Bielecki! strofował się — ty poczynasz się stawać nerwową babą, która się lada szmeru lęka... przypomniał sobie równocześnie, że służącego posłał na pocztę, więc rezolutnie wyszedł do przedpokoju, zaświecił lampkę elektryczną — co za dobrodziejstwo, ta elektryczność, pomyślał mimochodem, a przytem przeleciało mu przez głowę na tysiączną część sekundy, że mógłby teraz stanąć oko w oko z jakimś browningiem, ale to go teraz dziwnie mało obchodziło.

Otworzył spokojnie drzwi.

Ujrzał Borsuka.

Na razie tych odwiedzin się nie spodziewał.

Borsuk był cały zjeżony, blady, a oczy jego latały błędnie w jedną i drugą stronę, jakby szukały jakiegoś oparcia, na którem, śmiertelnie zmęczone, spocząćby mogły.

— Wybacz — powiedział niespokojnym głosem — że cię o tak późnej porze nachodzę, ale widziałem światło w twoim redakcyjnym pokoju...

— Ależ rad jestem, że cię widzę — chodź — chodź — tyś za wielki pan, by się z tobą w przedpokoju rozprawiać.

Bielecki zaprowadził go do redakcyjnego

gabinetu — w tej chwili uczuł ten pokój, wskutek uprzedniej sugestyi, nietylko jako salon — ale, jak jakieś istotne Romowe — święty gaj, w którym on miał wieczny odpoczynek znaleźć z białym koniem — aha! to Gwont! swoją kochankę: to Nina — i... czem Borsuk? jaką rolę miał Borsuk odgrywać w tem całopaleniu — nie wiedział jeszcze — tylko przeczuwał... doskonale w języku polskim nazywa się to jakieś uczucie: przeczuciem — czyli — psiemczuciem...

— Serdecznie się cieszę — mówił Bielecki — żeś do mnie wpadł — czekam na służącego, którego na pocztę posłałem — bestya nie wraca, a markotno mi samemu.

— I ja cię nie rozweselę — mruknął Borsuk.

— W jakimś dziś marnym humorze jesteś — próbował żartować Bielecki, chociaż nijako mu na sercu było.

Borsuk milczał długą chwilę ze spuszczoną głową, a potem zwolna podniósł ciężar tej przemęczonej głowy i wpił się oczyma w oczy Bieleckiego.

Bielecki wszystkie siły wytężał, by módz tę wściekłą, złą moc: tę nawałnicę, tę zwalającą się z wysokich wyżyn skałę tego spojrzenia wytrzymać.

— O co ci chodzi? — spytał spokojnie.

— O co? — Bielecki zmógł w tej chwili Borsuka.

— O co? — powtórzył Borsuk niepewnie, potarł czoło i utkwił oczy w podłogę.

Znowu zaległo milczenie.

Ale dziwne: Bielecki nie śmiał nalegać.

— Silniejszy jesteś ode mnie — uśmiechnął się Borsuk sztywno...

— Czemu ty zagadkami do mnie się odzywasz?

Borsuk nic nie odpowiedział, tylko zaległ nad Bieleckim ciężarem tak rozpacznego, zaciekłego smutku, że kolana pod nim zadygotały i sam opadł w fotelu.

Po długiej chwili Borsukowi dusza się uspakajała, a Bielecki potniał na myśl, jaką zbrodnię na tym człowieku popełnił.

Borsuk spojrzał już spokojnie na Bieleckiego i mówił cichym, przerywanym głosem, a jak się Bieleckiemu zdawało, krwią przenajświętszego smutku ociekającym głosem — to wyrażenie Ninie skradł — coraz większy wstręt przed samym sobą jął go ogarniać:

— Zaprosiłeś mnie na artystycznego kierownika »Romowe« — mówił Borsuk — piękna, bardzo piękna nazwa — ale widzisz, ja ci się na nic przydać nie mogę, bom ja psychicznie sparaliżowany, moje ręce bezwładne — pędzla

już utrzymać nie mogę — trzy ćwierci duszy mi w tym fatalnym pożarze spłonęło — tu utkwił i była chwila, w której Bieleckiemu się zdawało, że Borsuk się na niego rzuci — ale Borsuk przygłuchł i powiedział tylko:

— Jakąś tam ćwiartką, czy ósemką służyć nie mogę.

— Ale zastanów się, człowieku, ty nie masz nic więcej robić, jak tylko twoje zdanie wygłosić, co sądzisz o obecnych wystawach... pisać nie potrzebujesz — ja sam to napiszę i przedłożę do twojej oceny, czy się zgadzasz, czy nie... — Możesz w każdej chwili twoje uwagi robić, wpleść oceny dzieł malarskich...

Borsuk wstał.

— Nie — nie, mój drogi — nie mam prawa oceniać tworu ludzi, którzy pracować mogą, ja, który już nie jestem w stanie, nic stworzyć. Twojemu »Romowe« też służyć nie mogę. Bądź zdrów — wskrześ z popiołów całą moją długoletnią pracę — wtedy z rozkoszą — na razie... urwał, odwrócił się i wyszedł.

Po wyjściu Borsuka stał Bielecki, jak skamieniały, a potem rzucił się na otomanę, nie wiedział dobrze, czy w wybuchu śmiechu, czy płaczu ryknął na cały głos:

Wesoło żeglujmy, wesoło
Po życia burzliwej powodzi!

VIII.

W uroczystym, jubileuszowym dniu półrocznego istnienia »Romowe« odwiedził Bieleckiego w redakcyi pan Hedera.

Bielecki był temi odwiedzinami trochę zdumiony, bo pan Hedera od czasu założenia tygodnika nigdy w redakcyi się nie pokazywał.

Pan Hedera witał się nadzwyczaj uprzejmie z Bieleckim.

— Pan zdziwiony? Rzeczywiście, od czasu powstania »Romowe«, nie uważałem za stosowne przerywać panu jego nad wszelką miarę cennej pracy redakcyjnej i czasu mu zabierać, ale »Vis major«, że tak powiem, czyli wyższe względy, mówiąc po polsku, do tego mnie zmusiły.

Bielecki uczuł lekki niepokój, bo znowu stanął mu przed oczyma Uhera, ale tem serdeczniej ściskał dłoń pana Hedery.

— Wdzięczny jestem temu »vis major«, tym wyższym względom, które pana zmusiły

raz wreszcie zaszczycić swoją obecnością Jego »Romowe« — czyli ten święty gaj, który pan stworzył i wychodował.

Hedera usiadł i zdawał się Bieleckiemu usilnie przypatrywać.

– Niestety! w tym czarownym gaiku święte brzózki schną...

Bielecki patrzył na niego uważnie i czujnie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Hedera zrobił zakłopotaną minę.

— Właściwie byłoby mi niezwykle miło, nic przez to nie potrzebować powiedzieć, bo dałem panu chyba dowód, jak głęboko go szanuję, a poniekąd jestem zwolennikiem towarzyskiego nihilizmu, który nakazuje »nic« nie mówić i nic przez jakieś powiedzenie nie rozumieć, i dlatego z trudem przychodzi mi pod moje słowa jakiś głębszy sens podłożyć.

Kpiny jakieś urządza, czy co? pomyślał Bielecki, ale słowa nie odpowiedział i czekał.

I Hedera miał widocznie czas, bo dopiero po długiej rozwadze i namysłach jął ciągnąć swoją rzecz dalej:

— Tak, tak, to smutne, wysoce smutne, patrzeć na to, jak w tym świętym gaju te piękne drzewa umierają, źródło wysycha — trudno: ale ja z siebie całopalenia urządzić nie mogę...

Bielecki drgnął wewnętrznie. Co to miało znaczyć? Jego myśli własne z przedwczoraj?

Hedera wlepił w niego swoje bystre przenikliwe oczy.

Teraz czekał Hedera na zapytanie Bieleckiego, ale ponieważ i Bielecki miał widocznie dużo czasu, więc nie spieszył się z »kwestyą« — tylko się roześmiał.

— Czemu pan się śmieje? — zapytał się Hedera ciekawie, ale w oczach jego dojrzał Bielecki chytre, podstępne błyski.

I w tej chwili zyskał równowagę.

— Pan wie, że specyalnie teatrem się zajmuję...

— O tak jak najspecyalniej — powtórzył Hedera z głupią miną.

Bielecki przybrał kpinkowaty wyraz twarzy.

— No więc — miałem przed chwilą wrażenie, że jesteśmy na scenie, jesteśmy aktorami, zapomnieliśmy doszczętnie naszych »kwestyi«, jak to się w żargonie aktorów nazywa, więc nie wiemy, jak rozmowę ciągnąć — właśnie wczoraj widziałem aktora, który rolę zapomniał i wprawił przez to swego partnera w bardzo kłopotliwe położenie...

— Pana ja mogę z tego położenia wybawić.

Hedera uśmiechnął się dyskretnie, ale spojrzał na Bieleckiego takim zimnym, stalowym wzrokiem, że Bielecki na chwilę uczuł się, jak sparaliżowany, bo czuł z zachowania Hedery

coś tak niezwykłego, tajemniczego upiornego... odwrócił się, by nie pokazać Hederze, jak jest zaniepokojony i zapalał długo papierosa.

Górski stanął mu przed oczyma.

I właśnie dlatego, że się tak przyzwyczaił do tej upiornej wizyi, obrócił się nagle do Hedery i zaśmiał się wesoło:

— Ach, drogi panie, jakie to było kapitalne! To biedactwo nie mogło sobie w żaden sposób przypomnieć tego miejsca roli, więc z wściekłością podszedł do budki suflera i krzyknął: gadajże durniu!

Hedera się uśmiechnął lekutko:

— No to ja durniem nie jestem, ja swojej roli nie zapomniałem — przytem między panem, a mną — suflera nie potrzeba — to tylko, że nasze role wymagają więcej czasu, aniżeli te na scenie, które jeden pan autor, również wielki, jak pan, wymagał, by były »siekane«.

Bieleckiego ogarnęło zniecierpliwienie:

— Z czem pan przyszedł? — zapytał ostro.

— Zaciszny gaik tu sobie pan stworzył — cedził Hedera — ale niestety tu nie powiekujemy.... Z czem ja przyszedłem? Otóż w tem właśnie tkwi przyczyna, że nasze »kwestye« tak zwolna po sobie następują...

— Mów pan, do dyabła!

— Po to właśnie przyszedłem, by mówić, a że to nie jest łatwo wobec poważnego i wiel-

kiego mistrza gładko mówić, to pan, jako artysta-psycholog, łatwo zrozumie.

Teraz Bielecki rzeczywiście wszystko zrozumiał, wszystko się w nim zatrzęsło głuchym lękiem — więc się tylko uśmiechnął i podał Hederze papierosa.

— Przy wonnych pasmach tytoniowego dymu raźniej się myśli toczą — powiedział.

— Tak, tak — Hedera zapalał papierosa — to już nasz wielki, choć nieznany poeta śpiewał:

»Przy kominie z lulką stoję,
Puszczam w kłęby dym...«

— Wprawdzie gada też o tem, że wszystkie wspomnienia ulatują razem z nim — ale wątpię, żeby to było tak łatwe: pomyśl pan tylko — mnie się to wydaje lirycznem błazeństwem — ha! ha! zapalam lulkę, czy też papierosa i odrazu pozbywam się wszystkich moich wspomnień — cóż pan o tem sądzi?

Coraz gorętszy niepokój kipiał w duszy Bieleckiego, ale jeszcze panował nad sobą.

Tylko w mózgu jego dudniło bezustannie jedno słowo: Uhera — i stało się takim nakazem, taką, od jego woli uniezależnioną siłą, że wprost nie pojmował, iż zdołał go nie wykrzyczeć.

— A tak! toś pan tego rodzaju niedorzecz-

ności bardzo trafnie nazwał: lirycznem błazeństwem! doskonale!

Nagle spoważniał — czuł, że dłużej tego zwlekać nie można: wystąpił na arenę do boju na życie i śmierć — i ta myśl wydała mu się lirycznem błazeństwem, w każdym razie: dosyć już tej śmiesznej roli pocącej się myszy wobec czyhającego kota!

— Teraz dosyć kpin, drwin, tajemniczych domyślników, przenośni — spojrzał na zegarek — właśnie na ten czas zamówiłem moich współpracowników na naradę redakcyjną...

— Ależ będzie mi niezmiernie przyjemnie poznać kapłanów, którzy się w mojem »Romowe« rozgościli, bardzo przyjemnie...

Urwał, bo w tej chwili stanął w drzwiach człowiek, który pana Hederę w przyjemne zdumienie wprawił.

Wejście tego pana i Bieleckiego rozradowało — będzie miał czas przygotować się na odparcie ciosów, które za chwilę nań spadną.

Człowiek on miał prawie piękną, chrystusową twarz, tylko oczy zdradzały chwilami chytrość i przebiegłość — czoło wysokie przepasane było taśmą, za którą tu i owdzie tkwiły liście i zioła, a na plecy spadały długie, ciemne, starannie uczesane kędziory włosów. Na sobie miał coś w rodzaju chlamidy brunatnego, spłowiałego koloru, zamiast spodni

coś, co przypominało trykoty tejże samej barwy, używane przy kąpieli, tylko znacznie dłuższe, na nogach bosych sandały, przymocowane wysoko zasznurowanymi rzemykami.

— Pan Okaima — przedstawiał Bielecki — redaktor dodatku do »Romowe«: »Ex oriente lux!«

— Bądźcie pozdrowieni dzieci błogiego szczęścia! — wyrzekł Okaima i siadł bez ceremonii.

Spojrzał na Hederę.

— Pan zdaje się być owym człowiekiom, który miał zaszczyt i wysoki honor, że pierwszy pomógł rozpalić kaganiec najwyższej kultury w dodatku »Romowe«?

Hedera pokłonił się z uszanowaniem.

— Do pogańskich gajów naszych — ciągnął Okaima — ja wpuściłem oślepiające światło wiedzy Vedanty...

— Znośne, niestety tylko dla tych, którzy poznali naukę Yogi i w wszystkie jej tajemnice wniknęli.

— Ma pan poniekąd słuszność, ale panu ma Polska do zawdzięczenia, żeś pan dał mi możność, publicznie tę naukę głosić. W praktycznem zastosowaniu przyda się nietylko mnie, który bez paszportu całą Rosyę, wzdłuż i wszerz obszedłem, ale i panu, który, jak bardzo wyraźne pogłoski krążą, jest w ciężkich

opałach, by nasz święty gaj w dalszym ciągu utrzymać...

— Nauka Yogi, zdaje się, nie pokryje moich bardzo znacznych strat... pogłoskom tym nie zaprzeczam i właśnie w tej sprawie przyszedłem do pana Bieleckiego.

Tym razem Bielecki drgnął i tak się tego zawstydził, że spojrzał na podłogę, bo miał wrażenie owego idyoty z bajki, który dziurę przeskoczył i obejrzał się poza siebie, czy przypadkowo w nią nie wpadł.

Pochwycił wzrok Hedery.

Jednak wpadłem, pomyślał, bo ujrzał, jak się Hedera nieznacznie uśmiechnął.

— Popełnia pan zbrodnię — mówił Okaima — na sobie samym i na całem społeczeństwie, jeżeli pan dla marnego grosza...

— Ale ja już tego marnego grosza nie mam — przerwał mu Hedera.

Okaima spojrzał na niego pogardliwie.

— Jakto? Już nie?

— Utrzymanie świętego gaju bardzo dużo mnie kosztowało, a pańskimi — zresztą wskróś przebajecznemi ideami, jak również zbyt radykalnymi, chociaż również, jak pańska Yoga, oślepiającymi pomysłami pana Gwonta, pismo utrzymać się nie może, a ponieważ przytem przeszłości z dymem fajki w niepamięć puścić nie można...

Coś w kształcie ogona meteoru, pryskającego gwiazdami, przeleciało przed oczyma Bieleckiego.

Dźwignął się:

— Przepraszam cię, Okaima, ale ja mam z panem Hederą ważne, wydawnicze sprawy do omówienia.

Okaima wstał, wyciągnął zpoza swej chlamidy zwój papierów różnokolorowych, związanych zielonymi sznurkami.

— Nie przeszkadzam, ale mego manuskryptu strzeż, jak oka w głowie: w nim głoszę nowy: Trzeci Testament, Objawienie, wobec którego Apokalypsa pana z Patmos jest bredzeniem.

Hedera skłonił się przed wychodzącym

— Bardzo jestem ciekaw tej nowej apokaliptycznej bestyi w pogańskim gaju, który zamykam.

Po wyjściu Okaimy roześmiał się Hedera:

— Rzadki okaz!

Bielecki spojrzał wrogo i nienawistnie na Hederę.

— Istotnie rzadki i bezwarunkowo ciekawszy od pana, któryś tu przyszedł, by zabawić się w jakąś śmieszną rolę detektywa, czy też czarnego charakteru, lub też coś w tym rodzaju.

Hedera się skłonił.

— Impertynencye pana uniewinnia ciężka opresya, w jaką się pan dostałeś po przywłaszczeniu...

Tym razem Bielecki już nad sobą zapanować nie zdołał.

— Co? jak?... przybladł śmiertelnie i zimny pot mu na czoło wystąpił.

Hedera wstał.

— Obejdzie się bez obelg, bez impertynencyi, oszczędzam panu wszelakich wysiłków w kierunku bronienia się, dostarczenia dowodów, że to wszystko jest plotką i oszczerstwem... po co, na co?

Bielecki znowu pochwycił lejce owego, przez chwilę spłoszonego, już go ponieść mającego rumaka — mózgu:

— Wybacz pan, ale zdaje mi się, że mam człowieka przed sobą, który na chwilowy obłęd cierpi.

— Owszem — jeżeli pan tak uważa... — Hedera uśmiechnął się teraz wcale niedwuznacznie — a nagle się zamyślił i siadł znowu.

— Dlaczego pan stoi? czemu pan nie siada? przecież możemy po ludzku pogadać.

Bielecki, jakby go coś stłaczało, siadł.

I tak wieczność cała przelała się przez małą minutę oczekiwania.

— Otóż, widzi pan... Każdy człowiek, zwła-

szcza taki, który wszystko stawia na jedną kartę, ma swojego Surzyckiego — prawda?

Bielecki zamyślił się – odezwała się w nim duma człowieka, który prędzej na Sybir pójdzie, zaczem się poniży, wykrętami i kłamstwami popełnionej zbrodni się wyprze.

Spojrzał śmiało i otwarcie Hederze w oczy — a przez jedną chwilę tysiące myśli i wspomnień mu przebiegło przez głowę... było to coś z tych wrażeń, jakie ludzie, spadający z szczytów gór doznają: w paru sekundach roztoczyła się przed jego oczyma ogromna panorama całego jego życia.

Jedno przedewszystkiem wspomnienie z najrychlejszej młodości: gdy w szkole małem kłamstwem byłby był mógł się uchronić przed bardzo dotkliwą karą, a mimo to powiedział hardo: Tak! ja to zrobiłem! I teraz odezwał się w nim ten hardy, twardy upór... Właśnie... właśnie... chcecie we mnie widzieć pokutnika? he, he, he — niedoczekanie wasze!

Przed oczyma jego wykwitła słoneczna, dumną radością rozkwiecona twarz Niny.

— Pan, zdaje się, chce wobec mnie rolę sędzi śledczego odgrywać? — zaśmiał się sucho. — Rola pańska wobec mnie była od samego początku niejasna i dwuznaczna — nienawidzę tego — więc panu to mozolne szperanie w mojem życiu ułatwię.

— Pan gra »va banque« ze mną?

— Z sobą samym.

Hedera podskoczył radośnie:

— A widzi pan, o to mi właśnie chodziło — właśnie to z ust pańskich posłyszeć chciałem i szczęśliw jestem, że się na panu nie pomyliłem.

Patrzył na niego przyjaźnie.

— Pan jest graczem w wielkim stylu i istotnie jestem panu wdzięczny, żem się na panu nie zawiódł... tylko proszę, niech mi pan nie przerywa, bo jestem panu winien zupełną szczerość — otóż niech mnie tylko pan spokojnie posłucha: głośną tajemnicą jest już to, że pan nie jest autorem swego jakoby dramatu — jam długo w to uwierzyć nie chciał, bom miał dla pana rodzaj uwielbienia, które cechuje artystów, jakim ja jestem — tak: artystą »sui generis«.

Bielecki mało co słuchał, tylko mozolnie dłubał w swoich myślach.

— Wyrządź mi pan tę przysługę i słuchaj mnie pan uważnie...

Bielecki podniósł ciężką głowę:

— Będę słuchał, a jeżeli byłem roztargniony, to jedynie dlatego, żem się nad panem głęboko zamyślił.

— Ja panu sam zagadkę rozwiążę i to bardzo prostą. Już panu powiedziałem: jestem

artystą »sui generis«. Zwykły artysta ustawia na szachownicy swego mózgu pionki, proste, drewniane, lub też kosztowniejsze: dajmy na to, z hebanu i bursztynu, perłowej masy lub słoniowej kości, toczone pionki — potem nimi posuwa dowolnie w tę lub ową stronę, bawi się nimi, jak małe dziecko, i zdaje mu się, że tą dziecinną, całkiem dowolną zabawką życie rozwiąże — ja czegoś innego zapragnąłem...

Oczy jego zaświeciły, jakby jakimś obłąkańczym ogniem i nagle przygasły:

— Na mojej szachownicy zapragnąłem mieć żywe, tak! całą pełnią życia, żyjące pionki, i — pana pierwszego na niej postawiłem... Tylko się pan nie obruszaj i nie gniewaj się, a wszystkie pańskie pytania z góry uprzedzę...

Mówił szybko, jakby żadną miarą nie chciał Bieleckiego do głosu przypuścić:

— Otóż teraz już szczerze z panem pomówię... Pan mnie zainteresował od pierwszej chwili, w której pan na widownię wypłynął, — czemu i dlaczego? o tych, dla pana przykrych, a, mnie nic nie obchodzących rzeczach, nie mówię, i zapragnąłem właśnie panem rozpocząć nową grę... jedną partyę już przedtem wygrałem, wprawdzie z mniej ciekawymi pionkami-osobnikami...

Bielecki wstał zwolna i wolnymi ruchami zbliżał się do Hedery — głos jego rozległ się

w pokoju, gdyby charczenie, świszczenie — coś, co w żadne artykułowane słowo sformować się nie dawało.

— Tylko się pan nie unoś, bo nie ma potrzeby na szczere słowa w ten niecywilizowany sposób reagować.

Schwycił Bieleckiego za rękę i przemocą posadził go na fotelu, a sam wstał:

— Stworzyłem panu pismo — daruję ci je — postawiłem pana na mojej szachownicy, sam już sobie trudu nie zadaję, by pana dalej posuwać, ciekaw jestem tylko, jaką drogą, według moich obliczeń: absolutnie logiczną drogą mój żywy pionek pójdzie. Z pańskiem już teraz »Romowe« rób pan, co chcesz, to już mnie nic nie obchodzi — tak rychło się nie zobaczymy, ale ciekaw jestem... ha, ha... co będzie dalej...

Jakby się całe piekło złości i nienawiści w ostatnich słowach Hedery rozśmiało,

Gdy Bielecki w spotniałym lęku rozważał, czy to wszystko jakaś wizya deliryczna, czy jakiś senny majak, ciężka jakaś maligna — Hedery już w pokoju nie było.

Pierwszy raz w swojem życiu się przeraził. Stał i patrzył chwilę bezradny w drzwi, poza któremi Hedera zniknął, chciał wybiedz za nim — ale właśnie te drzwi same się otworzyły i do pokoju wszedł znowu Okaima.

— Czemu nie pukasz, zaczem wejdziesz? — syknął Bielecki wściekły.

Okaima spojrzał na niego pogardliwie.

— Wyznawcy nauki Yoga nie potrzebują pukać, bo w razie potrzeby mogą wchodzić przez zamknięte drzwi — to jest fakt przenikania materyi, potwierdzony przez lichy wynalazek Röntgena z tą tylko różnicą, że on potrzebuje maszyn i przyrządów, a my nie.

I nie po to tu przyszedłem, by cię moją obecnością irytować, ani mieć wykłady o hermeneutycznej nauce — tylko chciałem się dowiedzieć, czego ten pan Hedera chciał — a że nic dobrego, tom się już dowiedział z horoskopu, który ci przed paru dniami w transie, w który sam się wprawiam, postawiłem, a potwierdzenie tegoż to złowieszczego horoskopu wyczytuję teraz na twojej twarzy.

Bielecki patrzył na niego przez chwilę, jak na waryata, a potem podszedł do niego podrażniony:

— Słuchaj, w twoim »Ex oriente lux« możesz brednie wszelakiego gatunku wypisywać — im większe, tem lepiej — radzę ci teraz, byś napisał artykuł o wskrzeszonym przez ciebie Montezumie i interwiew, jaki onegdaj miałeś z Cortezem — ale ze mną nie błaznuj,..

— Ja nigdy nie błaznuję — powiedział Okaima — jam tylko z horoskopu, jaki ci sta-

wiłem, wyczytał, że do twych pięt przyczepił się złowieszczy los, gorsze jeszcze nawet: druzgocząca pokuta. Więc nam, wyznawcom Yogi, należy takich ludzi unikać, bo astralna ich atmosfera przeszkadza możności syntezy i hermeneutycznego skupienia się w sobie.

Bielecki roześmiał się tym razem na cały głos:

— Słuchaj Trąbczyński: w nazwisku twojem masz trąbę i Czyńskiego, tego samego, co się gdzieś w Niemczech za wykonywanie praktyk nauki Yoga do cuchthausu dostał — zaangażowałem cię do redakcyi »Romowe«, bom widział w tobie siłę prostego »bluffu«, którego publiczność potrzebuje, inaczej pismo idzie na psy, chociażby w niem nawet Mickiewicz i Słowacki pisali — rozumiesz? Wyratowałem cię z ostatniego błota, pomalowałem cię na brunatno bajeczną reklamą, że ty — tam gdzieś z Poznania — chlubisz się szczytnem nazwiskiem Okaimy i wszyscy ci wierzą, że istotnie tak się nazywasz, istotnie mury przenikasz i odgadujesz w lot, ile ktoś ma pieniędzy w swojej kieszeni — chwali ci się to, że tak wspaniale odgrywasz komedyę, ale proszę cię: wobec mnie zaprzestań wszelkiej głupiej blagi.

— To błoto, z którego mnie, nie ty wyciągnąłeś, boś ty tylko był pionkiem na szachownicy nieznanego...

Bielecki drgnął: toć to słowa Hedery!

— Pionkiem — ciągnął Okaima niewzruszenie, który może właśnie dlatego, że sam paść musi, jak twój horoskop przepowiada — a więc to błoto było dla mnie tylko Atarwą, czarną Kamą, przez które przejść musiałem, by się stać zaszczytnym członkiem »Romowe«, który to święty gaj przez jakiegoś barbarzyńskiego świętego Wojciecha zniszczony został, by em silniej mogło się rozpalić moje »Światło Wschodu«.

Bielecki nie słuchał, rozważał już teraz zimno i całkiem już trzeźwo.

To jedno było mu jasnem, że dostał się w jakąś pułapkę: że w fortecy, w której siedzi, źle się dzieje, otoczony jest szpiegami, zdrajcami, zaprzańcami — a nieprzyjaciel już najgłówniejsze forty zdobył, już działa pod same mury przytoczyć zdołał.

Wyprostował się nagle hardo:

— Słuchaj, nowa Atarwo Trąbczyńskiego, alias Okaima. — Ty pana Hederę od dawna znasz — zagraliście obydwaj wobec mnie nędzną komedyę, niegodną ciebie przynajmniej, łotra wielkiego stylu, którego podziwiałem, a raczej wysoce ceniłem siłę, z jaką umiałeś ludzi ogłupiać, niemal nową sektę stworzyć z niebieską wstęgą »Salvator Armee«, a nawet z naszą rodzimą Eleuteryą rywalizować — aleś ty, wi-

dzę, zupełnie mały, ordynarny człowiek, który stał się lokajem Hedery.

Ty doskonale wiesz, jak sprawy z »Romowe« stoją — dawno już o tem z Hederą mówiłeś — pismo finansowo całkiem zaprzepaszczone, boście je okradali na wszystkie strony, czego wam za złe nie biorę — ale ja je uratuję własną siłą i własnymi pieniądzmi bez waszej pomocy.

Bielecki cedził słowa, by zdusić uniesienia gniewu.

Okaima w milczeniu i cichem skupieniu wysłuchał słów Bieleckiego.

— Nie przystoi nam, wyznawcom nauki Yogi, w jakiś, czy to czynny, czy słowny sposób reagować, że tak powiem, na wybuchy gniewu i nienawiści bliźniego, który to bliźni tymi wybuchami okazuje, że stoi jeszcze na niskim stopniu rozwoju i jest jeszcze całkiem wtłoczony w niższą formę Atarwy — z przyjemnością tylko stwierdzam, że liczba moich adeptów tak wzrosła, iż mogę mój wagon »Światło Wschodu« odczepić od twej lokomotywy i sprawić jej nową — tem więcej, że według mego horoskopu, niebezpiecznie się twoją posługiwać.

Bielecki podszedł do niego groźny — przestał nad sobą panować:

— Wynoś się natychmiast, marny szalbierzu!

— Nie tak krewko, wielki mistrzu! Adept nauki Yoga posiada tę siłę, że może mury przenikać, a nawet, jeżeli potrzeba, umarłych wskrzesić.. Widzisz — sam tego ostrego tonu żałujesz, boś wcale niezwykle przybladł...

Skłonił się komicznie, powiedział: Salem Aleikum! i wyszedł.

Zatrzeszczało w głowie Bieleckiego.

Dostał się najwidoczniej w jakąś pułapkę — na razie jeszcze pożywienia i powietrza dosyć — ale na jak długo?!

Żywcem mnie nie dostaniecie! roześmiał się wzgardliwie. Ostatnią świnię Wam z wałów fortecznych zrzucę, ale się nie poddam.

Przypomniały mu się tyrolskie zamki, pierwsze tygodnie pobytu jego w Bozen z Niną i uśmiechnął się gorzko. Co za szczęście, żem przynajmniej tyle... a to było bardzo wiele — zdołał czarnej Kamie swojej wykraść!

Nina! Nina!

Już bez niej sobie nie wyobrażał siebie.

Teraz pewno niespokojnie biega z pokoju do pokoju i oczekuje go, ale on jeszcze sporo czasu potrzebować będzie, by módz się jej pokazać takim spokojnym, jakim go zawsze widzieć przywykła.

Rozparł się głęboko w fotelu.

Jak inaczej nie pójdzie, to się wraz z moją fortecą wysadzę w powietrze, ale im się nie poddam, pomyślał.

Zastanowił się:

Dziwnie, jak go ta myśl nagle uspokoiła.

— A jeżeli utonę, to jak kapitan okrętu, który się na rafach rozbił...

I równocześnie wydało mu się to walką na życie i śmierć... ale z kim?!

Wszystko wydało mu się tak zdumiewającem, że oczy roztwierał, by módz dokładnie widzieć przedmioty i rozpoznać je i upewnić się, że to nie zmora, tylko jawa.

Jawa! najoczywistsza jawa!

Więc z kim podejmuję tę walkę? Ci, co wiedzieli o tej — ha, ha — przypomnij sobie Bielecki, jakeś to po on czas nazwał — transakcyą! A więc, którzy o tej transakcyi wiedzieli, nie żyją — podstępny Kotowicz przebąkiwał o jakimś Surzyckim-Uherze, by odemnie pieniądze wyłudzić, a teraz tu nagle Hedera, Okaima...

Roześmiał się.

Z nimi więc do walki stają? To za marne! z tem sobie radę dam... A ten Surzycki, to pewnie synteza tych wszystkich niewidzialnych, nieuchwytnych wrogów — to pewnie tylko straszak — coś, co go nic obchodzić nie potrzebuje — to pewnie ta nieuchwytna opinia

publiczna - ta przyłbica z masła, która się w słońcu powodzenia stapia, a zbroja z kruchego ciasta, które się na jubileuszowej uczcie naszego słynnego rodaka wśród wiwatów zjada...

Więc dobrze! postanowił — tylko się nieściśle twoje myśli wiązały, gdyś przed chwilą bohaterskim gestem chciał pójść w śmiertelny bój — a ty będziesz zmuszony operować »Zacherlinem«.

Głębiej jeszcze obsunął się w fotel ciężko zmęczony:

Daj spokój głupim dowcipom — tem nie zdzierżysz — na co masz się sam okłamywać? wyciągnij z zbrojowni najcięższy rynsztunek - to nie z Hederą, nie z Trąbą-Czyńskim masz do czynienia... dźwignął się i stał chwilkę i patrzył, czy przypadkowo — i na to był przysposobiony — drzwi się nie otworzą, a w nich nie staną:

Górski, Łusia, Ada — prokuratorem będzie Borsuk, Poraj, Kotowicz.

Ha, ha! Jednak to nie był bohaterski gest, to istotnie walka na życie i śmierć... a oni wszyscy! to jeden Piotrowin, którego Hedera - święty Stanisław, z grobu wywlecze, by dali świadectwo...

A więc wojna! na całej linii wojna! Podejmuję rękawicę: jednemu naszemu ambasa-

dorowi, panu Okaimie, już wręczyłem paszporty — drugiemu, wielkiej zacności dyplomacie, panu Gwontowi, jutro je doręczę i wyruszę w bój.

Tak dalece wszystko w porządku, ale, aby wojnę prowadzić, na to potrzeba według pana Montecuculi pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy!

A ja ich nie mam!

Wprawdzie mi Hedera podarował ten bajeczny »święty gaj«, ale... no, poczekaj Hedero — za ten głupi żart ciężko mi odpłacisz! Ale znowu zrozumiał, że taka pogróżka była tylko kiwaniem palcem w bucie — bo jeżeli dwa, trzy dni nie zapłaci drukarni, to wtedy może również dobrze darować »Romowe« woźnemu.

Jaka bestya podstępna — ten, ten Hedera, Uhera — a może sam Górski, którego Okaima z grobu wskrzesił: to wszystko wydało mu się teraz całkiem możliwem...

Wplątał mnie w sprawy polityczne, społeczne, literackie, teatralne, hermeneutyczne — rozpocząłem walkę krzyżową — chciałem na gwałt okna na Europę otwierać, a zapomniałem, że rodzimy zaduch przyjemniejszy od owego »wiewu«, co idzie od czystych pól i łąk zielonych.

Krztusił się od szyderczego śmiechu.

A teraz, kiedy u każdego palca mego wisi po dziesięć wrogich pijawek, wtedy mi »Romowe« darowuje! A, panie Bielecki — on silniejszy od ciebie! Tak cię na razie zgnębił, że aż sam nad sobą roztkliwiać się poczynasz.

To było poślizgnięcie się tylko — jeszcze panie Hedero nie tryumfuj! To było to, że ja, jak przeważnie wielcy i mocni ludzie czynią, pokusiłem się, by się zagospodarować w świętym gaju miłości — a nam mocnym ludziom tam wstęp wzbroniony.

Dla nas »mocnych« »Romowe« miłości wykolejeniem, zatratą, zgubą i takiem oszołomieniem, że się człowiek do uczciwej pracy zaprzęgnąć pozwoli i nawet wierzy w możność, że nietylko kobieta, ale i przyjaciel musi mu być oddany.

Gwont!

Aha! przechadzał się szybko po pokoju...

Tak, Bielecki, tyś wierzył w możność, że możesz się imać w możliwej możliwości przyjaciela!

W uszach dudniły mu słowa Hedery:

— Strzeż się Gwonta!

No, co to, to już nie! Przeliczyłeś się, panie Hedero — jedynego człowieka, którego mam jeszcze poza Niną, chciał mi spaskudzić — no! no! — niente! Będę pierwszym mocnym człowiekiem, który progi »Romowe« przekroczył

i z niego żadną siłą ludzką wyprzeć się nie da. — Adam był za słaby, by módz Archaniołowi opór stawić, ale On to zdoła i zwycięży.

Tylko pieniędzy! Skąd wziąść pieniędzy!?

I znowu nasunął mu się na myśl Gwont.

Ale nie, nie — lepiej kraść, kasy rozbijać, napady bandyckie urządzać, byle tylko od przyjaciela nie brać!...

Więc skąd?

Ale daremnie rozglądał się z najwyższej baszty swej, srogo już zagrożonej fortecy, czy przypadkiem nie ujrzy, nadchodzącej mu w pomoc odsieczy — jak okiem sięgnąć nigdzie naokół nic ujrzeć nie zdołał, a wiedział, jeżeli »Romowe« nie obroni, to jego koniec.

Pewno już późno, pomyślał nagle — spojrzał na zegarek.

Trudno! Ninie nie można pozwolić dłużej czekać — zabierał się do wyjścia — zadzwonił na służącego.

W tej samej chwili posłyszał sapanie, dudnienie i prychanie automobilu, który przed redakcyą przystanął, a po chwili gwałtowny dzwonek do jego lokalu.

Jakiś nowy Hedera? pomyślał kpiąco i czekał.

Bielecki wyczekiwał tego nowego Hedery — zimno i spokojnie, a nawet był nieprzyjemnie zdumiony, gdy zamiast oczekiwanego wroga, ujrzał w drzwiach jakąś przystojną, wesołą,

i jak na pierwszy rzut oka, z sposobu ubrania ocenić zdołał, do teatralnych sfer przynależącą osóbkę, której kostyum mimo, że automobilowy, był bardzo strojny i niezwykle elegancki, a ciemne włosy widne z pod zalotnej kapotki, starannie i według ostatniej mody ufryzowane.

Przystanęła na środku pokoju i wpatrywała się chwilę w Bieleckiego przez wytworne lorgnon w złotej oprawie, a potem wyciągnęła rękę.

— Nie mylę się — pan Bielecki?

— Tak, to ja.

— Wybacz pan, że już o spóźnionej godzinie pana nachodzę, ale szukałam pana wszędzie i w domu pańskim i w kawiarni, wreszcie mnie poinformowano, że pan jest w redakcyi. Tylko niech pan szczerze powie, czy nie przeszkadzam?

Ściągnęła rękawiczkę, by podciągnąć woalkę i przy tej sposobności ujrzał Bielecki na wszystkich palcach mnóstwo brylantowych pierścionków, kosztownie oprawionych i, jak zauważył, bezcennej starej roboty.

Uprzejmie podsunął jej fotel:

— Pani mi zupełnie nie przeszkadza — całą robotę już skończyłem, czekałem tylko na woźnego, który się z ostatnią pocztą spóźnia.

Patrzyli chwilę na siebie.

— Niech pan się nie dziwi — powiedziała

po chwili, że się tak panu przypatruję, ale tyle już o panu słyszałam, że mimowoli musiałam sobie w mojej fantazyi jakiś portret pański wytworzyć...

— No i?

Uśmiechnęła się zalotnie.

— Nie pomyliłam się — pan tylko tak może wyglądać, jak pan wygląda.

— Bezwarunkowo, bo inaczej nie byłbym sobą — zażartował.

Zmieszała się.

— Nie to chciałam powiedzieć — ja cieszę się, że pan wygląda tak, jak sobie pana wyobrażałam.

— To znaczy?

Spojrzała na niego figlarnie:

— Nie śmiem panu komplimentów mówić, tem więcej, że nie byłyby komplimentami.

No, no, pomyślał Bielecki: jakaś fertyczna i przedsiębiorcza osóbka — uśmiechnął się nieznacznie — spodziewał się, że za chwilę ukaże się jakiś manuskrypt, chociaż brylantowe pierścionki i automobil, który ciągle przed redakcyą sapaniem dawał znać o sobie, nie dawały wnioskować, iż ta pani jest jakąś piszącą niewiastą.

— Pan czeka, co powiem dalej — ale niech się pan wstawi w położenie kobiety...

— Widzi pan, jaka ja roztargniona — w tem

całem zaaferowaniu zapomniałam się przedstawić — nazwisko moje Tańska...

— Żona słynnego tenora Tańskiego?

— Tak.

Bielecki skłonił się i pocałował ją w rękę.

— Pani istotnie roztargniona — prosty bilet wizytowy uprościłby ceremoniał prezentowania się.

— O! — szczebiotała — takim sobie właśnie pana wyobrażałam: grzecznym, dystyngowanym.

— I wcale przystojnym — śmiał się Bielecki.

— Rzeczywiście muszę to przyznać, chociaż to kobiecie o tem nie wypada mówić.

Do czego ona do dyabła zmierza? — pomyślał Bielecki.

— Ale pan nie dobry: przerwał mi pan przed chwilą — jeżeli się przyznałam do tego, że myślałam nad tem, jak pan może wyglądać... Otóż całutką zimę siedziałam sama na mojej wsi, bo mąż pojechał na występy do Ameryki, a ja tam jechać nie chciałam, bo się Amerykanami — całem tem amerykańskiem pospólstwem brzydzę — więc tak całymi wieczorami myślałam — a ponieważ tam w naszej gubernii o niczem się przez całą zimę nie mówiło, jak tylko o panu — więc i ja nad tem myślałam...

Zastanowiła się.

— Pan zdaje się być zdumionym tem, że tak prosto i szczerze mówię, ale...

To jeszcze pytanie, czy to szczerze, myślał Bielecki, ciekawy, co to z tego wyniknie, w każdym razie brylanty pani Tańskiej — teraz ściągnęła drugą rękawiczkę — fascynowały jego uwagę.

— Ale pan budzi od razu takie zaufanie, — ciągnęła dalej - że takby się chciało wszystko wypowiedzieć, z wszystkiego wyspowiadać...

— A z czegoby się pani chciała wyspowiadać?

Pani Tańska udawała, czy też istotnie była zakłopotana:

— Czemu pan tak obcesowo pyta?

— Bo czuję, że pani ma mi jakąś ważną rzecz do powiedzenia, a całkiem niepotrzebnie się pani wobec mnie żenuje. — Pomódz pani?

Roześmiała się.

— Jaki pan dobry — odrazu mi pan most zgotował.

— A więc?

A może Hedera mi ją tu nasłał? pomyślał nagle.

— A więc mam rzeczywiście do pana interes.

— Interes? — Bielecki szukał oczyma, kiedy się ten manuskrypt ukaże.

— Nie — głupio się wyraziłam — nie interes, tylko serdeczną prośbę...

— Spełnię ją, o ile mi będzie możliwem.

— Mój mąż ma głos, który z głosem Caruso'a rywalizować może — ja zaś mam piękną wieś i duże stawy i łąki i lasy — a panu przyznam się, jestem zazdrosną o talent mego męża — ustawicznie mi się zdaje, że on po swoich ustawicznych tryumfach, może, a nawet ma prawo trochę z góry na mnie patrzeć — urwała i zapytała nagle: — pan zna nazwisko mego męża?

— Oczywiście.

Bielecki mówił to z głębokiem, pełnem szacunku i podziwu przeświadczeniem — hypnotyzował go blask, który bił od brylantowych pierścionków pani Tańskiej, a równocześnie zauważył, że jest bardzo efektowną, wprawdzie nie całkiem w jego guście, bo twarz, aczkolwiek drobna, ale trochę lalkowata, przytem zbyt symetrycznie i modnie ułożone ciemne zwoje włosów zdradzały, że w żaden sposób do niej przynależeć nie mogły, a i gęsto złotą plombą lśniące zęby też może niekoniecznie były jej własnością, ale co to wszystko znaczyło wobec brylantów, pięknej wsi, stawu i lasów...

Pani Tańska przysunęła się do niego bliżej i szczebiotała z milutkiem zakłopotaniem:

— Zdawało mi się, że tak łatwo będzie mi się do pana z moją prośbą zwrócić, ale tu nagle czuję, że mi niezmiernie trudno.

Bielecki przybrał swoją najwięcej serdeczną, najwięcej uprzejmą i wylaną minę:

— Ależ, niech pani na mnie spojrzy — czy rzeczywiście tak srogo-poważnie wyglądam, bym mógł panią czemśkolwiek onieśmielać?

Uśmiechnęła się filuternie.

— Właśnie dla tego, że pan tak... tak, no powiedzmy otwarcie, ma taki szczery i słodki wygląd, dlatego się lękam.

Tym razem Bielecki się do niej przysunął:

— No! przestańmy teraz grać w ślepą babkę, niech mi pani szczerze powie, czem pani mogę służyć?

Z szczerem, czy też udanem zmieszaniem, tego dokładnie Bielecki wywnioskować nie mógł — otworzyła nagłym ruchem swoją kosztowną, krokodylową torbę i wyjęła z niej bardzo elegancko oprawny zeszyt i podała go z rozczulającą nieśmiałością:

— Czyby pan raczył to przejrzeć? Ja to wszystko pisałam w tych długich zimowych wieczorach, kiedy mąż mój laury w Ameryce zbierał, całą moją duszę, trawiącą mnie tęsknotę, w te małe poemaciki włożyłam...

Aha! wyszło szydło z miecha, pomyślał Bielecki, a jako dobrze wychowany człowiek zdo-

łał się powstrzymać od parsknięcia śmiechem — przeciwnie: czysty, gorący blask brylantów pani Tańskiej tak skutecznie przeciwdziałał, że z największem zajęciem i gorącem zainteresowaniem wziął zeszyt do ręki.

— Zapewniam panią, że dziś jeszcze jak najuważniej i z szczerą sympatyą przeczytam poemaciki pani, a sprawi mi prawdziwą przyjemność, jeżeli będę mógł coś w »Romowe« pomieścić...

Pani Tańska spojrzała na niego rozanielona.

— O tem nawet marzyć nie śmiałam! Jaki pan niezmiernie dobry...

— Ależ to nie dobroć! ja jestem szczęśliw, jeżeli mi się uda jakiś nowy talent odnaleść i jestem wdzięczny każdemu młodemu i początkującemu artyście, który się do mnie zwraca.

Blask brylantów pani Tańskiej począł mu fizycznie dokuczać.

Już kilka tych pierścionków mogłoby być jego ratunkiem, pomyślał.

— I... — uśmiechnął się dyskretnie — mam wrażenie, że sąd mój na niekorzyść pani nie wyjdzie.

Spojrzała na niego ozłacająco.

Bielecki przewracał z widocznem zajęciem stronnice zeszyciku.

— Widzi pani — nabrałem pewnej wprawy

w czytaniu manuskryptów: tak, jak muzyk pozna już po pierwszym akordzie, czy ktoś umie grać lub nie, tak ja już po pierwszej strofie widzę, że nie mam do czynienia z zwykłym, przeciętnym utworem...

Przystroił twarz w wysoce poważną minę.

— Najlepszym dowodem, do jakiego stopnia mnie twórczość pani...

Pani Tańska drgnęła z niepomiernej radości.

— ...zainteresowała, to chyba to, że mimo gwałtownych zajęć, dziś jeszcze uważnie cały zeszyt przeczytam i jutro — zdaje się, że się nie mylę, będę mógł pani powiedzieć, który z utworów pani w najbliższym numerze »Romowe« się ukaże.

Nie mogła się opanować i klasnęła w dłonie z radości.

W mózgu Bieleckiego pojedyncze ogniwa myśli poczęły się z piorunującą szybkością wiązać w nierozerwalny łańcuch:

Wieś, brylanty, stawy, lasy, a więc gruby majątek, do tego: lekka, nudząca się, bardzo fertyczna osóbka.

A z drugiej strony:

U progu ruiny stojące »Romowe« i możność ratowania go.

Uśmiechnął się:

— A jak długo tu pani pozostanie?

— Niestety ze dwa tygodnie jeszcze w sprawach majątkowych...

— Jakto to pani to załatwia?

— Oczywiście, przecież to mój majątek — mówiłam już panu.

Nowe ogniwo doczepiło się w mózgu Bieleckiego do dawniejszych:

A więc sama majątkiem rozporządza.

Koła się zazębiły, delikatna, subtelna maszynka myśli warknęła, ale teraz, w tej chwili nie mógł jej puścić w ruch — wiedział, że długo i wprawnie pracować będzie...

Chciał coś powiedzieć, by rozmowę nawiązać, ale nie wiedział na razie co? - wiedziałby dokładnie, gdyby o jakąś obojętną rzecz chodziło, ale tu — w tym wypadku, gdzie już zdala widział sygnały ratunku — przez ciężkie mgły przedzierało się słabiutkie światełko latarni morskiej, która wskazywała drogę dla tonącego jego okrętu, nic nie był w stanie odpowiedzieć.

Uczuł ulgę, gdy pani Tańska po dłuższym namyśle z zachwycającą naiwnością powiedziała:

— Stokroć razy większą prośbę nad tę, by pan zechciał moje bazgrały przejrzeć, chciałabym wypowiedzieć, ale już całkiem nie śmiem....

— Pani przemawia do mnie, jak do jakiegoś hinduskiego Bonzy — chwilami to wygląda, jakby pani sobie ze mnie kpiła.

O nie, nie! Niech się pan temu nie dziwi, żem wobec pana nieśmiała — ale teraz rzeczywiście wezmę na odwagę: Będzie pan łaskaw mnie jutro odwiedzić?

— A gdzież pani mieszka?

— Patrz pan, jakam ja roztargniona! — zaśmiała się pusto — zapraszam pana, a nie mówię dokąd... Otóż my tu mamy nasz własny pałacyk przy Alejach Ujazdowskich...

Własny pałacyk! Bielecki o mało nie krzyknął, ale się tylko głęboko skłonił:

— Z największą przyjemnością.

— Więc do widzenia! I tak już dużo czasu panu zabrałam — podała Bieleckiemu rękę, którą tenże dość przeciągle ucałował, bo w oczach jego gorącym żarem zakipiały — brylanty, przeprowadził ją przez kurytarz na wschody — słyszał jeszcze warczenie amerykańskiego automobilu — wrócił do redakcyjnego pokoju: stanął zamyślony:

Ratunek! słyszał to, jak zaciekłe warczenie i czuł, że twarz mu się wykrzywiła szpetnym grymasem.

IX.

Bielecki szedł powoli, ciężkim krokiem z pierwszą wizytą do pani Tańskiej i rozważał — a nigdy jeszcze żadne rozważanie nie było mu tak przykre i bolesne, jak właśnie dziś.

Ten Bielecki, który Ninie przynależy — nic nie zdziała: przeciwnie: tylko sobie zaszkodzić może — ten, który dławi się każdem kłamstwem, chociażby koniecznem i wstydzi się go, policzkuje się za każdą sprośną i cyniczną myśl, którego już złe sny nawiedzają, w których Łusia, Górski i Poraj pokutują — bo tyle już od siebie samego, tego nowego Bieleckiego wyszachrował, że i babcię i Adę i Kotowicza zdolał uważać za »quantité négligeable« — ten Bielecki, w którym nawet coś w rodzaju sumienia kiełkować poczęło, ten u nadobnej pani Tańskiej nic nie zdzierży.

A doskonale ją przeczuwał — zanudzała się na tej swojej wsi na śmierć — przelotne

i niezględne flirty okolicznych szlagonów dawno już jej się przejadły — zapragnęła czegoś całkiem innego, pikantnego, jakiegoś człowieka, który poniekąd stoi na widecie całego towarzystwa, błyszczy wybitną inteligencyą i dowcipem, a który do tego jest przystojny i światowy i miły — Bielecki uśmiechnął się szyderczo — a jesteś nim panie Bielecki — masz tę beauté du diable, która na kobiety tak silnie działa — przytem zauważył, jakiemi oczyma pani Tańska na niego patrzyła!... mężulo dawno już się opatrzył, co prawda obdarzony bajecznym głosem, ale tenorowo głupi i tępy — całymi dniami latem łowi ryby, a zimą pewno, jak jego słynny kolega niemiecki, całymi dniami drzewo rąbie — więc cóż dziwnego, że żonie się czego innego zachciało — czegoś pikantnego... ha, ha... no! Bielecki, tylko tak dalej, a wpadniesz w odpowiedni nastrój.

Ale ten nastrój jakoś gwałtownie opierał się cynicznemu zabarwieniu.

W mózgu jego, w krwi zapanowała wszechwładnie Nina, na ustach miał bezustannie jej imię, a myśli jego, gdyby kochające ptactwo, krążyło wciąż wokół jej, taką świętą, gorącą miłością, ukochanej główki.

Coraz głębiej zatapiał się w wspomnieniach wszystkich rozkoszy, uniesień, przeżyć, które go nierozerwalnie z Niną łączyły, w krwi

jego krążyły, i mu ją dzień w dzień na nowo rozpalały.

Ocknął się nagle.

Spróbuj innej drogi. Weź na rozum:

Innego ratunku dla ciebie niema: Ty musisz się rozdwoić.

Jeden odświętny zostanie przy Ninie — a ten drugi: kopnij go nogą — niech się babrze, paskudzi, w błocie tarza, a cóż to ciebie, który do Niny i tylko do niej przynależy, obchodzić może?

Masz w swojej krwi białe ciałka i masz miliardy bakteryi — pozwól im się na razie rozpanoszyć, cóż ci to szkodzi, jeżeli wiesz, że w danej chwili białe ciałka się na nie rzucą, je pochłoną: przyjdzie gorączka, kryzys i będziesz znowu zdrów.

Masz w sobie bestyę i masz człowieka — rzuć tam bestyi jakiś ochłap ścierwa, a człowiek w tobie będzie miał spokój.

Rozważał, czy to porównanie przypadkowo nie chroma, ale nie: tą bestyą, to życiowe warunki, które, gdyby rozsuwające się i zsuwające ściany klatki, w której on tkwił, tak się zacieśniły, że niezadługo stanie się przypłaszczonym i aż przeźroczystym, jak maca żydowska — więc samoobrona człowieka wymaga, by się przed tą ostatecznością obronić.

Nino! Nino! wołało w nim gorącym głosem.

A stary Bielecki szydził.

Więc stocz się na samo dno przepaści razem z Niną, którą tak kochasz, a ratować jej nie chcesz — przecież tyle masz rozumu, że twój »finis« jest i jej razem.

Ale nagle złagodniał i zaczął dobrotliwie przemawiać.

Całe życie miłości i rozkoszy przed tobą, jeżeli zdobędziesz pieniądze na prowadzenie dalej »Romowe« — no, no — nie obruszaj się tylko: jeżeli pieniędzy na ten cel nie zdobędziesz, toś przepadł — będziesz je miał, to od razu staniesz się wybitnym obywatelem kraju, który ponosi wielkie ofiary dla swego społeczeństwa, płaci wynędzniałym filarom ojczystego piśmiennictwa porządne honorarya, wybija okna na Europę i tejże to Europie pokazuje, jak wysoko nasza kultura stoi. Możesz nawet wtedy, by Zagranica mogła się oryentować w stanie naszej kultury, równocześnie filię w Paryżu założyć i »Romowe« dla Francuzów na oścież otworzyć, możesz powołać do życia coś w rodzaju »alliance franco-polonaise«, a wtedy cała ta sfora psów, która cię opadła, odrazu legnie przed tobą, na jedno twoje: kusz!

Rozgłos zrobi się naokoło ciebie, będziesz poniekąd reprezentantem narodu — i niechby wtedy jakaś ropucha łeb podniosła, w tej

chwili kamieniem w łeb dostanie, którego to zacnego rzemiosła nawet ty sam uprawiać nie potrzebujesz, inni się nim zajmą, daleko gorliwiej, aniżeli tybyś to zrobić zdołał.

I jeszcze dobrotliwiej jął stary Bielecki młodego przekonywać:

I pomyśl tylko, co się z Niną stanie, gdy ty zniesławiony, z czci i honoru odarty, zostaniesz po prostu z pod wszelkich praw społecznych wyjętym? Jesteś wtedy banitą, trędowatym, którego z pogrzebnemi obrzędami do jakiegoś lepraryum wypędzą — i tamdotąd chcesz Ninę za sobą pociągnąć?

Byłeś mocny w zbrodni, a mały i tchórzliwy w miłości? Jeżeli to jest już dla ciebie ofiarą ponad siły, że Ninę »zdradą«, jak to głupstwo nazywasz, z toni wyratujesz - teraz zważ dokładnie: jeżeli to ponad twoje siły, to strzel sobie w łeb!

Bielecki zatrząsł się, bo wiedział, że wtedy innego wyjścia nie miał — a równocześnie miał wprost fizyczne uczucie, że się rozdwaja: stary Bielecki wziął młodego pod rękę i stawał się coraz to dobrotliwszym:

— Lękasz się, że Nina mogłaby się o twojej zdradzie dowiedzieć — i odrazu - w tem przyznaję słuszność — ją stracisz? Ale w jaki sposób i przez kogo mogłaby się dowiedzieć?

— Przez Hederę!

— To jest twój już kiełkujący obłęd, przed którym się z wszystkich sił broń! A przytem, jak będziesz miał pieniądze, to zdmuchniesz Hederę, jak pyłek z jesiennego kwiatu.

A nawet gdyby: toś ty tchórzu, miał odwagę w biedną Łusię wmawiać, żeś dlatego skradł Górskiego manuskrypty, by nie potrzebowała iść na ulicę, a tu nie miałbyś odwagi powiedzieć Ninie, że tą quasi-zdradą uratowałeś ją przed cuchnącem, smrodliwem leprarium? I twoja Nina nie byłaby w stanie zrozumieć, że to męczeńska ofiara, jeżeli kobieta oddaniem się komuś obojętnemu, uratuje kochanka od szubienicy — a tu w twoim wypadku na odwrót?!

— A możeby módz to inaczej załatwić? rozmyślał młody — może...

Stary roześmiał się na cały głos:

Tyś absolutnie zgłupiał w tej miłości — chciałbyś pójść do pani Tańskiej z pokornym gestem, z chłopską baranią czapą w ręku, z głębokimi pokłonami, wyciągnąć tackę z za pazuchy i prosić o łaskawy grosz na »ochfiarę« Bożą!?

Stary się zaśmiewał.

Wiesz, coby nastąpiło? Chwila lodowatego milczenia, potem przykre zakłopotanie — a potem: wybacz pan, stan moich interesów tak się pogorszył, że nie jestem w stanie, no — itd.

Tobie się zdaje, że ona chce odbyć tryumfalny wjazd do twego »Romowe«? Wjazd, tak, ale nie tam!

Piana cynizmu toczyła usta Bieleckiego i z wściekłości zgrzytał zębami.

Z poemacikami do ciebie przyszła — i dlaczegóżbyś nie miał ich nazwać bajecznymi? zapowiedzią jakiegoś wielkiego utworu — dowodem ogromego talentu — zaraniem, brzaskiem twórczości specyficznie kobiecej, o jakiej dotychczas nawet marzyć nie było można: bo czem tu wobec tego Konopnicka, Zapolska, Walewska?! Cóż ci to szkodzi, że naokoło jej gęby nasmarujesz porządnie miodu — wprowadzisz ją tryumfalnie do siódmego nieba błogiej szczęśliwości — odrazu postawisz ją na piedestale koleżeństwa — nazwiesz ją chère camerade — albo też, co już jest racyonalniej, chère con-soeur, bo w żaden już sposób confrère jej powiedzieć nie możesz?!

Bielecki chichotał.

Co ci to szkodzi?

I będziesz mówił bez przesady, bez uniesień. Toby mogło się wydać podejrzanem. Ale powiedz to tonem tak uczciwej, godności pełnej powagi, że talent jej jest tak wybitny, iż byłoby ciężkim grzechem jego światło pod korcem chować, że jedyną cieplarnią, w której ten rzadki kwiat owego talentu wyhodować

się może i do niezwykłej piękności dojrzeć, to właśnie »Romowe«, święty gaj, z nad którego jednak Hedera dach zerwał, tak iż najwspanialsze okazy więdną i niszczeją.

Zasie obowiązkiem twoim będzie wobec twego ogromego talentu, byś pilnie strzegła przybytku, w którym cebulka tego talentu przezemnie — mocnego człowieka: Bieleckiego, zasadzoną zostanie.

Świeżo upieczony, młody i na dostojeństwo prawdy i czystości chorujący Bielecki, żachnął się obruszony.

Ale stary nie przypuścił go do słowa:

— Ma piękną wieś, ma stawy, lasy, dyamenty, amerykański automobil, którym przyjechała tutaj, by poza malutką ambicyjką ujrzenia w »Romowe« czarno na białem wydrukowane swoje nazwisko, załatwić jakieś sprawy hipoteczne — podjąć gotówkę — ponimajut?

Młody potrząsnął głową:

— To mi się nie widzi — wydaje mi się paskudnem i nieuczciwem.

Stary zarzechotał śmiechem starej ropuchy, która się raduje stęchlizną bagna.

— Osioł jesteś — jeden z tych, nie tyle dardanelskich, bo te są oporne i uparte — ale taki, który już w ciężkiej pokorze do Jerozolimy wkraczał... Masz Jerozolimę — tryumf —

przed nosem i jeszcze nogami wierzgasz: a wstydź się...

Młody istotnie się zawstydził.

A teraz jął stary szeptać młodemu do ucha:

— To tam z tymi poemacikami, to głupstwo — mnie się zdaje, że to tylko pretekst, by się do ciebie w jakiś sposób módz dostać — bo to widzisz kobiecie trudno tak obcesowo... więc zwracaj pilną uwagę, byś literackie zakusy owej pani w innym kierunku mógł nawrócić — a w jakim, o tem ci już chyba mówić nie potrzebuję...

Stary zaśmiał się, jak Satyr na tokowisku.

Literatura, poemaciki, to głupstwo — wątpię nawet, czybyś tem do jakiegoś celu dojechał, ale jak już erotyczne struny potrącisz, to już sprawa wygrana:

Wtedy, jako kochanek możesz wszystko zdobyć, jak ją ujarzmisz — a możesz to tylko cieleśnie zrobić.

— Właśnie w tem sęk — młody Bielecki w oczach się kurczył skrobał się po głowie — bo widzisz tego ty nie jesteś w stanie zrozumieć — jak się kobietę kocha, rzeczywiście kocha, to dotknięcie innej wprost fizyczny ból sprawia...

— Schowasz sobie Ninę do świętego ołtarzyka — zamroczysz sobie mózg szampanem — zamącisz pamięć, stępisz nerwy...

Młody Bielecki trząsł się ze wstrętu i kurczył coraz więcej.

Stary położył rękę na głowie młodego:

— Jeżeli ty nie jesteś w stanie — to ja stary pójdę sam, by was oboje ratować, bo ja was kocham i nie mogę zezwolić, byście wy młodzi, piękni i kochający się, tak marnie zginąć mieli. Idź do domu i czuwaj nad Niną i ja ją kocham, bo tak pięknej i czystej kobiety w mojem życiu nie zaznałem.

Jakby z głębokiego snu się przebudził: rozejrzał się: jego sobowtór znikł — przetarł oczy — całkiem automatycznie niosły go nogi przed pałacyk pani Tańskiej.

A! to tu!

Zadzwonił: drzwi od ogrodu automatycznie się otworzyły — a gdy wszedł do ogrodu, uczuł coś, jakby uderzenie maczugą, a co sobie w języku swoim przetłómaczył na: idź na zatracenie! a w dali mu się majaczyło jakieś coś, co mu się starało pętlicę na szyję zarzucić.

Zadzwonił do drzwi pałacu:

Lokaj w sutej liberyi otworzył drzwi, skłonił się głęboko, wziął kartę wizytową, wrócił z nią z oznajmieniem, że jaśnie pani oczekuje.

Na progu salonu wybiegła mu naprzeciw cała w jasnych jedwabiach i koronkach pani Tańska z wyciągniętemi ramionami.

— Jak się cieszę, żeś pan był łaskaw mnie

odwiedzić — przyznam się, że oczekiwałam z pewnem niedowierzaniem — zaniepokojeniem — z niecierpliwością...

Bielecki głęboko się skłonił i pocałował jej rękę przeciągle.

Wpadł nagle w doskonały humor.

— Nie biję teraz pokłonów przed piękną panią, ale przed kolegą, czy też koleżanką, której poematy po kilkakrotnie dzisiejszej nocy odczytywałem i byłem, bez komplimentów, łaskawa pani, bo ich nikomu mówić nie potrzebuję — zdumiony tą skończonością, finezyą i subtelnością nastrojów, a co mnie przedewszystkiem zdumiało, to ten głęboki, ideowy podkład w każdym z tych, na pierwszy rzut oka drobnych poemacików, który im specyalny ton nadaje i tak gorąco zabarwia...

— Pan to mówi na seryo? — Pani Tańska drżała i cała pokraśniała.

— Zapewniać panią o szczerości moich słów byłoby śmiesznem — mówił Bielecki niedbale — to coś pani napisała, a raczej stworzyła, nie podlega krytycznym dyskusyom — to samo za siebie przemawia — nie potrzebuje ani uznania, ani komplementów, ani zachęty, ani też pobłażliwego klepania po ramieniu — bo to wszystko jest skończone — niema w tym małym zeszyciku jednej rzeczy,

pod którąbym ja sam z rozkoszą mego nazwiska nie położył.

— Panie Bielecki, czuję, że słabnę, że nogi się podemną uginają pod ogromem tego szczęścia, któreś pan na mnie zwalił — chwyciła go w niepamiętnem prawie podnieceniu za rękę.

— Chodź pan, chodź do mego buduaru. Tu miejsce dla oficyalnych przyjęć, dla tych »forestieri«, którzy mnie na śmierć zanudzają — dla pana mam osobny przybytek — moje sanctuarium, do którego nikomu wstęp nie dozwolony.

Poprowadziła go przez szereg wspaniale urządzonych pokoi, aż wreszcie znaleźli się w małym pokoju, zasłanym skórami białych niedźwiedzi, wybitym kosztowną materyą, zawieszonym rzadkiemi makatami, gobelinami: pełno było wszędzie poduszek, oszytych chińskimi haftami, kozetek i taboretów, obitych jedwabiem, a na środku ogromna, do ziemi przykucnięta otomana; wszystko to robiło na Bieleckim wrażenie ogromnego łóżka.

A za niepotrzebny grat uznał maleńkie biurko, przedziwnej roboty japońskiej, które stało wpoprzek dużego okna, zasłoniętego teraz ciężką brokatową kotarą.

Mrok panował w tem »sanctuaryum« —

ciężka słodko-parna wizya rzeczy, które na razie się śnią, a wkrótce dokonać się mają.

Siedli.

Ona przykucnęła na całym stosie poduszek — on siadł naprzeciw na nizkim taborecie, który był tak miękki, że zdawało mu się, że się w nim zapadnie.

Zadzwoniła trzy razy.

— Widzi pan, jaka to przyjemna rzecz, mieć wyszkoloną służbę; nie potrzebuję biegać, ani nawet mówić i tłomaczyć, tylko odpowiednią ilość razy pocisnąć dzwonek, a już wiedzą, co przynieść mają.

— Tak, to rzeczywiście przyjemnie mieć tak wyszkoloną służbę — zauważył Bielecki głęboko i równocześnie było mu przyjemnie w swoich myślach skonstatować, że tu się wcale dobrze czuje.

— Pańska dusza niezmiernie skomplikowana — powiedziała pani Tańska — trudno mi się w niej zoryentować, a tem trudniej w słowach pańskich... czy to, coś pan przed chwilą o moich poematach powiedział, to istotnie pańską prawdą?

Bielecki podniósł na nią zmęczone oczy:

— Całkiem nie rozumiem, o co pani pyta? Ton jego głosu stał się ostry i szorstki.

— Raz już to pani powiedziałem, a ani ja i chyba pani też nie widzi powodu, dla któ-

regobym miał jakąś potrzebę, pani podchlebstwa prawić.

Pani Tańska spokorniała.

— Niech się pan na mnie nie gniewa, że tak nahalnie o pańskie zdanie pytam, ale gdybyś pan wiedział, w jakim ja niepokoju przez cały czas trwałam — gdybyś pan był w stanie odczuć to szczęście, które tak nagle na mnie spadło...

Bielecki wstał, pocałował ją gorąco w rękę:

— Niech pani mi wybaczy szorstki ton, w którym się przed chwilą ośmieliłem do pani przemówić — ale już trudno: jestem bezwzględnym człowiekiem, nigdy jeszcze nie kłamałem, nikomu pochlebstw nie mówiłem — więc pani zrozumie, że mimowoli czuję się rozirytowanym, gdy się mnie o nieszczerość posądza...

Łuna szczerości biła na kilka mil od jego słów, a była tak oślepiająca, że pani Tańska aż się przelękła, iż śmiała na chwilę jedną o niej powątpiewać.

Ukorzyła się w szczęśliwem upojeniu:

— Nigdy jeszcze takiego szczęścia nie zaznałam!

No więc też! pomyślał Bielecki — czegóż ci jeszcze potrzeba? Et tout le reste: nous verrons bientôt... Dziwne, że jak go paskudne, cy-

niczne myśli opadały, nie mógł ich po polsku pomyśleć.

Swoją drogą — powtarzał sobie już kilkakrotnie — czuł się wcale dobrze w tym pokoiku, który istotnie nie był niczem więcej, jak tylko dużem, bardzo obszernem i niezmiernie wytwornem łóżkiem.

Począł jej się pilnie przyglądać, a i ona wlepiła oczy w niego.

— O czem pani teraz myśli? — zapytał z cichym, dyskretnym uśmieszkiem.

— A pan o czem?

Oczy ich się spotkały nieświadomie porozumiewawcze, chytre, już się sprzęgły.

— Pani mi teraz winna szczerość wzamian za moją, więc na panią kolej...

Prawie bez szelestu wniósł lokaj na wielkiej kosztownej tacy czarną kawę i kilka flaszek likierów.

— O czem ja myślałam? — Pani Tańska uśmiechnęła się. — Istotnie jestem panu winna odpowiedź, by szczerość szczerością odpłacić...

Nalała kawy do filiżanek — Gin'u do kieliszków — pili chwilę w milczeniu, trącili kieliszkami...

— Ot! tak mi się podoba: to całkiem »en camerades« — powiedział Bielecki — wypił jeden i drugi kieliszek, bo już nie uważał za potrzebne, by jakieś głupie konwenanse zacho-

wywać wobec tej pani, którą chcąc nie chcąc, był zmuszony w imię jakiejś »vis major« za koleżankę uważać.

— O czem ja myślałam? Powiem panu szczerze: gdym tak sama jedna całymi zimowymi wieczorami wysiadywała i tyle w pismach o panu czytała, prześladowała mnie myśl, jak też ten wielki człowiek wygląda?

— Pewnie, jak dyabeł z rogami?

— Tak! coś w tym rodzaju, inaczej sobie pana wyobrazić nie mogłam...

Roześmiał się sucho:

— Wybacz pani: nie jestem żonaty... Trop de révérance... jestem sobie prostym człeczyną...

Pani Tańska na głos się roześmiała.

— Takim prostym, prościuteńkim, Bogu ducha winnym...

Jął jej głośnym śmiechem wtórować.

— A jak pani na imię? — zapytał nagle.

— Dlaczego pan mnie o to pyta?

— Bo nie lubię kobiet nazywać nazwiskiem ich mężów, mam zawsze wrażenie, że czyjąś własność nazywam — powiedział to swobodnie, bezczelnym tonem.

Pani Tańska spojrzała na niego filuternie:

— Mój mąż, gdy nie śpiewa, ryby łowi — zdaje się, że już o tem panu mówiłam...

— A gdy zimą staw pani zamarza, a mąż nie śpiewa, to drzewo rąbie — prawda?

— I to prawda.

Spojrzeli na siebie długą chwilę i umilkli.

Bielecki nalewał sobie Gin do kieliszka i pił nerwowo.

— Ale pani mi jeszcze nie powiedziała, jak pani na imię.

— A na co to panu wiedzieć?

— Bo chciałbym panią po imieniu nazywać.

— Cóż tak nagle?

— Wcale nie nagle.. Gdym czytał poematy pani, nie mogłem przełknąć pani nazwiska — tak mi się wydała bliską i spokrewnioną...

Pani Tańska patrzyła tak, jakby za chwilę na szyję mu się rzucić miała.

Bielecki napił się znowu.

— Pani już chyba w moją szczerość nie wątpi — jestem szorstki, bezwzględny, a nawet ordynarny, gdy chodzi o rzeczy sztuki — więc może mi pani bezwzględnie zaufać — ja nie mam do czynienia z własnością pana Tańskiego, tylko z panią samą — Bieleckiemu podobało się wprawić w stan wysokiego podniecenia.

A pani Tańska ważyła ciemną, starannie utrefioną główką w jedną i drugą stronę i uśmiechnęła się zalotnie:

— Lękam się, czy panu moje imię będzie

się podobało, bo brzmi trochę pretensyonalnie, dlatego go od razu nie powiedziałam — wogóle nienawidzę tego imienia i mam żal do rodziców, że mi je nadali.

— No? — zapytał Bielecki.

— Leontyna.

— Ależ to przedziwne imię — Bielecki grał zachwyt z zapałem, który, jak sam zauważył, godzien był więcej stanowczej chwili...

— A więc pani Leontyno, pani pozwoli, że już inaczej pani nazywać nie będę...

— Panu istotnie to imię się podoba?

— Bardzo! jakby umyślnie dla pani stworzone.

Spojrzała na niego badawczo i podejrzliwie. Ale z całej jego twarzy biła taka szczerość i taki niekłamany podziw dla całej jej misternej osóbki, że, z bajecznie też odegranem zmieszaniem, odpowiedziała:

— Odtąd to imię stało mi się drogie.

W mózgu Bieleckiego coś się przyjemnie uśmiechnęło.

Ça va! pomyślał; pójdzie łatwiej, aniżeli mu się zdawało.

Przytem zauważył z przyjemnością, że, odkąd młodego Bieleckiego pozostawił za drzwiami, a raczej posłał go do Niny — raz, by tego noworodka upośledzonego, rachityczną chorobą, jaką jest serce i sumienie, a przede-

wszystkiem miłość, a po drugie, by nie burzyć zaufania Niny do zacnego i wiernego kochanka, otóż: odkąd się tego aniołka pozbył, jakoś raźniej mu było: pozyskał dawną swobodę, odwagę, przedsiębiorczość, a nawet swój dawny bezczelny cynizm.

Ta patyna, jaką miłość człowieka obklajstrowuje, wysoce niewygodna, pomyślał.

Odganiał teraz obraz Niny, który mu się gwałtem przed oczy nasuwał, bo czuł, że słabnie:

— Pani musiała się strasznie nudzić tak sama na wsi w tych długich zimowych wieczorach... — oczy jego padły na upierścionkowane ręce pani Leontyny.

— Czytałam dużo, pisałam, śniłam, a jedno z moich najmilszych marzeń było to, by pana poznać.

Ciekawe fory mi daje, myślał Bielecki.

— I spotkało panią ciężkie rozczarowanie!

— Bynajmniej! — uśmiechnęła się wdzięcznie — wystawiałam sobie pana w groźnym, ponurym majestacie, z rozwichrzoną czupryną, z zaciśniętemi ustami, niedostępnym, na trójnogu siedzącym — więc wyobrazić sobie pan może moje miłe zdziwienie, gdym ujrzała przed sobą eleganckiego, wytwornego i bardzo ugrzecznionego człowieka z lekkim, co prawda

ironicznym uśmieszkiem i pewną delikatną nonszalancyą w obejściu, która jednak nie tyle drażni, co nęci.

— Pani zbyt pochlebnie zretuszowała mój portret.

— O! wcale nie! Teraz dopiero rozumiem — nagle urwała, jakby teraz dopiero się spostrzegła, że mogłaby coś za dużo powiedzieć.

A on w nią wlepił szydercze oczy i czekał chwilę, a gdy pani Leontyna zakłopotana zaczęła nalewać kawy do filiżanek japońskich, powiedział z dziwną intonacyą:

— Pani pozwoli, że dokończę zdanie, które pani urwała...

Spojrzała na niego pytająco.

— Otóż szczególnego uroku nabrałem od chwili, w której napróżno starałem się wyratować pannę Łucyę Szumską od niechybnej śmierci, czegom sam o mało życiem nie przypłacił...

— Tak! to prawda — powiedziała gorąco.

— A w ostatnim roku tajemnicze morderstwo, popełnione na Adzie Karskiej przez księcia Poraja, wplątało moje nazwisko w całą tę aferę i nadało panu Bieleckiemu nowego rozgłosu i nimbu — prawda?

— Istotnie!

— Przykro mi, że muszę wobec pani te legendy, które mnie, przyznaję, czynią bardzo

interesującym, młodym człowiekiem, rozwiać. Za bohaterski swój czyn w sprawie ratowania panny Łucyi o mało co nie dostałem od rządu włoskiego medalu ratunkowego, a więc rzecz przedstawia się bardzo prozaicznie, a co do Ady, to tam już Bogu ducha jestem winien, bo, poco było jej się wdawać z jakimś niepoczytalnym księciem?

Teraz zdaje się cały mój urok prysnął, a piękne legendy okazałem pani w całej ich banalnej i prozaicznej rzeczywistości.

Uśmiechnęła się.

— O! o! mnie pan nie zwiedzie, ani na manowce nie poprowadzi — ja zbytnio rozumem nie grzeszę. O, ale...

Bielecki roześmiał się serdecznie:

— Pani chciałaby teraz komplement odemnie posłyszeć?

— Ale instynkt kobiecy mi mówi, by się mieć przed panem na ostrożności.

Bielecki spojrzał na nią zdziwiony.

— Pan zdziwiony, że tak szczerze mówię — przecież pan przed chwilą powiedział, że uważa mnie za swoją koleżankę.

— Tak to prawda!

— Niebezpieczna rzecz z panem przebywać.

Pocoś więc tu przyjechała? pomyślał Bielecki i z coraz większem zajęciem przypatry-

wał się rubinom i brylantom, którymi ręka pani Leontyny była inkrustowana, a która coraz bliżej ku niemu wysuwać się zdawała.

— Więc dobrze: jeżeli już stosunek nasz ugruntowaliśmy na kruchym fundamencie koleżeństwa, to i ja będę szczery: i dla mnie nie byłoby zbyt bezpiecznem z panią przestawać...

Spojrzała na niego z milutkiem zakłopotaniem, tylko jej ręka zdawała się na przepysznej mozaikowej płycie stolika wydłużać i coraz więcej ku niemu wysuwać.

Ręka ta pełzła zwolna ku niemu, z leniwą, rozkoszną lubieżnością. Bielecki pochwycił ją nagle z zimnym taktycznym rozmysłem i począł ją gorąco całować, a ponieważ nie dość gorąco, jak właściwie okoliczności tego wymagały, tak mu się przynajmniej wydawało, więc podciągnął w górę rękaw kosztownego różowego kimona pani Leontyny i bezpamiętnie — doskonałe wyrażenie, pomyślał — jął obcałowywać jej trochę za chude, ale skąd inąd piękne ramię:

A pani Leontyna zasłoniła drugą ręką oczy w dziewiczej wstydliwości i drżała z rozkoszy.

Droga do stolicy otwarta, pomyślał Bielecki i z trudem zdusił wybuch niepohamowanego śmiechu.

X.

Odkąd Nina zamieszkała razem z Bieleckim, nie miała chwili spokoju.

Dopóki otrzymywała listy anonimowe, śmiała się z tego — chociaż były między nimi tak zjadliwe i tak wszelką cechę prawdy noszące, że Nina wprost wszystkiemi siłami bronić się musiała, by przynajmniej w jedną drobną część tego wszystkiego nie uwierzyć — były pisane sercem ojcowskiem, by ją przestrzedz przed tym Bieleckim, o którym przecież każdy wie, kim jest, tylko ona jedna nic nie widzi, były nawet takie, gdzie uwiedzione przez Bieleckiego niewiasty groziły przykremi relacyami, które mogą go do więzienia zaprowadzić, jeżeli go nie opuści, i były takie, w których ją zaklinano na »wszystkie świętości«, by duszy swej nie gubiła, bo przecież musi wiedzieć, że związek, przez Kościół katolicki nie uświęcony, jest prostym konkubinatem, za który rozgrze-

szenia nie otrzyma, ani też za jej trumną żaden ksiądz nie pójdzie, a że jej śmierć jest bliska, to niewątpliwe, najlepszym przykładem jest biedna Łusia i Ada.

Z początku ją to nawet bawiło. Gdy Bielecki wracał z redakcyi, siadali przy biurku, odczytywali razem te listy i zanosili się od śmiechu.

— Teraz już nie opowiadaj niestworzonych rzeczy z twego życia, bo wiem, że ty na tle tych listów komponujesz — przytulała się do niego — i schwyciłam cię na prostym plagiacie — dziś w twojej bibliotece znalazłam znowu książkę, której fabułę dosłownie mi powtórzyłeś, tylko, że w twojem opowiadaniu toś ty sam przeżył. To plagiat — kochanie — fe!... Ale ja cię z zajęciem słuchałam, w ten sposób najłatwiej poznam satanistyczno-perwersyjną literaturę — twoje opisy czarnej mszy, w której uczestniczyłeś, znajdę z pewnością u Huysmansa albo de Guaity — wszystkie pérversités wyczytałeś w utworach Markiza de Sade — no! przyznaj się!

Śmiał się, jakby go na gorącym, ale całkiem niewinnym uczynku złapała.

— Ale powiedz mi, po co ci ludzie tracą czas na pisanie takich listów?

— Po to, by zagadka była trudniejsza.

— Jaka zagadka?

— Odwieczna złości, zawiści i szubrawstwa ludzkiego.

Teraz już Nina wszystkie listy do niej adresowane paliła - znajomych nie miała, ani mieć nie chciała — więc chyba od pana Ligęzy, który dotychczas uchodził za jej męża, list otrzymać mogła.

A jednak bezwiednie uczuwała jakąś ukrytą trwogę, jakieś niewytłomaczone drżenie, ile razy jakiś list nadszedł.

Widziała, że nie ona wchodzi tu w grę, tylko Bielecki, że nad Bieleckim wiszą ciężkie chmury — miała zawsze uczucie, jakby widziała pierwsze przebłyski nadchodzącej burzy — i to ją w lęk wprawiało.

Pogoda jej duszy zwolna poczęła się mącić.

Nawet nie wiedziała, kiedy jął się dokonywać w jej duszy jakiś przewrót: ona, która dawniej każdemu człowiekowi bezgranicznie ufała i naiwnie wierzyła, teraz patrzyła na każdego nieufnie - widziała rzeczy, którychby dawniej nawet pomyśleć nie była w stanie — a ta trudniejsza zagadka szubrawstwa ludzkiego, o której Bielecki jej mówił, rodziła w niej lęk i podejrzenie.

Jeszcze przed miesiącem błądziła sama po mieście, nie widziała nawet mężczyzn, bo prócz Bieieckiego żaden mężczyzna dla niej nie istniał, na spojrzenia kobiet nie zwra-

cała żadnej uwagi, teraz zaczynała spostrzegać, że kobiety jej się bystro i nienawistnie przypatrywały. Rozglądała się naokół siebie wylękła prawie, bo zdawało jej się, że widzi u kobiet szydercze, wzgardliwe uśmiechy i wtedy przypominały jej się z któregoś z listów anonimowych zjadliwe słowa o konkubinacie; to znowu miała wrażenie, że jakaś kobieta groźnym wzrokiem ją obrzuciła, to pewno ta, przez Bieleckiego porzucona kochanka — tam ten starszy pan, który jej się tak pilnie przypatrywał, to pewno ten ojcowski opiekun, który ją przed zgubą ostrzegał...

Dawniej, gdy szła sama ulicą, najmniejszej nawet uwagi na to nie zwracała, gdy jakiś mężczyzna za nią szedł krok w krok — nie lękała się zaczepek, bo wiedziała, że w ostateczności przy najbliższym rogu ulicy może się poskarżyć policyantowi, terazby tego zrobić nie śmiała, bo nie była pewną, czyby jej z pomocą przyszedł.

Ta fatalna, trudniejsza zagadka szubrawstwa ludzkiego poczęła ją przerażać.

Raz — tego samego wieczoru, w którym Bielecki niezwykle zręcznymi taktycznymi obrotami uwalniał sobie z możliwych przeszkód drogę, która go do zwycięstwa nad panią Leontyną wiodła, gnał Ninę od paru godzin drżący niepokój po ulicach miasta. Myślała,

że ją ogromny ruch, który właśnie o tej porze wrzał i huczał w całem mieście, uspokoi, przystawała przed każdem niemal oknem wystawowem, by się rozerwać, uwagę swoją rozprószyć, rozbić na tysiące drobnych, nic nie znaczących rzeczy, ale to wszystko działało przeciwnie: głowa ją rozbolała od tego łoskotu ładownych wozów, turkotu dorożek, trąb automobilowych, bezustannych dzwonków tramwajowych, które sobie z trudem drogę torowały. Coraz większy niepokój ją ogarniał i przeraźliwy lęk, bo uczuła się nagle całkiem obcą w tem zgiełkliwem mieście, i to uczucie obcości coraz ciężej i boleśniej spadało na jej serce.

Zdawało jej się, że ktoś za nią krok w krok idzie, czyha na nią, zastępuje jej drogę, osacza ją: w każdem spojrzeniu, jakiem ją obrzucano, widziała szyderczą, nienawistną wzgardę, albo plugawą żądzę; przypadkowe natknięcie się o jakiegoś człowieka w zbitym tłumie wydało jej się pogardliwym szturchańcem, łzy zaczęły jej się do oczu cisnąć, w gardle dławiło ją łkanie, tchu nie mogła pochwycić z obłędnego prawie lęku.

Wydostała się wreszcie z tej obrzydliwej, spotniałej, złej i nienawistnej fali ludzkiej i skręciła w boczną ulicę.

A uczucie bolesnego osamotnienia, osiero-

cenia, bezradnej bezbronności zasnuwało coraz głębszą mgłą jej oczy: ciężki płacz zaległ bezsilny w krtani, bo wiedziała, że go już długo nie zdoła powstrzymać, a duszę nurtował przykry żal do Bieleckiego, że ją tak samą całymi dniami pozostawiał na pastwę najprzykrzejszych myśli, tego lęku przed ludźmi, ich jadowitej złości, pogardy i nienawiści.

Zlękła się teraz sama siebie.

Broń się przed temi myślami, jęklo coś rozpacznie w jej duszy. Kto cię nienawidzi? Kto tobą pogardza? Przecież to tylko urojenie!

Pojąć nie mogła, co się z nią działo od czasu, jak do tego piekielnego miasta wrócili.

Ogarniał ją coraz cięższy i przykrzejszy żal do Bieleckiego.

Poco on jej tych ludzi nasprowadzał? Czy nie byliby mogli sobie sami wystarczyć? Czyż nie było im najlepiej, gdy byli tam w Tyrolu sami? Czy miłość jego już wietrzeć poczęła, że ludzi potrzebował, by mu nudę sam-na-sam z nią przerywali?

Zawstydziła się.

Niewdzięczną jesteś, pomyślała — przecież on dlatego tylko ludzi wprowadził, bo ich chciał zmusić, by nasz stosunek uznali... ale przystanęła, tak ją ta nagła myśl zabolała: przecież on to i z Łusią podobno robił...

Czyż jej tego Regina nie opowiadała w ty-

siącznych obsłonkach, domyślnikach, czasami wyraźnie w cudzysłowach, albo w aż zbyt przejrzystych przenośniach?

Poco on mi tę Reginę w dom wprowadził? Chyba na to, by mi jad kroplę po kropelce w duszę wsączała? Te bezustanne wspominania o Adzie, te chytre, podstępne podjazdy, by ją całkiem z równowagi wytrącić — co to miało znaczyć?

A znowu ten, którego jej przedstawił, jako swego najbliższego przyjaciela — cóż on to jej powiedział niby to po pijanemu, ale on nie był wcale pijany: Bielecki nigdy nie kochał, ani kochać nie może, jeżeli — to coś demonicznego — coś w rodzaju Ady... ale nie czystą i słoneczną kobietę, jak pani! Pani zanadto zaślepiona, jeżeli pani w jego miłość wierzy — I w tej chwili ujrzała, jak w wizyi niechlujne, obmierzłe, nagie ślepia tego najlepszego przyjaciela, jak ją bezwstydnie obnażały.

A ten drugi i trzeci i czwarty... Cóż na Boga to wszystko miało znaczyć — czyżby ją przemocą od niego chcieli odrywać? Chcieliby go jej zbrzydzić?

Pocóż on tych ludzi w dom wprowadził? Pocóż jej prawie gwałtem tę Reginę na przyjaciółkę narzucił?

Czyżby umyślnie? Serce jej się skręciło takim bólem, że chwilę przystanąć musiała,

a nawet nie zauważyła, jak naokół niej krążyła jakaś paniusia, która nagle przed nią przystanęła.

Było to tak nagle i obcesowo, że Nina cofnęła się o parę kroków w tył i oparła o mur, nogi drżały pod nią i zaledwie była w stanie wykrztusić:

— Czego pani odemnie chce?

— Ależ niech panienka się tak nie lęka — ja panience nic złego nie zrobię — mnie tylko uderzyła piękność panienki, od paru dni już ją podziwiam, a piękność to majątek, to wielki majątek — ja już niejednej pomogłam do zdobycia wielkich nawet majątków — mówiła obca pani chytrze i powoli, jakby każde słowo kładła na wagę złota.

Nina tak była przerażona, że twarz tej obcej pani majaczyła jej się tylko przed oczyma, jak coś dyabelnie złego, plugawego, coś co czuć było zgnilizną i rozkładem.

— Czego pani odemnie chce?

— Niech panienka się nie boi, mnie można zaufać — mówiła wiedźma szybko i nahalnie — jeśli panienka ma już kogoś, kogo lubi, to tem lepiej, to i jemu będzie lepiej i on panienkę więcej polubi, jak będą pieniądze — a taka piękność, to dużo pieniędzy — ba! to królestwo — a ja mam tylko z hrabiami i z książętami do czynienia.

Teraz Nina zrozumiała. — Wstręt, obrzydzenie zapchało jej tak gardło, że przez ten ciasny wąwóz żadne słowo przedrzeć się na razie nie mogło — fala krwawego, bolesnego oburzenia zalała jej mózg, w sercu czuła dojmujące kłócie rozpalonych szpilek, słaniała się, a nagle krzyknęła na cały głos:

— Precz!

Głos jej był tak przeraźliwy, że rozległ się po całej ulicy — parę przechodniów przystanęło ciekawie — stara odrazu znikła, jakby się w ziemię zapadła Nina zebrała wszystkie siły i biegła naprzód.

Na rogu ulicy spotkała dorożkę. Wsiadła całkiem wyczerpana.

— Dokąd?

...Redakcya »Romowe«.

Nie była w stanie myśli zebrać — to jedno tylko wiedziała, że dłużej już w tem mieście nie pozostanie, że tu do obłędu dojść może — że jej wszyscy i wszystko naokół duszę niszczą i zatruwają — już śmiertelny jad w duszy jej krąży — na kolana przed nim padnie, zaklnie go na jego miłość, by czemprędzej stąd ją wywiózł.

Hrabicze i książęta! huczało jej w głowie, słyszała to w turkocie kół po ohydnym bruku, każdy przechodzień zdawał się to wykrzykiwać, a wlokące się leniwie i ociężale prosty-

tutki jej tę hańbę jęły w oczy ciskać i pluć. — Ale niebawem stłoczył się jakiś przerażający ciężar na jej mózg, zmiażdżył myśli, siedziała w dorożce chwilę, jak porażona.

Nie wiedziała nawet, kiedy dorożka przystanęła i z trudem zrozumiała, że stoi przed redakcyą.

– Jakto? już?

— A toż to, panienko — powiedział dorożkarz.

Nina nie wiedziała, że dawno już była w pobliżu redakcyi, że bezwiednie w tę stronę się kierowała, by przy Bieleckim się uspokoić, ukoić, w źródle jego siły uzdrawiającej wody zaczerpnąć.

Ochłonęła, kazała dorożkarzowi poczekać, bo zaświtała jej myśl, że wyjedzie z Henrykiem na dłuższą przechadzkę, to ją uspokoi. Na wschodach przystanęła, bo nie chciała Bieleckiemu pokazać, jaka jest wzburzona, by go nie niepokoić.

Długą chwilę zmagała się z sobą, a gdy już miarkowała, że twarz jej przybiera spokojny wyraz, gdy czuła, jak wzburzona fala krwi odpływa od serca, zadzwoniła do redakcyi.

Woźny otworzył drzwi i wprowadził ją do administracyi, gdzie krążył niespokojnie młody człowiek, starannie wygolony, robił wrażenie

kleryka, który co dopiero drapnął z seminaryum.

Gdy ujrzał Ninę, podbiegł ku niej ze zdumieniem.

— A cóż łaskawą panią sprowadza o tej porze do redakcyi — pocałował ją uroczyście w rękę.

Koczor był nad wszelką miarę uprzejmy.

Pocałunek ten był Ninie przykry — o Koczorze mawiał Bielecki ze śmiechem, że cierpi na nieuleczalną satyriasis — i prawie z wstrętem wyrwała mu rękę.

Koczor łypnął złośliwie przymrużonemi ślepiami.

— Mąż mój w redakcyi?

Pan Bielecki? — zapytał Koczor, z głupia frant, ale z takim naciskiem, że Nina czuła, iż twarz jej szkarłatem się oblewa — czuła w tem powiedzeniu obelgę, ale nie miała czasu o tem myśleć...

— Jest w redakcyi? — zapytała ostro.

Koczor zrobił poważną i bardzo zakłopotaną minę.

— Otóż w tem sęk, że go dziś przez cały dzień nikt nie widział — nigdzie go złapać nie można — a tu w naszej świątyni wszystko trzeszczy i zawala się - powałę zaledwie utrzymać zdołam — posadzka ugina się podemną, gdyby rozkołysana fala morska — a pana Bieleckiego ani na lekarstwo...

Teraz Nina uczuła, że posadzka się pod nią ugina, powała nad nią obrywa...

— Jakto? — powiedziała zdumiona — przez cały dzień nie było go w redakcyi? — wyrwało jej się to pytanie tak spontanicznie, że nie zdążyła go powstrzymać.

Koczor w mig pochwycił w jej twarzy wyraz lęku i przerażenia i w tej chwili się zoryentował:

— Pani rozumie, w jakiem kłopotliwem położeniu się znalazłem — na moich barkach zaciężyła teraz odpowiedzialność za wszystko, co się tu dzieje, a panna Regina Kolicka, którą nam p. Bielecki w zastępstwie swojem nadesłał — sama się w powikłanych ścieżkach, gąszczach i zaroślach świętego gaju nie oryentuje.

— To panna Regina zastępuje Bieleckiego? — lękała się już powiedzieć »męża«, bo czuła, że ją nowy afront spotka.

— Tak! pan Bielecki w ostatniej chwili powiadomił mnie, że przez dzisiejszy dzień funkcye redaktorskie porucza pannie Reginie.

Ninę ogarniało coraz większe zdumienie, ale z wszystkich sił tłumiła cały chaos poplątanych głosów, dysonansów, zgrzytów, jakąś groteskową, przykrą kocią muzykę w sobie:

— To niech mnie pan pannie Reginie zamelduje — powiedziała oschle.

— Łaskawa pani może w każdej chwili wejść bez osobnego »meldunku« — powiedział to głosem bezczelnego kaprala — i otworzył naoścież drzwi, prowadzące do przyległego saloniku redakcyjnego.

Nina nie raczyła nawet na niego spojrzeć.

Na widok Niny zerwała się od biurka brzydka i niezwykle chuda dziewczyna z namiętną, wyuzdaną prawie twarzą i podbiegła do niej:

— Nino?! Ty?! Co ty tu robisz?

— A ty co? — Nina się uśmiechnęła.

Regina była chwilę zakłopotana, a potem szybko i, jak się Ninie zdawało, trochę bezładnie:

— Widzisz, Nino — Henryk...

O! jak poufale go nazywa, pomyślała Nina.

— Henryk prosił mnie, bym w redakcyi najważniejsze sprawy pozałatwiała — strasznie zajęty... patrz: dziesięć listów już napisałam lada chwila nadejść musi — potrzebuje je tylko własnoręcznie podpisać.

— Toś zaawansowała na Henryka sekretarkę...

Regina całkiem zapanowała nad sobą.

— Ty mu się dziwisz, że potrzebuje pomocy — teraz właśnie, gdzie »Romowe« ciężkie przesilenie przechodzi?

— Jakie przesilenie?

— To ty o niczem nic nie wiesz?

— O czem?

— Że Hedera wycofał cały swój kapitał?

Nina spojrzała na nią prawie z wdzięcznością.

Regina w lot pochwyciła zmianę na twarzy Niny.

— Możesz sobie wyobrazić, w jak ciężkiem położeniu Henryk się znalazł.

To poufałe »Henryk« drażniło Ninę.

— A czegóż do mnie o tem nic nie mówił? — pytała. — Czemuż ciebie wtajemnicza w swoje interesa, a mnie o niczem nic nie mówi? — »timbre« jej głosu stał się już całkiem ostry.

— Ależ, Nino w tem cała jego miłość, że nie chce ci mącić spokoju tymi rzeczami, które zdoła sam spokojnie załatwić. — Zresztą nie masz się czego lękać, z dawniejszych jego stosunków towarzyskich pozostało mu jeszcze parę tylko...

— Jakto?

Regina udawała zdziwienie.

— O co pytasz?

— Dlaczego zostało?

Nina przeczulonym instynktem wietrzyła w tych słowach jakąś złośliwość.

— A co się z tymi innymi stosunkami stało, że tylko mu ich parę zostało?

Regina przybrała poważną minę.

— Przecież tak naiwną nie jesteś, byś nie zrozumiała, że Henryk...

Znowu ten Henryk - niezadługo powie Henio! Nina zatrzęsła się.

Regina grała znakomicie zakłopotanie:

— Że Henrykowi musiało to bardzo zaszkodzić...

— Cóż takiego?

— Bo widzisz jakiś tam stosunek z Łusią, lub też zaawanturowanie się z egzotyczną Adą, to całkiem co innego: wtedy społeczeństwo jest pobłażliwe i wyrozumiałe — ale co innego, jeżeli...

— Mów, mów!

— Pocóż mam mówić, jeżeli nie chcesz, ani nie jesteś w stanie tego zrozumieć, że co innego awantury miłosne, a co innego stosunek... — urwała.

Nina szeroko otworzyła oczy:

— Aha! — teraz zrozumiała.

Regina chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Nina wstała:

— Nie potrzebujesz się trudzić — ja teraz wszystko zrozumiałam — mnie uważają — za co to mnie uważają?

Oczy jej lękliwie załopotały.

— Za co mają uważać? — powiedziała Re-

gina z lekkim uśmieszkiem — za to, za co cię Henryk ludziom przedstawia.

Nina spojrzała na nią z jakimś głębokim smutkiem.

Reginę widocznie wzruszył wyraz twarzy Niny — zerwała się i podbiegła do niej:

— Nino najdroższa, Nino moja — tak mi cię nieskończenie żal — tyś taka biedna..,

— Ja? biedna? A to czemu?

— Biednaś, bardzo biedna — będziesz musiała się jeszcze do tego przyzwyczaić...

— Do czego?

— Że będą patrzyli na ciebie, jak na raroga, że jeszcze się mnóstwo przykrości nałykasz, bo nie każdy patrzy na wasz stosunek, tak, jak ja...

Nina spojrzała na nią zimno:

— Dajmy temu spokój — zastępujesz w redakcyi Henryka, więc pewno będziesz wiedziała, gdzie go teraz spotkać mogę.

— Henio!? Gdzie on teraz być może? — Regina Kolicka tarła czoło.

A więc istotnie go Heniem nazwała! Nina trzęsła się z oburzenia... Jaki stosunek łączy tych dwoje ludzi? Pozwala się przez nią zastępować, ona mówi o nim, jakby ją najściślejsze węzły z nim łączyły — cóż to wszystko?!

— Wiesz co? — Regina zdawała się z trudem coś sobie przypominać. — Jedź do tea-

tru — dziś jest premiera — zapytaj się o Anastazyę Żegotę — wiesz już: ta wielka aktorka — on tam często przesiaduje — każ go wywołać...

Nina z trudem się hamowała, a nagle sił jej zabrakło, odwróciła się gwałtownie i wybiegła z redakcyi.

Na wschodach słyszała drwiący? kpiący? szyderczy? głos dławiony, jak jej się zdawało, ohydnym śmiechem:

— Nino! Nino! co ci się stało?

W sieni na dole przylgnęła do ściany.

— Nino! Nino! — rzechotał na pierwszym piętrze zły głos.

Nina szarpnęła drzwiami, wybiegła na ulicę i rozejrzała się błędnie.

— Tu, tu — panienko! — Dorożkarz skoczył z kozła i pomógł jej wsiąść do dorożki.

— Dokąd?

— Do teatru! — powiedziała to nawpół nieprzytomnie.

To, co sobie teraz uświadomić zdołała, to nie były myśli, to podarte, brudne szmaty, jakieś wiechcie do wymiatania śmieci, zabrudzone ścierki — w mózgu jej przelatywały oderwane myśli, które w żaden sposób kojarzyć się nie chciały: Regina z swoją potworną brzydotą, ale przecież Bielecki opowiadał, że Baudelaire do końca życia trwał przy jakiejś przeraźliwie brzydkiej mulatce — Nastka, która

Ligęzę, jej męża opętała — aha! na własne oczy widziała, w jakim poufałym stosunku pozostawała z Bieleckim — stosunki towarzyskie, z których Bieleckiemu parę tylko zostało, bo ona była przyczyną ich zerwania — a te parę: to pewno stosunki z kobietami, które Bieleckiego z przyjaźni wielkiej, mają od niej oderwać. — Jezus Marya! chciałoby się jej zakrzyczeć na cały głos — ale zdusiła to wszystko w sobie, wtuliła się w siedzenie, a na twarzy. czuła, jak łzy się po niej toczą, gdyby groch

A w duszy jej jęła kipieć bezradna nienawiść, dzika złość, gniew i rozterka.

On temu wszystkiemu nie winien — przemocą starała się uspokoić... Łotrowstwo ludzkie — szubrawstwo — ta nieodgadniona, trudniejsza zagadka złości ludzkiej starała się ich rozłączyć, ją od niego oderwać, a jego od niej odciągnąć podstępem, chytrością — tem wszystkiem, co już zrozumiała: Hederą — się nazywa.

Zgrzytnęła zębami po raz pierwszy w swojem życiu.

Dlaczego tej ohydnej, czarnej mulatki, tej Reginy pięścią w twarz nie uderzyłam, gdy mi tę dawkę trucizny w żyły zastrzykiwała? Czemu nie zdołałam się cisnąć na tego brudnego człowieka, który niechlujnie mi rękę ośliniał?

Wzdrygnęła się cała.

Hedera! powtarzała cicho i rozpacznie: wszystko naokół: Hedera!

W tej chwili dokonywał się w jej duszy jakiś ogromny przełom: dusza jej stygła, tężała, jakby już całe ciepło i światło było wypromieniowało — dusza jej księżycowiała zimnym, zamarłym blaskiem.

Teraz pragnęła mieć tylko pewność.

Nagle zaczęła zimno i spokojnie rozmyślać.

Czemu mi mówił od samego rana, że będzie musiał przez cały dzień siedzieć w redakcyi. kiedy go tam wcale nie było, a całą redakcyę pozostawił na opiece tej ohydnej mulatki i tego wstrętnego satyra?

Pocóż kłamał?

A może nie kłamał — może musiał być na dzisiejszej premierze, by całą noc pisać o niej sprawozdanie?!

I znowu się zlękła, że Bieleckiemu krzywdę wyrządziła.

Przed teatrem dorożka przystanęła.

Wysiadła, zapłaciła i weszła do teatru.

Kazała sobie portyera wywołać. Patrzano na nią nieufnie, ale powtórzyła swoje żądanie z takim nakazem, że za chwilę zjawił się portyer z niskim ukłonem, bo znał ją, jej i Bieleckiego sute napiwki.

— Niech pan pana Bieleckiego poprosić zechce, aby na chwilę tu wyszedł

— Pana Bieleckiego, wielmożna pani, nie ma w teatrze, od miesiąca go tu nikt nie widział.

— Od miesiąca?!

— Tak! pan Bielecki bardzo rzadko tu zachodzi.

— To niech pan zapyta się u pani Żegoty, czy go tam przypadkowo niema.

— Pani Żegota dziś nie występuje, więc nie jest w teatrze obecna.

Nina dała mu machinalnie papierową trzyrublówkę i wyszła z przedsionku teatru na ulicę.

I co teraz? zajękło w jej głowie — co teraz?!

A może on już dawno w domu?! Jak brzask złocistego słońca oblała ta myśl jej mózg zwycięską purpurą.

Dorożki, automobile podjeżdżały i znowu dalej pędziły, ale nie miała sił, by któryś pojazd przywołać.

Kłamca! warknęło w jej duszy zjadliwie — czemu mi mówił, że koniecznie musi być na dzisiejszej premierze?

I tak wlokła się noga za nogą — śmiertelnie znużona — obolała — zaprzepaszczona w obłędnym smutku osamotnienia i sierocości.

Szła i szła przez opustoszałe ulice, które już jej nie straszyły, ani żadnym lękiem nie napełniały, bo teraz już jej było wszystko jedno:

Kłamca! kłamca! powtarzała zajadle.

Nawet nie wiedziała, jak długo się tak wlokła pustemi ulicami — raz po raz zdawało się jej, że ktoś do niej coś mówi, ktoś ją zaczepia, ale najmniejszej uwagi na to nie zwracała z tej prostej przyczyny, że nie rozumiała, co się do niej mówi i co ktoś od niej chce. Coraz wolniej i z coraz większem znużeniem wlokła się ku domowi.

Nagle drgnęła.

To nie było świadome poczucie jakiegoś niebezpieczeństwa: prosty odruch przed czemś nieoczekiwanem, wstręt przed pobliżem czegoś obrzydłego.

Uświadomiła sobie nagle, że ktoś za nią krok w krok stąpa, bliżej coraz bliżej — jakaś nowa siła wstąpiła w nią, szła szybko, coraz szybciej — wreszcie poczęła biedz — a coraz bliżej tętniały kroki jakiegoś goniącego za nią potwora — dopadła do bramy i w tej samej chwili, gdy zdążyła zadzwonić i stróż już otwierał bramę, obiły się o jej uszy niechlujne, obrzydliwe słowa, których treści jasno zrozumieć nie mogła.

Z dławiącym płaczem, jak biedne, a szczwane zwierzę wpadła do mieszkania.

Obejrzała się błędna dokoła.

Bieleckiego nie było.

Teraz już dłużej nie była w stanie się hamować.

Wszystko, co tak długo, z takim ciężkim trudem w sobie zdusić zdołała, wybuchło nagle w strasznym, spazmatycznym, rozdzierającym płaczu: nie! to nie był już płacz, ale orkan żalu, bólu — ciężkiej rozterki dusznej — krew ran, które się nigdy nie goją.

XI.

Już dawno północ wybiła, kiedy Bielecki wrócił do domu.

Noc była ciemna i padał deszcz jesienny. Ale Bielecki się nie spieszył. Lękał sie, czy będzie mógł Ninie jasno i szczerze spojrzeć w oczy. Wprawdzie jeszcze Niny tak całkiem nie zdradził, ale jeżeli to nie nastąpiło i nie stało się dokonanym faktem, to jedynie dlatego, że pani Tańska uważała za stosowne odegranie przedwstępnej komedyjki oporu, rozpacznej walki z samą sobą, lęku za przepaszczeniem swej równie malutkiej duszyczki, jak cała jej osóbka, jednem słowem: zabrała się do rzeczy po literacku, z całym aparatem przeczytanych powieści.

Nie brał jej tego wcale za złe, owszem im dłużej będzie tę komedyę grała, tam więcej ułatwi mu jego rolę.

Łatwiej mu przyjdzie usychać z tęsknoty, omdlewać z pożegnania, snadniej potoczą się

ogniste okresy o nocach nieprzespanych wskutek parności żaru miłosnego, i jakoś zgładniej wypadnie cała gra mimiczna, wyrażająca namiętność i rozpaczne pragnienie nienasyconej żądzy, a pani Tańska jest literatką i oczytaną niewiastą i pragnie takiej miłości, jaka w książkach opisaną została.

Splunął, taki go niesmak i wstręt ogarnął.

Czterdzieści tysięcy rubli! ostrzegał stary Bielecki, bo po drodze do Niny już się przyplątał ten młody, który z nieukrytą pogardą patrzył na tamtego — hardy już i nieugięty.

— Zaczem staniesz przed Niną i ośmielisz się ją do siebie przygarnąć, wyrzuć wszystko z pamięci, coś przez tę parę godzin przeżył, zapomnij o nędznej roli, jakąś odegrał, wmów w siebie, że to było przykrym snem, a niesmak, jaki czujesz, to tylko dlatego, że zjadłeś pieczeń na starym smalcu pieczoną — radził młody.

— Winszuję dobrego apetytu — tę pieczeń będziesz musiał codzień zjadać — rzechotał stary bo bez tych czterdziestu tysięcy rubli rady sobie nie dasz — a wiesz aż nadto dobrze, czem to pachnie, jeżeli ich nie zdobędziesz, a zdobędziesz je z pewnością, jeżeli pani Tańska zostanie twoją kochanką — a naocznie mogłeś się dziś przekonać, że to bardzo bogata osoba.

W Bieleckim rozpanoszyło się uczucie niezmiernie przykrego i irytującego przygnębienia, przykrzejszego nawet od tego, jakie raz po raz uczuwał, gdy Łusię wiódł na stracenie.

Tylko tam był żelazny mus...

— A to teraz? co? — zapytał stary.

Młody milczał, bo nie wiedział, co odpowiedzieć? Ten ostatni argument tak go zaszachował, że tylko jeszcze więcej posmutniał i boleśniej jeszcze serce mu się skurczyło.

Czemu ja nieszczęsny człowiek musiałem zajrzeć do tego świętego przybytku, do którego mi wstęp był wzbroniony? pomyślał w ciężkiej rozterce.

Truchlał na myśl, jaką wstrętną i ohydną komedyę będzie musiał może jeszcze przez cały tydzień, lub dłużej odgrywać, a zadrżał z przerażenia, że jasnowidząca Nina zdradę jego przeczuje, wszystkie kłamstwa odgadnie — a Nina jest jasnowidząca i umie czytać jego myśli — Nina, przeczulonym swoim instynktem miłości, o wszystkiem będzie wiedziała, choćby Bóg wie, jak starannie przed nią chciał swoją zdradę ukryć!

A wtedy koniec, wtedy Ninę utraci!

Zdjął go nieopisany lęk, przystanął i otarł zimny pot z czoła.

— Ależ przecie Nina zrozumie — próbował tłómaczyć stary — że nie mogłeś inaczej.

— Nie bredź — przerwał młody niecierpliwie — Nina powie: byłabym była pracowała, jak ostatnia wyrobnica, mogłabym nawet w biedzie i niedostatku żyć, a mimo tego byłabym szczęśliwa — ale tak: wszystko między nami się skończyło.

Tak powie Nina, a już żadną siłą, żadnem tłomaczeniem, żadnem błaganiem Niny nie odzyskam.

Przez duszę jego przebiegła wizya Niny, gdyby świetlisty wicher, który jej ciemną toń od samego dna wzburzył.

Im więcej się do domu zbliżał, tem dotkliwiej palił go wstyd, dokuczał mu niesmak i obrzydzenie.

Szedł coraz wolniej, bo nie wiedział, czy będzie mógł swoje spojrzenie tak opanować, by się już odrazu przed Niną niemi nie zdradzić.

Przed bramą przystanął i znowu się zastanowił i zadrżał:

A może ubranie moje przesiąkło temi silnemi perfumami, któremi pani Tańska zdaleka cuchnie?

Uspokój się, mitygował stary, to już dawno deszcz spłukał.

I jeszcze nie miał odwagi wejść na górę.

Tam Nina czeka widział światło w oknie — czeka w ciężkim niepokoju, bo nie wie, co się

ze mną dzieje — przecież zawsze przed siódmą wieczorem przychodziłem do domu...

Jeszcze raz przeszedł się po ulicy, ale tak był już znużony, że ledwie nogami powłóczył.

Wreszcie zadzwonił i wszedł na górę.

Na szezlągu siedziała Nina.

Bielecki drgnął.

Patrzyła przed się, jakby nic nie widziała, źrenice jej oczu były nienaturalnie rozlane — twarz jakby nagle wychudła, a usta ściśnięte, jakby w jakimś zakamieniałym, nie złym, ale twardym uporze. Przeraził się wyrazem jej twarzy: coś, czego jeszcze nie znał, tajemnicze »coś«, groźne, a równocześnie fatalne — to »coś« zdawało się mienić w jej twarzy tysiącem skrzyżowanych, dziwnie poplątanych linii, tych samych, które widział w drobnej dłoni jej ręki, gdy jej chciał raz, nawpół żartem, przyszłe jej losy wywróżyć, a dobrze pamiętał, jak się tych hieroglifów zląkł, które w misternie poplątanej sieci, jakąś bolesną tragedyę w swej uwięzi trzymały.

— Nino! co się stało? — Wyraźnie posłyszał w swym głosie nieśmiałość i wahanie.

Ona już pewnie o wszystkiem wie: aż mu się w oczach zaćmiło.

Siadł przy niej i chwycił jej rękę.

Nagłym ruchem wyrwała mu rękę, podeszła ku oknu i przycisnęła czoło do szyby.

Podszedł ku niej w ciężkim niepokoju.

— Zaklinam cię na wszystko! powiedz, co się stało?

Nina milczała, a wyraz wokół jej ust, stawał się coraz zaciętszy.

Bielecki był tak zaniepokojony, że w tej męce lęku utopił i wstyd i niesmak i wyrzuty sumienia, odezwał się w nim stary, odważny gracz, który, jeżeli gra, to »va banque« — nie znał piekielniejszego uczucia nad niepewność, a lęk przed tym uczuciem kładł koniec jego odwadze.

— Zdaje się, że na moje pytania, jakaś odpowiedź mi się należy — powiedział to niecierpliwie.

Ale Nina zdawała się nie słyszeć tego, co on mówi, ani go widzieć.

Z natężoną uwagą wpatrywała się w sylwetki przesuwających się po ulicy prostytutek — w to zaciężne wojsko płatnej rozkoszy, w którego szeregi ją — osamotnioną, zaniedbywaną, osieroconą, jakaś litościwa rajfurka chciała zaciągnąć.

Serce jej się skurczyło, a coraz większa gorycz sączyła swój jad w jej duszę.

Ale cóż na to poradzić, jeżeli biedny Bielecki musi od rana do późnej nocy wysiadywać w redakcyi, latać po premierach?! ha, ha, ha — śmiała się złym, nieznanym jej do-

tychczas śmiechem: było to, jak zgrzyt zardzewiałych strun.

Bielecki czekał chwilę bezradny.

— Słuchaj, Nino — rzekł po chwili — od pierwszego momentu oparliśmy nasz stosunek na absolutnej i bezwzględnej szczerości — młody Bielecki zawstydził się bezczelności starego — szczerość, choćby mogła być najprzykrzejszą, miała być podstawą naszej miłości — ty pierwsza ten układ łamiesz.

Posłyszał krótki, świszczący śmiech Niny, który go więcej przeraził, aniżeli jej milczenie.

O wszystkiem wie! Gdyby oślepiająca błyskawica przeleciała ta myśl przez jego mózg, a zimne krople potu wystąpiły mu na czoło.

Teraz już postanowił iść na oślep.

— Ja chcę i mam prawo wiedzieć to, czembym mógł sobie twoje, co najmniej dziwne zachowanie, wytłomaczyć... I nie świadczy to o zbytniej tkliwości, gdy mężczyzna zmęczony, spracowany tak, że ledwie na nogach utrzymać się może, przychodzi do domu, a jego ukochana małżonka zabawia się fochami, że mąż o parę godzin się spóźnił.

Powiedział to ostrym głosem.

Tym razem odwróciła się Nina ku niemu i parsknęła mu takim pogardliwym śmiechem w twarz, że aż zadrżał.

Wie wszystko! pomyślał rozpacznie.

To jedno tylko wiedział, że dopóki jej czemś nie podrażni, żadnej odpowiedzi nie otrzyma.

— Zachowanie twoje mogłoby przynieść zaszczyt jakiejś rozkapryszonej pensyonarce, ale nie mojej żonie, która miała i musi być mi towarzyszem!

Rozśmiała się na cały głos chrypłym śmiechem, w którym zgrzytami warczała chora męka przemęczonego, goryczą zatrutego serca.

— Ja towarzyszem twoim mam być?! Ha, ha, ha — nie starczy ci Regina, która teraz tronuje w redakcyi i na dobre się tam rozpanoszyła? Potoś ją tu w dom wprowadził, by pod osłoną przyjaznych stosunków módz jej tryumfalny wjazd do »Romowe« zgotować?

Śmiała się pogardliwie — niedostępna.

Bielecki odetchnął.

— Nino, mówmy poważnie. Możesz mi rzucić w twarz wszelakie zarzuty, jakie tylko przeciwko mnie masz, tylko mów, bo nie znam straszniejszej męczarni nad twoje milczenie.

Bielecki nie kłamał: męka, jaką przeżył podczas tej całej drogi do Niny, postarzała go o parę lat.

Zdołał pochwycić jej przelotne spojrzenie i począł grać na najdelikatniejszych strunach jej duszy.

— Twoja dusza zbyt przeczulona, zbyt czujna, by cię mogła, choćby na chwilę, w błąd wprowadzić — twoja dusza jest jasnowidząca: czasem wprost z lękiem i przerażeniem widzę, że ty moje najskrytsze myśli czytasz, więc musisz aż nadto dobrze wiedzieć, jak cię kocham — wszelkie zarzuty, które mi stawić możesz, nie mogą dotyczyć tej osi naszego życia: mojej miłości ku tobie — więc dlaczego tak trudno powiedzieć mi, co ci jest? dlaczego mnie odpychasz? dlaczego z taką pogardą się na wszystko, co ci mówię, śmiejesz?

— Okłamałeś mnie! Kłamstwem mi serce zatrułeś, bo kłamstwo twoje jest najgorszą trucizną dla mnie.

Powiedziała to twardo, ale już zbolałym głosem.

— Ja cię okłamałem? Bielecki uczuł grunt pod nogami — przynajmniej się teraz sprawa wyświetli.

— Mówiłeś, że idziesz do redakcyi: tam cię przez cały dzień nie było — tam tylko wszechwładnie panuje panna Regina, która cię bardzo poufale Heniem nazywa · mówiłeś, że musisz być na dzisiejszej premierze w teatrze, a ciebie tam od miesiąca nikt nie widział.

— Jakto? to ty mnie śledzisz?

Bielecki chciał zyskać przewagę, ale odrazu ją utracił.

— Ja cię śledzę?! ha, ha, ha — ja uciekałam — słowa Niny padały na jego duszę, gdyby grad kamieni — uciekałam przed rajfurką, która mnie, osamotnioną, książętom i hrabiczom stręczyć chciała!

Bielecki zatrząsł się, oczy jego niespokojnie latać poczęły, a ręce biegały automatycznie po stole, o który był oparty.

— Biegłam, jak oszalała przed się i wpadłam do redakcyi, by się przy tobie uspokoić — tam mnie panna Regina poczęła uspokajać bezczelnemi impertynencyami, więc kazałam się zawieść do teatru, boś mówił, że tam cię zawsze znaleść można... o! widzisz: takie to moje śledzenie ciebie!

Ten obuch zmiażdżył, zgruchotał Bieleckiego.

Stał chwilę, jakby dobrze nie rozumiał — a nagle twarz jego całkiem się zmieniła. Oczy jego nabrały dzikiego, krwiożerczego wyrazu obejrzał się, jakby coś, lub kogoś w proch chciał roztrzaskać, w oczach jego paliła się taka wściekła chęć pomsty, taka zajadłość, że Nina o krok się cofnęła: takim go nigdy nie widziała.

Otworzył usta, dławił się, a wreszcie wydobył ze siebie:

— Kto śmiał? kto — kto się odważył?!

Ujrzał widocznie przerażenie Niny — ochłonął — uczuł w sobie nakazujący, kategoryczny odruch, by paść jej do nóg, stopy jej całować — ale w tej chwili zrozumiał, że musiałby równocześnie całą prawdę wyznać: kłamstwem Niny kalać nie mógł.

Twarz jego wykrzywiła się ciężką, wewnętrzną męką — wyciągnął ku niej ręce — ręce tak wymowne, że tego, co mówiły, za czem krzyczały, żadna mowa oddać nie byłaby w stanie.

— Nino! — szepnął, jakby mu tchu nie stało i szedł zwolna ku niej.

Nina się cofała ku framudze okna w nieświadomym lęku: patrzyła na jego twarz, stojącą w ogniu oślepiających błyskawic, jak czarna toń jeziorna w parnej nocy przed burzą.

— Nino! — powtórzył i przystanął i ona przystanęła.

I tak patrzyli sobie długą chwilę w oczy.

Nagle uczuł wstyd tak przykry i bolesny, jakby się był napił odwaru gryzącego piołunu, cofnął się, opadł na szezląg, wsparł ciężką głowę w obydwie ręce i wlepił oczy w ziemię. Nina patrzyła z szeroko rozwartemi oczyma na jego mękę — wiedziała, że się coś strasznego w nim dokonuje, a w duszy jej

poczęła się gęsta, czarna mgła skraplać gorącemi łzami, które palą, jak krople ołowianej cieczy i już w niej na zawsze niezatarty ślad pozostawiają.

Milczeli długo.

Milczenie to było tak bolesne, że Nina wprost fizycznego bólu doznawała. I z coraz większem wytężeniem przypatrywała się Bieleckiemu. Widziała go, jak w narkotycznym śnie: w odległej dali, jak przez mgłę ciężkiego tragizmu, w czarnej chmurze obłędnych przeznaczeń, gnanym przez jakieś furye niszczenia, by płodził zbrodnie, by tratował dusze ludzkie, ludzkie życie tak doszczętnie, aby tam, gdzie przeleci jego wściekły ogier, który go ponosi, żadna już trawa porość nie mogła.

Gęsta mgła w jej duszy coraz cięższemi kroplami skraplać się jęła: uczuła w sobie, jak bolesny, palący deszcz na jej serce spada, a po tych paciorkach łez, modliło się żarliwie jej serce za wyzwoleniem z piekła zbrodni i kłamstwa, tego, którego jej dusza ukochała.

Bielecki dźwignął się wreszcie ciężko z szezłągu.

Wydał się jej wyższym, twarz jego była trupio-blada, a oczy jarzyły się jakby w gorączce.

Podszedł ku niej i w milczeniu całował jej ręce; nie cofnęła ich tym razem.

— Wybacz mi, Nino, żem cię okłamał, ale kłamstwo może być czasem koniecznością. Ja jestem na krawędzi przepaści — nie chciałem ci o tem mówić, bom ci nie chciał bezsennych nocy zgotować — czasami serce moje znękane, wylęknione, wszystko przed tobą wykrzyczeć chciało, ale w tej chwili cichło na myśl, że mojem położeniem zamartwiać się będziesz i nie zaznasz chwili spokoju. Mówiłem ci, że idę do redakcyi, że będę na premierze — okłamałem cię, ale gdybyś wiedziała, co mnie to kłamstwo kosztowało, jak go przez gardło z trudem przecisnąć zdołałem, jak mi je przez usta tylko miłość i troska o ciebie przepchnęła, inaczej byś na to patrzyła.

Cały dzień dzisiejszy latałem za pieniędzmi, bo jeżeli nie znajdę kogoś, kto mi da czterdzieści tysięcy rubli, tom przepadł...

— Czterdzieści tysięcy?! — Nina stała, jak osłupiała.

— Widzisz — mówił Bielecki — w oczach twoich łyska przerażenie — dziwisz się może, żem ci go chciał oszczędzić?!

Posadził ją obok siebie i mówił długo z tak wielką i uroczystą powagą, z taką siłą, która zmuszała, gwałciła do bezwzględnej wiary, tak, że Nina już dłużej w prawdę jego słów wątpić nie mogła, tylko tam jeszcze gdzieś w głębi, w niknącej oddali łkało, kwiliło, chełchało to

ostatnie, gubiące się echo przeżytej męki i dusznej rozterki.

Patrzyła na niego: jak przez sen dolatywał ją jego głos — i znowu zapadła w wpółmajaczenie:

Twarz jego malała, bladła coraz więcej, nikła i pozostały tylko oczy, ogromne, jarzące się oczy.

Nie — to już nie były zwykłe, ludzkie oczy, to dwa płomieniejące ogniska, gdzieś bardzo daleko — i to nie: to dwie latarnie lokomotywy, które z ciemni nocy się nagle wynurzają, przez gęstą mgłę przedzierają.

Dwa ogromne, złowrogie ślepia.

Patrzyła na niego przerażona.

Coraz bliżej, z coraz większym pędem zbliżały się te oczy — ginęły na zakrętach, znowu się ukazywały, siały popłoch i przestrach wokoło, bo kierownik lokomotywy, w której tkwiły, stracił panowanie nad hamulcami.

Opętana lokomotywa w pijanym szale pędzi przed się, miażdży wszystko po drodze, aż wreszcie w upiornej grozie z szyn wyskoczyła — słyszała jej przedśmiertne rzężenie.

Coś z wizyjnej grozy proroczej zbiegło ją całą zimnym dreszczem — nagłym ruchem schwyciła go za rękę.

Spojrzał na nią i sam się przeraził.

Było coś nad nimi i wokół nich — coś nieu-

chwytnego. niepojętego, ale bezwiednie czuli, jak pierścienie jakiejś groźnej, złej mocy wokół nich się splatają i coraz silniej i szybciej zacieśniają.

Bielecki chciał się uśmiechnąć, by tym uśmiechem ukryć przed Niną swój lęk, chciał się uśmiechnąć, by odpędzić złowrogie widma, a może złowieszcze Erynie, ale uśmiech zamarł mu na ustach.

Bezwiednie przytulili się do siebie, gdyby para wystraszonego ptactwa przed zaćmieniem słońca; nie widzieli, kiedy ich ramiona się splotły i jeszcze silniej do siebie się garnęli — bo i on i ona odczuli tę samą grozę, że coś przemocą ich od siebie odrywa, brutalną przemocą na dwa, na miliony mil od siebie odległe, bieguny odrzuca.

Więc silniej jeszcze ścieśniły się obręcze ich ramion, a w tym splocie tkwił beznadziejny, chory ból i pragnienie, wyzwolenia się z pod władzy złej mocy, szamotanie się z podstępnemi, w zasadzkach czyhającymi losami i szukanie sobie kryjówki, w którejby się przed ścigającą ich Furyą Przeznaczenia ukryć mogli.

Nina wysunęła się zwolna i cicho z jego objęcia.

Prawie z żalem spojrzał na nią, bo przez tę chwilę, gdy leżał w splocie jej ramion, cud

ukojenie, a w duszy jego uspakajać się jęło, ale nie śmiał jej myśli przerywać, bo czuł, że w jej duszy dokonują się dziwne tajemnice.

Ujrzał ją, jak z oczyma w nieskończoną przestrzeń wlepionemi, w coś się natężenie wsłuchuje.

— Nino! szepnął, jakby się lękał, przerwać jej snu na jawie, ale nic mu nie odpowiedziała, tylko coraz natarczywiej dusza jej pukała do bramy, poza którą spoczywała ciężka zagadka jej miłości.

Z przed oczu jej duszy począł zwolna znikać on cielesny Bielecki, który — może być — że teraz przy niej siedział, a może nawet jej rękę trzymał, jęła zwolna zapominać o tym, który chełpił się — nie, nie chełpił, ale z butną hardością spowiadał się przed nią z swoich wszystkich zbrodni, który — z dumą twierdził, że dla niej sto razy gorsze zdołałby popełnić — ale poza tą śmieszną fanfaronadą życiowej przypadkowości, ujrzała całkiem coś innego — Bieleckiego poza Bieleckim — Bieleckiego, niejako w pozaświatowych wymiarach i w tych czelustnych mrokach — ujrzała go pięknym pięknością strąconych aniołów, dyszącym gorącą pogardą tych, którzy za pychę na potępienie skazani zostali, widziała go hardym dumą tych, którzy wierzą, że idą na szafot, jedno słowo ich starczyłoby, by ich uła-

skawiono, ale na przekór: na pohybel życiu i śmierci... i losom swym... kradną?! zapytała z przerażeniem: mordują?! Dyszała strwożona i spojrzała na niego, ale go nie widziała, czuła tylko, że trzyma jej rękę:

Piorun toże, który sam nie wie, gdzie padnie, wie tylko, że jego celem niszczyć, siać ogień i pożogę?

Pijana lokomotywa bez hamulców, która wszystko po drodze miażdży opętanemi kołami?

Święty wóz hinduski, pod którego, brzytwami najeżone koła, naród się na oślep ciska?

Coraz natarczywiej pukała do bram ciemnej zagadki, bolesnym wysiłkiem jęła w nią bić pięściami — krzyczeć ze wszystkich sił bezgłośnem żądaniem:

Otwórz się!

Przez chwilę ujrzała go i wraz schwyciły się ich oczy.

— Wiem teraz, o czem myślałaś — powiedział Bielecki tajemniczo.

Źrenice jego tak się rozlały, że oczy jego zdawały się być, w powieki oprawnymi dyamentami — twarz jego pokryła taka bladość, jakby już dawno krew w jego żyłach krążyć przestała: biła od niej łuna jakiegoś natchnienia, siły, która z najgłębszych źródeł drugiej duszy wyławia, nieświadome jej samej nawet

myśli. Mocą swej miłości i lęku, by jej nie utracić, wprawił się Bielecki w stan jasnowidzenia: terazby z zamkniętemi oczyma ludzi rozpoznawał, z dotknięcia ich rąk, ich myśli odgadywał.

Ścisnęła silnie jego rękę:

— Henryku!

— Myślisz, czemuś mnie pokochać musiała i dlaczego ja ciebie kocham?

Patrzyła na niego z przerażeniem.

— Więc ci powiem: ty i ja oderwaliśmy się od jednej i tej samej gwiazdy — tyś podążyła w stronę światła, ja w mroki ciemności — nas szarpie ku sobie bolesna, nieprzebrana tęsknota — tysiące obcych sił nie pozwala nam się znowu w jedno połączyć — całkiem się z sobą stopić, choć już jesteśmy blisko, bardzo blisko siebie — gdzieś pewno jeszcze na moich drogach ku tobie, będę musiał jakieś inne ciała niebieskie w pył rozbić — gdzieś ty jeszcze w jakiejś mgławicy zatoniesz — i na chwilę wieczności się zagubisz — ale to jedno wiem: my się od nowa odnajdziemy, wiecznie tą samą ciężką, bolesną, nieprzebraną tęsknotą ku sobie gnani.

Twarz jego popielała, stygła, martwiała... To były te rzadkie chwile, w których Bielecki wyzwalał się sam ze siebie, a których się tak lękał, bo mu ciężki ból fizyczny sprawiały.

Nina do głębi wstrząśnięta, drżała. Bezwiednie tylko ujęła w obie dłonie jego głowę i nie słowami — nie słyszała, by coś mówiła, ale tą mową rąk, oddechem kochających dłoni — uspakajać go jęła.

Zwolna przychodził do siebie, przytomniał, a w tej męczarni kosmicznej już tęsknoty odnalazły się ich dusze — ale na chwilę tylko, bo nad nimi roztoczyły czarne, złowrogie skrzydła upiorne, złe moce:

Niedługo, a znowu się zgubicie!

XII.

Nazajutrz już od samego rana siedział Bielecki w redakcyi »Romowe«.

Kazał sobie przynieść książki rachunkowe i zasiadł razem z buchalterem do ciężkiej pracy.

Jeszcze pocieszał się, że stan finansowy »Romowe« nie jest tak rozpaczliwy: może uda mu się wydać jeszcze parę numerów — koniec kwartału już niedaleko — pościąga zaległości, nowi prenumeratorzy nadpłyną, tem więcej, że miał w swojej tece cięte i senzacyjne artykuły. Rozpoczął energiczną kampanię przeciw haniebnej gospodarce w teatrze, niedołężności dyrekcyi, niemożliwemu wystawianiu dramatu, braku odrobiny talentu reżyseryjnego: jednem słowem miażdżył cały obecny teatr i to z taką fachową znajomością rzeczy, z takiem gruntownem znawstwem zagranicznych teatrów, a przytem z takiemi pozytywnemi i przekonywującemi radami reformy, że nawet

wątpić nie potrzebował, iż uda mu się obecną dyrekcyę zwalić, a on sam wszechwładnie nad teatrem zapanuje. A wtedy stanie się potęgą.

Z niesłychaną werwą, nadzwyczajną pomysłowością i istotnie twórczą reżyseryjną zdolnością analizował ostatnio w teatrze grany dramat Ibsena, a który w tej inscenizacyi, w jakiej go wystawiono, wypadł fatalnie.

Więc krok za krokiem wykazywał, jak trzeba to było zrobić: wykreślił dla dramatu szeroką perspektywę, rzucił nowe a nieoczekiwane światło — wyłowił z całości to, co autor zaledwie podkreślił, a w czem tkwiło źródło nieprzeczuwanych blasków, w których się wszelkie ciemnie rozjaśniały.

Kierował każdym ruchem aktora, uczył go mówić, umiał wyczuć w duszy każdego poszczególnego aktora struny w jego talencie, których tenże może nigdy nie byłby odkrył, a które teraz pod Bieleckiego mistrzowską ręką, rozdźwiękły pełnymi akordami wielkiej i tragicznej grozy.

Sam kulisy uczył malować wykazywał, jak małymi środkami można wywołać tysiąc razy większe wrażenie, aniżeli przeładowaniem sceny — rozpisał się szeroko o łączności akcyi z mise-en-scène, sam był i reżyserem i inspicyentem — aktora zepchnął na drugi plan, a sam stał się jako reżyser genialny: duszą teatru.

Na tej rozprawie, napisanej istotnie twórczo i z wielkim rozmachem, a której początek, drukowany w ostatnim numerze, wywarł wprost senzacyjne wrażenie, pokładał Bielecki ogromne nadzieje i pewność zwycięstwa.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa władza miejska powoła go na dyrektora, a dotychczasowy dyrektor, p. Turło, czuł to niewątpliwie, jeżeli chciał mu ręce związać i gorąco zapraszał go na dramaturga.

O nie! panie Turło, byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi, ale ja się muszę ratować... Tyś zrobił majątek na teatrze — teraz: Ote-toi que je m'y mette!

Inaczej w życiu człowiek sobie nie da rady.

I w dalszym ciągu sprawdzał w ciężkiej pracy razem z buchalterem smutnawy bilans finansowy pisma.

Plusy były przerażająco małe, a minusy gromadziły się w kwadracie, w miarę dalszych obliczeń i sprawdzań.

— Mnie musiano haniebnie okradać! — powiedział wreszcie Bielecki zrozpaczony.

— Ja nie! — powiedział mały człeczek o smutnym i strapionym wyrazie twarzy. — Do ksiąg wciągałem tylko te pozycye, które mi administrator wciągać kazał.

— Więc Koczor?!

— Brać mu za złe nie można, bo utrzy-

manie całego haremu dużo kosztuje — powiedział buchalter w głębokiem przeświadczeniu przytem pan Hedera — podkreślił to...

— Oho! Pan chce przez to powiedzieć, że nie mnie okradano, tylko Hederę? — przerwał Bielecki szorstko.

— Ja nic nie chciałem powiedzieć, wiem tylko, że pan Hedera dał panu Koczorowi »carte blanche« w sprawach administracyjnych... By mieć jak najrychlej pretekst do wycofania swego kapitału i deskę nad przepaścią z pod moich nóg usunąć, domyślił do końca Bielecki.

— Więc cóż teraz? — zapytał.

— A nic! musimy interes zlikwidować — nie ma wyjścia; choćby nam nawet dwustu prenumeratorów nadpłynęło, to nie będziemy w stanie kosztów dwóch numerów opłacić, nie mówiąc już o pensyach dla personalu... Wobec tego muszę podać się do dymisyi, bym miał czas, innego miejsca sobie poszukać...

— Pan ten miesiąc jeszcze pozostanie — powiedział Bielecki stanowczo — jeżeli pismo będzie musiało likwidować, to z własnej kieszeni pana opłacę.

Buchalter spojrzał na niego chwilę nieufnie — ale tylko przez sekundę. Ujrzał w twarzy Bieleckiego tyle stanowczości i taką pewność tego, co mówi, że odrazu się zgodził.

— Ja znajdę wyjście – powiedział, — a pan jest w całym składzie redakcyjno-administracyjnym jedynym uczciwym człowiekiem.

Chwilę po wyjściu buchaltera, jeszcze w niezamkniętych za nim drzwiach, ukazała się panna Regina.

Zawrzał gniewem, ale opanował się; przybrał odświętnie uprzejmą minę i włożył ręce do kieszeni.

— A! a! panna Regina! Cóż tak rychło panią tu sprowadza? By zasiąść do stołu redakcyjnego? Już przezemnie zajęty!

Regina przystanęła — nie wiedziała. czy to żarty, czy kpiny?

— Co to ma znaczyć? zapytała.

— Nic więcej nad to, że pani tu niepotrzebna.

Regina rozśmiała się złośliwie swojemi obrzydliwemi ustami od ucha do ucha.

— Aha! rozumiem — twoja milutka paniusia poskarżyła się tobie, że się jej parę słów prawdy powiedziało. Jeżeli ty jesteś na tyle tchórzem, że boisz się jej ukazać, w jakiem świetle ją ludzie obecnie widzą i jak na nią patrzą — to ktoś inny musi to zrobić, bo inaczej będzie chodzić omackiem.

— A gdyby się tak wynieść - syknął Bielecki — i podszedł ku niej — ale to zaraz — czemprędzej!

Patrzcie, patrzcie! - zaśmiała się zjadliwie Regina, a złe jej oczy stanęły zezem — co się to zrobiło z tym wesołym, miłym Heniem! Ktoby to był pomyślał, by jedno słówko małej Ninki starczyło, aby Henio wyrzucał za drzwi dawną i wierną przyjaciółkę...

W drzwiach przystanęła.

— Jeszcze gorzko tego pożałujesz — rzuciła przy odejściu i trzasnęła drzwiami.

Teraz mamy jednego wroga więcej, pomyślał Bielecki i uśmiechnął się pogardliwie.

I jak gdyby nic nie zaszło, obsunął się głęboko w fotel i jął myśleć nad sposobami urzeczywistnienia swoich gorączkowych snów o potędze — nie tej na papierze, lub w lulkowym dymie zaklętej, ale tej istotnej, która ludzi na kolana rzuca i zgina ich karki w jarzmo niewolniczej pokory.

Jeżeli otrzymasz dyrekcyę teatru, a w to już nie wątpił, to wtedy i »Romowe« uratowane.

Jego rozprawa była tak ogromnej doniosłości, tak musiała oczy wszystkich na niego zwrócić, że on jedyny mógł tylko wchodzić w rachubę, on jedyny był tym oswobodzicielem teatru w tej strasznej miernocie, która się za czasów Turły rozpanoszyła i on jeden wskazał drogę nietylko sanacyi, ale taką, która

rodzimą sztukę do najwyższego rozkwitu doprowadzićby mogła i doprowadzić musi.

Ba! gdyby odezwał się tylko z niszczącą krytyką, prostą i tanią negacyą, ale jasność programu, łatwość jego przeprowadzenia, to »samo przez się się rozumie«, gdy mu tylko teatr powierzony zostanie, wysunęłoby go na pierwszy plan bez wszelkiej konkurencyi.

Nagle odbył się w jego myślach ogromny przeskok: Gwont! Ale ten przeskok Bieleckiego, który sobie samemu nigdy nie kłamał, wcale nie zdziwił.

Zdawał sobie dokładnie sprawę, że cały jego program przez Gwonta stworzonym został, a on go tylko ujął w formę, zrealizował: uzewnętrznił głębokie i oryginalne pomysły Gwonta.

Gwont był autorem, a on tylko aktorem, wykonawcą Gwonta myśli — czuł, że mu się twarz wykrzywia bolesnym grymasem — zaśmiał się szyderczo — ale na pocieszenie możesz sobie powiedzieć, że być wielkim aktorem-wykonawcą też nie łatwo.

No więc też: Rhodos przeskoczone!

Dlaczego Hedera go ostrzegał przed Gwontem? Hi, hi, Hedera jest prostym, ordynarnym bydlakiem — Hedera przeczuł, przewąchał, czem jest dla mnie Gwont — no i razem z kapitałem chciał mi i Gwonta wycofać...

Zaśmiał się z tego prostackiego manewru

Hedery, a jednak uczuł, że w głębi nurtowało jakieś podejrzenie, którego żadną miarą pozbyć się nie mógł.

Czyżby Gwont?...

Nie! niemożliwe! ale Bielecki nie wiedział już, co mogłoby być niemożliwem prócz tej jedynej niemożliwości, że w żaden sposób nie znajdzie pieniędzy, by módz podtrzymać »Romowe« i stawić kaucyę potrzebną, by objąć teatr.

Z niebieskawym dymem jego papierosa ulatywały jego sny o potędze, a rozwiały się doszczętnie, gdy służący redakcyjny zameldował mecenasa p. Trajdowskiego.

Aha! to ten sam, pomyślał Bielecki, któremu św. p. Kotowicz — Bóg niech świeci nad jego duszą — jednej chwili spokoju nie dawał.

— Prosić!

Z wytwornymi ruchami, godnymi »comis voyageura« pierwszorzędnej firmy, powitał mecenas Bieleckiego.

— Mistrz sobie przypomina?

— Ale któżby mógł zapomnieć pańskie wieczne zatargi z Kotowiczem? proszę, niech pan siada.

Jakaś zabawna myśl przeleciała przez mózg Bieleckiego:

Można spróbować — kto wie?

Mecenas chwilę milczał — a potem wyba-

łuszył oczy na Bieleckiego, jakby go chciał nastraszyć.

— Trudno mi zrzucić ciężar z serca, który mnie już od paru miesięcy przygniata, a w ostatnim czasie nawet mi spać nie daje, ale trudno: postanowiłem i już się nie cofam.

To znaczy: »mam, ale nie dam!« pomyślał Bielecki i przypomniał mu się wieczór, gdy rozradowaną, tryumfującą Łusię wprowadził po konkursowych zwycięstwach Górskiego do kawiarni Schütta.

Umilkli i czekali, kto pierwszy rozmowę nawiąże.

— Jak panu wiadomo — powiedział wreszcie mecenas — przez całe pół roku dawałem ogłoszenia moich fabryk automobilów i aeroplanów do pańskiego, przezemnie wysoce cenionego pisma, i za całostronnicowe ogłoszenie płaciłem kwartalnie trzysta rubli.

— Tak! to się zgadza — w naszym budżecie odgrywało to nawet pewną rolę.

— Otóż... jakkolwiek mi bardzo przykro, to panu powiedzieć, muszę wyznać, iż postanowiłem, tę subwencyę poniekąd, którą obywatelskie poczucie obowiązku kazało mi Jego pismu dawać, teraz, po ustąpieniu pana Hedery, z »Romowe« wycofać.

— A to dlaczego?

— Przykro mi powiedzieć, iż wiem z kom-

petentnego źródła, że »Romowe« lada chwila ruina grozi, a pan będzie musiał pismo zlikwidować.

— W takim razie pańskie kompetentne źródło jest doszczętnie zawiścią, a przedewszystkiem konkurencyjną zazdrością zatrute. Pismo jest doskonale ugruntowane, bytem jego nie zdołał nawet pan Hedera wycofaniem swego kapitału zachwiać, bo, jak panu wiadomo, rozporządzam własnym, odziedziczonym po babce.

Bielecki wpadł w gorączkowy ferwor.

— Przeciwnie, pismo prosperuje doskonale, na gwałt domaga się rozszerzenia, dołączenia osobnego i to obszernego działu muzycznego, teatralnego, a jeżeli na razie tego swojego planu urzeczywistnić nie może, to jedynie dlatego, że gotówka jego jest chwilowo uwięziona w hipotekach, które już na pierwszego stycznia Hedera wypowiedział!

Bielecki w dyskretnych barwach malował przed oczyma mecenasa obraz niezmiernych korzyści finansowych, jakieby mu »Romowe« przyniosło, gdyby zechciał wstąpić z nim razem do spółki, wywoływał przed nim ponętną wizyę rozgłosu w całem społeczeństwie, gdy się to dowie, jakie on, mecenas, zasługi ponosi w rozwoju rodzimego piśmiennictwa, a że o tem bardzo szybko się dowie, to już

leży w naturze rzeczy, bo na każdym numerze będzie jego nazwisko figurować, a przytem nie zabraknie wzmianek, kto w głównej mierze przyczynił się do wzrostu i rozkwitu pisma i przebąkiwał o tem, że teraz, kiedy kontrakt pana Turły się kończy, on prawdopodobnie teatr obejmie, bo ma wszystkie po temu dane — otworzył daleką perspektywę, a raczej bardzo bliską, w której się łatwo nadzwyczajne rzeczy dokonać dadzą: w »Romowe« zespoli się całe życie umysłowe Polski, a całokształt tego życia będzie można cudzoziemcom pokazać w »Romowe«, wydawanem po francusku w Paryżu — ale napróżno!

Bielecki mistrzowską ręką, w gorączkowem podnieceniu grał na wszystkich strunach duszy mecenasa: chciwości, pragnienia zysku, chełpliwości, żądzy rozgłosu — ale mecenas był niewzruszony. Wszystko napróżno!

Bielecki czuł, że mecenas mu nie dowierza, że sam się upokarza dalszą z nim rozmową, ale już było mu to wszystko jedno — mówił dalej z ogromną swadą, która go nawet samego zdumiewała — tylko teraz z większą rozwagą, tak od niechcenia, jakby mu na tem nic nie zależało, bo w każdej chwili może wspólnika znaleźć, chodzi mu jedynie o to, by stosunki wspólnej redakcyi mogły się przyjaźnie ukształtować, a przedewszystkiem w zgo-

dnem porozumieniu, co przy wysokiej inteligencyi i wykształceniu mecenasa samo przez się się rozumie.

— Zresztą — wtrącił — mecenas, mógłby objąć dział artystyczny, bo jak jemu — Bieleckiemu wiadomo — posiada piękną galeryę obrazów, a to jest publiczną tajemnicą, że głos jego w komisyi artystycznej jest decydującym.

— Ten moralny faktor — mówił Bielecki, całkiem już opanowany — że pan będzie mógł na jaw wydobyć ukryte, świeże, a mocne talenty młodych malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, takowe do nowego życia wskrzesić w »Romowe« — rzeczy niesłusznie zapomniane, albo też niedocenione, jak np. rysunki Norwida — a kto wie jakie arcydzieła nieocenionej wprost wartości Orłowskiego, dajmy na to, gnije w ukryciu? Otóż ten faktor chyba przy pańskiem poczuciu obowiązku obywatelskiego więcej znaczy, aniżeli nowy wkład w pańskie tak czy tak, z piorunującą szybkością rozwijające się fabryki.

— Obowiązek obywatelski — obowiązkiem — obowiązki wobec rodzimego piśmiennictwa i sztuki — również obowiązkiem — rozgłos, sława, mecenasostwo, poważanie ludzkie — też nie przeczę, że jest obowiązkiem wobec siebie i osobistej godności — ale swoją drogą:

— Interes — interesem! — wybuchnął Bielecki.

— Trafił pan w samo sedno... Trzebaby książki przejrzeć, dokładnie w bilansie się rozglądnąć, a tam rozstrzyga jedynie debet lub credit.

Pofałszuję książki, dziś je jeszcze wszystkie sfałszuję, bylebyś, psiakrew, dał pieniądze! pomyślał z wściekłością Bielecki.

— Książki rachunkowe w każdej chwili stoją do dyspozycyi pańskiej.

— Bezwarunkowo, o tem nie wątpię — ale tu wchodzi jeden i to najważniejszy czynnik w grę — mecenas mówił to z pewnem zakłopotanem wahaniem.

— Jaki?

— Widzi pan, to jest rzecz nieuchwytna, to cyframi wyrazić się nie da, a ja tylko w cyfry wierzę — nie przeczę, że i rozgłos i sława mnie nęcą, ale tylko, o ile cyframi te kategorye wyrazić się dadzą.

— Niech się pan jaśniej wyraża — przerwał Bielecki zniecierpliwiony: drżał wewnętrznie coraz silniej.

— Ma pan słuszność — w interesach powinna zapanować jasność i bezwzględna szczerość. Więc, aczkolwiek mi niesłychanie trudno panu całą prawdę powiedzieć, to jednak muszę wyjawić, iż powaga pańskiego nazwiska jest fatalnie podkopaną.

Mecenas wstał z smutną i stroskaną po-

wagą człowieka, który głęboko boleje nad smutnym losem swego bliźniego.

— I to tak fatalnie, że zarówno i pan będzie potrzebował dużo czasu, by je znowu w dawniejszym blasku ukazać, jak i ja, zaczem się rozmyślę, czy do spółki przystąpić, czy też nie.

Bielecki wstał i uśmiechnął się pogardliwie, ale czuł, że już ostatnich sił zużywa, by nie wybuchnąć:

— A więc żegnam pana. Ani pan na utrwalenie mojej podkopanej pozycyi, ani też ja na pańskie kapitały czekać nie potrzebuję.

Podszedł ku niemu, jakby go wyprowadzić chciał.

— A jednak radzę panu w jego własnym interesie, by zechciał przeczytać dzisiejszy artykuł w nowym numerze: »Ex oriente lux!«

— Aha! już wiem — przyrzekam panu, że go nie omieszkam przeczytać.

Bielecki tak delikatnie nacierał na mecenasa, że ten dopiero w drzwiach miał czas powiedzieć:

— A więc anons mój w »Romowe« wycofuję.

— Wiem już, wiem.

Po wyjściu mecenasa zamknął się Bielecki na klucz, padł na fotel, a z jego piersi wydobył się głuchy jęk.

Uczucie sromotnego upokorzenia jęło się zmagać w wściekłych zapasach z jego miłością.

Raz po raz zwyciężało, to znowu się poddawać musiało: obydwa te uczucia nacierały na siebie, skłębiły się w żelaznych uściskach, rzucały na siebie w zajadłem rozjuszeniu.

Przestał myśleć; był niejako wichrem walki, jaka się w nim odbywała.

Widzisz, widzisz! gnębił miłość upokarzający wstyd: do czegoś go doprowadziła?! przed błaznem, któremu taki Kotowicz w pysk pluł, on się dziś upokarzać musiał — całą swoją rozpaczną siłę zużył, by w końcu usłyszeć, że powaga jego nazwiska jest fatalnie podkopana — możeby się jeszcze więcej był ukorzył, możeby jeszcze godzinami całemi na mecenasa nacierał, możeby w końcu nietylko artystyczne, ale i literackie kierownictwo mu powierzył, byleby tylko mógł zdobyć pieniądze! Ha, ha, ha! on, który potrzebowałby tylko jeden palec pani Tańskiej podać: on się dziś kajał przed mecenasem!

Miłość pragnęła też argumentować, ale dwugłowa hydra wstydu i upokorzenia nie pozwalała jej przyjść do głosu:

Co za haniebny egoizm, kazać się człowiekowi w ten sposób męczyć! On, który dawniej był Cezarem, co żelazną, zwycięską stopą kro-

czył po trupach poprzez święte zbrodnie do jasnego celu, on dziś pozwala się znieważać mecenasom — patrz miłości — patrz! coś z niego zrobiła! Przez ciebie dostał się w matnię, bo jak zbrodniarz pobrzękuje kajdanami, z których go nic nie rozkuje prócz dawniejszej mocy.

Ha, ha! Dusisz się, dławisz? Na pohybel tobie!

Ale w tej chwili dźwignęła się miłość, schwyciła żelaznemi rękoma dwugłową hydrę za kark i jęła dusić.

Silniejszą jestem od ciebie, tryumfowała miłość — czepić się możesz pokornego, przez swego pana bitego psa, ale nie tego, który w mojem imieniu nowy świat w sobie odbudował, wszelkie łańcuchy pozrywał, na których uwięzi tyś go trzymała i do głupich, małych zbrodni zmuszała — któraś kazała mu trząść się z lęku przed nieistniejącym Uherą, paktować z Kotowiczami, palić obrazy wielkiego artystysty — ty nędzna, podła hydro, ty śmiesz urągać mojej świetlistej mocy?! Giń!

Miłość zamierzyła się do śmiertelnego ciosu, gdy nagle plugawej hydrze przybiegł w pomoc rycerz, cały w zbroję okuty, groźny i srogi, ale z sercem tchórzliwem i podstępnem. Pochwycił miłość znienacka, ściągnął ją z dwugłowej hydry i teraz wzmożonemi siłami poczęli ją dławić.

Duś, duś! — krzyczał srogi rycerz lęku i trwogi — inaczej zginie on i przepadnie! ratunku już dla niego nie ma innego. Niech ginie, bo go opętała, tuk mocy z jego kości wyssała, z zwycięskiej drogi go strąciła, tak że już teraz w przepaść leci i na samo dno się stoczy, jeżeli go w sam czas nie powstrzymamy.

Już nic nie widział, słyszał tylko w sobie zaciekłą kłótnię, tryumfalne okrzyki, znowu głuchy rozhowor rozjuszonych zapasów między dwoma mocami.

Coraz zaciętsza walka się w nim odbywała, coraz dziksząfanfarą witały tryumfalne okrzyki zwycięstwo to jednej, to drugiej strony, aż wreszcie przerażony tem, co się w nim działo, zerwał się na równe nogi.

Chwilę trwało, zaczem całkiem oprzytomniał.

Przeraził się swoim stanem.

Czuł dokładnie, że przestał żyć własnem życiem, że żyje życiem dwóch, trzech, dziesięciu ludzi, z których jeden drugiemu jest wrogiem, nienawistnym katem i pogromcą.

I z przerażeniem ujrzał w spoistym granicie swego bytu żyłki obcego kamienia, który mu tę zwartą, twardą bryłę kruszył i rozsadzał: to miłość!

Dla innego mogłaby być królewską mocą

i siłą, któraby światy z posad ruszyć mogła: dla niego gniewem, rozterką i niemocą.

Od kilku minut słyszał pukanie do drzwi, ale teraz dopiero zdecydował się na to, by je otworzyć.

Tak był zatumaniony, że dopiero po chwili rozpoznał Koczora.

— Czego chcesz? — zapytał szorstko.

— No, no — co ci jest? — pytał Koczor zdziwiony — może tu masz gdzie jaką flaszkę, bo całkiem wyglądasz, jakbyś co dopiero otrzeźwiał. Posądzałem cię nawet o jakąś kobietkę, bo drzwi były na klucz zamknięte.

Bielecki wpatrzył się w niego chytrą, podstępną złością.

— Swoją drogą dobrze, żeś przyszedł — mam z tobą małe porachunki.

— Jakie? — pytał Koczor naiwnie.

— Tyś w bezczelny sposób okradał administracyę »Romowe«.

Koczor spojrzał na niego zdumiony.

— Oczywiście! A jakbym mógł inaczej żyć? Jeszcze, gdybym był sam, ale ja jestem poniekąd kosmicznym samcem i moje samiczki miałyby z głodu zdechnąć, dlatego, że jakieś tam »Romowe« w pierze porastać miało? Ha! ha! — śmiał się cynicznie — żeby to jeszcze były twoje pieniądze, ale to były pieniądze naszego nieocenionego dobroczyńcy Hedery, który

»vivre i laisser vivre« pozwala — jakie ty możesz mieć do mnie pretensye?!

Bielecki zrozumiał, że istotnie nie mógł mieć do kogoś, który innego okrada, pretensyi. Całkiem zbyteczne moralne oburzenie.

— Więc czego chcesz?

— Ostrzedz cię chciałem, braciszku: ta twoja pani — ho, ho... warta grzechu, ale niebezpieczna — gdybyś ty ją był wczoraj widział, jak tu wpadła do redakcyi i ciebie szukała — miej się na ostrożności — ale swoją drogą — Koczor cmoknął językiem — powinszować ci takiego nabytku — co za ramiona, co za szyja — a buzia jaka! oho, ho! bycza niewiastka!

Ledwo zdążył to wymówić, Bielecki gruchnął go z całą siłą w piersi, że Koczor wywrócił się jak długi — zerwał się, rzucił z całą wściekłością na Bieleckiego, ale Bielecki — Koczor uczuł jego niezwykłą siłę — schwycił go za szyję, pchnął na drzwi: Koczor odnalazł się dopiero w pokoju administracyjnym, leżący w znak u stóp buchaltera, który z zimnym spokojem skonstatował, że w »Romowe« niezwykłe rzeczy się dzieją.

Koczor zebrał się i wybiegł z pianą na ustach z redakcyi.

Teraz oczyściłem Święty Gaj, pomyślał Bielecki — czas, żeby siebie samego z niego wy-

rzucić — pomyślał, z wstrętu pełnem obrzydzeniem, dławiącą wściekłością.

Siadł przy biurku, począł czytać jakiś manuskrypt, rzucił do kosza, przechadzał się, nie myślał już o niczem — służący przyniósł mu ostatnią popołudniową pocztę.

Między listami był jeden, który odłożył na sam koniec, wytworny, pachnący — wiedział już od kogo pochodzi.

Z natężoną uwagą, która się bezustannie rozpraszała, przeczytał wszystkie listy, systematycznie je poukładał — a wreszcie wziął ten ostatni do ręki.

Rozerwał kopertę.

»Drogi mistrzu, czytał. Jestem cokolwiek zaziębiona, więc nie mogę Go osobiście poprosić, a zatem, tą drogą przypominam, by zechciał mnie dziś pod wieczór odwiedzić«. T. Bielecki poszarpał w drobne kawałeczki wonny liścik i cisnął z wstrętem do kosza, ubrał się, dał jeszcze parę zleceń i wyszedł na ulicę.

Naprzeciw redakcyi »Romowe« zastanowił go dziwaczny plakat, przylepiony na murze przeciwległej kamienicy.

Bielecki podszedł zaciekawiony.

Plakat przedstawiał ogromne słońce w zaćmieniu. Czarna tarcza, z pod której wybuchały wulkaniczne protuberancje, w wszystkich

barwach tęczy: spectrum od koloru ultra-fioletowego do ultra-purpurowego.

Na czarnej tarczy czytał ogłoszenie, drukowane czerwonemi głoskami: »Ukazał się pierwszy numer pisma, przeznaczonego dla rozwoju i pielęgnowania kultury duszy i jej ukrytych sił:

»Ex oriente lux!«

W długiej kolumnie wyszczególniona była treść tego pierwszego numeru, a na samym jej końcu tłustym drukiem:

»Senzacyjne rewelacye, czyli odsłonięcie zasłony w Sais, osiągnięte za pomocą nadzwyczajnego medium na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Badań Psychologicznych w Londynie«.

Aha! to o mnie! pomyślał Bielecki — to ten artykuł, o którym mecenas wspominał.

W czterech rogach plakatu były wyszczególnione kawiarnie, w których to pismo było wyłożone.

Co za sprytna bestya ten Okaima — reklamą swego pisma zareklamował równocześnie i kawiarnie, które mu pewnie grubo za to zapłaciły — tak, że nietylko na czysto wyszedł, koszta reklamy własnej opłacił, ale pewno mu jeszcze się coś zostało.

Tak trzeba się wziąść do rzeczy, panie Bie-

lecki — zamyślił się — to wtedy nie byłoby potrzeby, szukać pieniędzy.

A! a! i kawiarnia Schütta! i to tłustym drukiem — prawdopodobnie jego uwagę chciano na nią zwrócić.

Przyjdę, przyjdę, ale nie teraz, bo teraz pusta, przyjdę, gdy będziecie wszyscy tam zgromadzeni byście nie mogli tryumfować, że Bielecki tchórzy, że nie jest w stanie tych senzacyjnych rewelacyi pod kontrolą waszych, złośliwą wściekłością dyszących ślepi, przeczytać.

Punkt o piątej popołudniu, gdy już wszyscy będziecie zebrani, marna hołoto, gdy już wszyscy zdołają przeczytać te rewelacye, które »podkopały« powagę mego nazwiska — podziwiał się, do jakiego stopnia panował nad sobą, nie rozumiał, że tego obmierzłego mecenasa nie trzepnął w pysk — wtedy dopiero ja zażądam ostentacyjnie, by wszyscy mogli moje wrażenia dokładnie obserwować, ono słońce w zaćmieniu.

I w niezrozumiałem przygnębieniu, które go nagle opadło, zaczął medytować, za co on właściwie chciał mecenasa w pysk trzepnąć?

Aha! nie za to, że mu powiedział prawdę, którą on, Bielecki, dawno znał, ale za to, że się przed nim upokorzył — tym bałwanem,

w którego wygoloną mordę taki Kotowicz pluł.

Jak marnie jednakowoż w rzeczywistości jego akcye stać muszą, jeżeli taki mecenas, który do niedawna jeszcze się przed nim płaszczył i za najwyższy zaszczyt sobie uważał, gdy mógł się w kawiarni do jego stolika przysiąść, teraz z wyniosłym gestem się do niego zwraca!

Ta myśl rozjaśniła mu zagadkę jego »niezrozumiałego« przygnębienia.

Być, albo nie być, that is the question!

Uśmiechnął się cicho.

Jeżeli ci więc na tem zależy, by »być«, by odrazu dźwignąć się na dawniejszy piedestał, nowym blaskiem powagę swego nazwiska opromienić, akcye swoje na »al pari« postawić, zrobić to, by się twoje sny o potędze urzeczywistniły, to musisz czemprędzej odbyć tryumfalny wjazd do Hierusz-Halaim...

Drgnął:

Hierusz-Halaim Zatracenia!

Innej rady nie ma. A pani Tańska dziś wieczorem już niezawodnie niczego ci nie odmówi...

Wolnym, znużonym, od dusznej rozterki i mózgowego przemęczenia krokiem, wlókł się Bielecki do domu, gdzie go Nina oczekiwała.

Na tę myśl wyprężył się, przybrał twarz

w pogodę i otuchą i pewnością zuchowatą minę, kupił po drodze kwiatów dla Niny — wybrał te, które najwięcej lubiła — szedł sprężyście, uśmiechnięty, młody i butny.

Bo już nie potrzebował myśleć, coś poza nim rzuciło kości.

XIII.

Gdy Bielecki pod wieczór zaszedł do kawiarni Schütta, zrobiło się w niej nagle cicho.

Wszystkich oczy się na niego zwróciły, przymrużone, ciekawe, chytre i złośliwe, a były i takie, które świętem oburzeniem dyszały i takie, które już go wprost piorunowały.

Bielecki spokojny, obojętny, prawie wyniosły, przeszedł obok stolika, przy którym siedział Okaima z Reginą i całym sztabem redakcyjnym »Ex Oriente«, spojrzał na nich swobodnie, jak gdyby ich nigdy nie był znał, i siadł, jak człowiek, który się czuje, co prawda w obcem, ale również całkiem obojętnem otoczeniu — opodal.

Naprzeciw wisiał znany mu już afisz z onem zaćmieniem słońca.

Skinął na kelnera, kazał sobie podać kawę i karafkę koniaku i jakby pierwszy raz ujrzał ten dziwaczny afisz, zapytał kelnera:

— A to co?

— Ja nie miałem czasu nad tem się zastanawiać, wiem tylko, że wszyscy tu w kawiarni całe popołudnie tylko o tem mówią — tam się coś wielmożnego pana musi tyczyć, bo często słyszę Jego nazwisko.

Bielecki poprosił, by mu ten numer przyniósł i rozsiadł się niedbale na kanapce. Obejrzał się wokoło.

Regina opowiadała coś z wielką werwą, chichotała złośliwie i zezowała ku niemu, Okaima wyrażał gestami zdumienie, które go widocznie wielką satysfakcyą przepełniało, Koczor wściekłemi ślepiami zdawał się prześwidrowywać Bieleckiego.

Bielecki czuł, że o nim mowa, maluczko, a będą go sobie palcami wskazywać.

Kelner przyniósł kawę i koniak:

— Egzorenta zajęta!

Bielecki roześmiał się wesoło na cały głos:

— Jakeś to powiedział?

Kelner zmieszał się:

— Egzorenta zajęta! Wielmożny panie — ten pan tam czyta.

— Masz pół rubla za dobry dowcip — śmiał się Bielecki i spojrzał w stronę pana, który czytał »Egzorentę«.

Ów pan, komedyopisarz starej daty, o którym Bielecki w pierwszym rozdziale swej rozprawy o »Reformie teatru« pogardliwie się wy-

rażał, aż cmokał językiem z głębokiego wewnętrznego zadowolenia.

Tam znowu siedział dawny jego kolega, megaloman i grafoman zarazem, którego niedawno jeszcze Bielecki tak schłostał, że suchej nitki na nim nie zostawił — widocznie też czytał Egzorentę, bo uśmiechał się ironicznie i z całą bezczelnością wlepiał w niego swoje okrągłe, wole oczy — ówdzie ujrzał widocznie jakiegoś dawnego swego wielbiciela, bo tenże patrzył na niego, jakby z ciężkim żalem i wyrzutem zawodu — obok przy stoliku długowłosych malarzy i z nieprawdopodobną nonszalancyą ukostyumowanych malarek, dyskutowano bardzo żywo — widocznie o Borsuku — bo Bieleckiego dolatywało często gęsto to nazwisko — a i o Kotowiczu była mowa...

Ale Bielecki patrzył na nich tak obojętnie, z tak absolutnem przeświadczeniem, iż wszystkich tych ludzi jeszcze nigdy nie widział, że widocznie poczęto się irytować.

Rozmowy toczyły się już prawie podniesionym głosem, widocznie w tym celu, by Bielecki mógł wszystko słyszeć; dyskusye się roznamiętniały, ale Bielecki nie zadawał sobie trudu, by chcieć coś posłyszeć: siedział obojętny, z znudzoną miną, pił kawę, popijał koniakiem i ziewnął:

To wszystko Uhera! pomyślał.

Taki był już naprawdę znudzony tem wszystkiem, że całkiem mu było obojętnem, co ci ludzie myślą, lub mówią — w krzyżowym ogniu nienawistnych, złośliwych, zgorszonych, wzgardliwych tych spojrzeń, czuł się tak bezpiecznym, jak dziecko, które nad przepaścią kwiatek zrywa, lub pijak, który według słów litanii do Szatana Baudelaire'a wpadnie pod końskie kopyta, a nic mu się nie stanie. Nawet się modlić nie potrzebował:

»Ayez pitié de ma longue misère«!

Tak dalece nie była niebezpieczną ta horda, by się aż do pomocy Szatana zwracać musiał.

Wytężona i skupiona na niego uwaga była mu nawet poniekąd przyjemną, nerwy jego podniecał hazard wygrywania ostatnich atutów a w sobie uczuł nagle dziwny, ogromny spokój.

Wziął do ręki zeszyt »Egzorenty«, teraz już niezajętej, który mu kelner podał, przeczytał najpierw wstęp, w którym Okaima czytelnikom tłomaczył podniosłym, patetycznem, ciemno i laurowo zawiłym stylem, dlaczego swoją »Egzorentę« — czemu nie Don-Quichotowską szkapę »Rosinantę«? — musiał od »Romowe« oderwać i całkiem uniezależnić.

Na początkowo całkiem zbieżne cele, poczęły działać obce wpływy — tu Okaima-Trąbczyński tak wyraźnie wskazywał na Gwonta,

że każden w tej chwili mógł się domyśleć, kogo Okaima miał na myśli — pozatem tendencye pisma, które jedynie najwyższą kulturę duszy ludzkiej rozwijać pragnęło, nie licowało z tendencyą »Romowe«, w którym to piśmie rozpanoszył się snobizm, pogarda dla etycznych ideałów, pyszałkostwo, nieuctwo, a nawet — co z ciężkim bólem trzeba było skonstatować: niekoniecznie »fair« postępowanie wobec najzasłużeńszych mężów społeczeństwa.

Znowu ucichło w kawiarni — wszystkich oczy były na niego zwrócone — świdrowano go, przeszywano spojrzeniami — Bielecki czuł te spojrzenia na całym sobie — i uśmiechał się, jakby był jakąś głupią anegdotę przeczytał.

Potem przeczytał strasznie chaotyczny, pogmatwany artykuł o filozofii Vedanta — z zawiłych, nieskończonych okresów niczego dorozumieć się nie było można — następnie przerzucił historyczny szkic o Szymonie-magu, który gdzieś już w niemieckiem czasopiśmie czytał.

Napięcie w kawiarni rosło do tego stopnia, że wyraźnie czuł zaparty oddech.

Bielecki przerzucił parę jeszcze kartek i dotarł do onych senzacyjnych rewelacyi.

Był na wszystko przygotowany, więc czytał cały artykuł z widocznem zajęciem, raz po raz się uśmiechał, czytał go, jak smakosz,

który ostrygę połyka i szampanem popija — czytał go, jakby rozkoszował się prawdziwem »havanna«, lub przypatrywał się bajecznym choreograficznym popisom baletu rosyjskiego.

A im dłużej czytał, tem więcej rozjaśniała się jego twarz istotną artystyczną rozkoszą, a nawet podziwem, a gdy wreszcie zakończył czytanie, twarz jego wyrażała wprost entuzyastyczny zachwyt.

Miny sztabu redakcyjnego »Rosinanty« zrzedły — nastąpiło ogólne rozczarowanie — widowisko oczekiwane zawiodło, a gdyby się było płaciło wstęp, by ujrzeć Bieleckiego zmiażdżonym i w śmiertelnej trwodze, toby się teraz wszystko cisnęło hurmem do kasy, by żądać zwrotu pieniędzy.

Cały ten długi artykuł był jednym genialnym, niesłychanie jadowitym paszkwilem na Bieleckiego, a w rzeczy samej nie tylko paszkwilem, bo dużo w tem było przytoczonych faktów, których istnieniu nie byłby mógł tak łatwo zaprzeczyć — szkoda tylko, że ordynarna, prostacka głupota Okaimy dała temu arcydziełu sui generis, którego by się nawet Aretino nie powstydził, tak głupi, jarmarczny nagłówek.

Cała rzecz była pisana w rodzaju nowelki Edgara Poe: »Zdumiewające działanie mesmeryzmu«, lub też »Rozmowa z Mumią«, prze-

platane filozoficznymi poglądami z »Monos i Una«, a w tym konglomeracie, złożonym z paszkwilu, zaciekłego pamfletu, prawdy, kłamstwa, przypuszczeń, prawdopodobieństw, ujrzał Bielecki jak najwyraźniej pod bezczelnie przejrzystemi obsłonkami całe swoje curriculum. Nazwiska były angielskie — rzecz działa się nie w Londynie, jak Okaima, który widocznie niedokładnie cały ten paszkwil czytał, podawał, tylko w Singapore, ale to Singapore było tak nawskróś polskie i swojskie, że żaden tubylec w nim pobłądzić nie mógł.

Wszystko tam było: Łusia, która krzyczała podczas pijackiej uczty na cześć Górskiego: »Requiescat in pace« — jej tragiczna śmierć — tryumf Bieleckiego w angielskim teatrze przed zdumionymi Hindusami, którzy dla niego osobną pagodę wystawili na jego cześć — tajemniczy pożar w atelier wielkiego artysty Kudady, tak opisanego, że kto tylko raz Borsuka widział, lub słyszał, musiał wiedzieć, że to on — »Romowe« nazywało się tybetańską Lassah, w której tronował zdziecinniały, niemocny Dalai-Lama, który bełkocze to, co mu Egerya nieboszczyka Pompiliusza, międzyświatowym wichrem tu przygnana, do uszu wkrzykuje — zbyt jasna aluzya do Gwonta — wszystko to z życia Bieleckiego było przedstawione w groteskowem świetle — nawet scena

w teatrze, gdy woźni p. Turły wyrzucali z galeryi Kotowicza i jego kompanionów za to, że się w nazwiskach autorów pomylili.

A już koroną wszystkiego, jaką Bielecki swe dotychczasowe bohatersko-fantastyczne życie uwieńczył, było to, że, syt dotychczasowych ofiar, chytrym podstępem wcisnął się w zaufanie jakiegoś naiwnego Tebańczyka, żonę od niego oderwał, opętał ją i do siebie zniewolił, a samego Tebańczyka rzucił do stóp Circe — primadonny, która go tak oczarowała, że niezadługo szmat polskiej ziemi na jej fantazye i kosztowne zachcianki zaprzepaszczony zostanie.

Tu nastąpił ustęp liryczno-patetyczny, bo właściwie to tylko Bielecki winien temu, że zacny obywatel przemienił się w kreaturę Circe.

A to wszystko w formie interwiew'u z mumią, wskrzeszającą mocą niesmacznych manipulacyi osoby, już nie żyjące, filozoficzne manipulacye na temat: jeżeli jakiś człowiek ciągnie szlachetne zwierzę na rzeź — kto ciągnie? człowiek, czy powróz?

I znowu pod aż nadto przejrzystą gazą, by nagość więcej jeszcze nagą pokazać, wyłonił się Poraj — szlachetne zwierzę — Ada — powróz — i on: Bielecki — człowiek. Rozczulający był nakoniec dytyramb na cześć szlachet-

nego zwierzęcia, które dlatego ginąć musiało, że stanęło w obronie człowieka, któryby niechybnie był zginął pod kłami wściekłego odyńca, gdyby to zwierzę nie było temu odyńcowi swoimi rogami brzucha rozpruło.

Z najwyższem, promieniejącem, prawie estetycznem zadowoleniem odłożył Bielecki zeszyt.

A im silniej i boleśniej krzyczało w nim Uhera! tem swobodniejszą minę przybierał. Uśmiechał się raz po raz, jak gdyby wspomnienie, co dopiero ukończonej lektury, szczególną przyjemność było mu sprawiło — raz po raz zajrzał jeszcze do zeszytu, by sobie niektóre, pod względem artystycznym niezwykle udałe ustępy, w pamięci utrwalić, popijał kawę, palił papierosa i rozglądał się wokoło, jak człowiek, ktory bywał wprawdzie kiedyś w tej kawiarni, ale ponieważ ją odnowiono, więc go każdy nowy szczegół interesował.

A pod maską estetycznego zadowolenia, obojętnej ciekawości, z jaką patrzył na odnowioną kawiarnię i całkiem obcych mu ludzi, szalał w nim Taifun podzwrotnikowej burzy, a równocześnie tytaniczna zaciekłość człowieka, który w tej nierównej walce zwyciężyć postanowił, wszystko jedno, co się potem z nim stanie: legnie z ran, czy też nie — wszystko jedno: byleby legł zwycięzcą!

Bywalców kawiarni Schütta znudziło obser-

wowanie wrażeń, jakie na Bieleckim artykuł »Egzorenty« wywarł, bo przeciwnie wydawał się być bardzo zadowolonym i każden powracał do swej gazety, szachów lub kart.

Bielecki, teraz już spokojny i w błogiem usposobieniu, jakby trawił smaczny obiad, mógł rozmyślać.

Ten artykuł napisał Gajecki — w każdem słowie, każdem zdaniu, barokowem nagromadzeniu rzeczy najdziwaczniejrzych, w groteskowem zestawieniu Wschodu i Zachodu, równanie ryby z pasternakiem, a raka z pietruszką, widział Gajeckiego.

I jak na zawołanie zjawił się w kawiarni Gajecki.

Wejście Gajeckiego wywołało nową i nadzwyczajną, nerwy łechcącą senzacyę.

Jedynie tylko wysokiej kulturze towarzyskiej, miała publiczność, zgromadzona w kawiarni, do zawdzięczenia, że nie uległa pierwszemu impulsowi, by stanąć na krzesełkach i stołach i rozkoszować się sceną między Bieleckim, a Gajeckim — wszyscy przecież wiedzieli, że ten paszkwil Gajecki napisał, a nikt nie wątpił, że Bielecki już w pierwszych słowach Gajeckiego wyczuł.

Gajecki ujrzał w tej chwili Bieleckiego, zmieszał się, stropił — a i Bielecki, zdziwiony nagłem milczeniem, skierował oczy w tę stronę.

Wstał od stolika i przyjaźnie kiwnął na niego ręką.

Gajecki szedł ku niemu, kłaniał się na wszystkie strony, szczególniej głęboko, jak się Bieleckiemu zdawało, w stronę Okaimy i Reginy i przysiadł się do stolika Bieleckiego. Uścisnęli sobie serdecznie ręce.

Jedna część publiczności była rozgoryczona, że nie przyszło do mordobicia, druga obżałowywała Bieleckiego, że jest na tyle naiwny i prostoduszny, iż w tej chwili nie poznał pióra Gajeckiego: jednem słowem spektakl fatalnie się nie udał.

A ponieważ już teraz żadnych niespodzianek oczekiwać nie było można, więc już nie zwracano na obydwóch najmniejszej uwagi — i to z silnę indygnacyą.

W sztabie generalnym »Rosinanty« — ten termin na określenie »Ex oriente lux« ostatecznie się w mózgu Bieleckiego ustalił — spadła rtęć w termometrze wojennego zapału na zero — zrobiło się chłodno, i mglista nuda poczęła ziać z próżnych kieliszków.

Bielecki skinął na kelnera i kazał mu podać flaszkę ciężkiego, burgundzkiego wina: Chambertin.

Gajecki był cokolwiek zaniepokojony niezwykłą uprzejmością Bieleckiego.

Cóż to mogło znaczyć? Jakaś zasadzka?

A ponieważ dziś się dowiedział o wcale niemiłem zajściu Koczora z Bieleckim, więc tak się usadowił, by w danym wypadku uniknąć niemiłych aplikacyi.

— Przedewszystkiem winszuję ci artykułu, który jest wprost genialnie napisany — Bielecki mówił to tak, jakby jakąś wesołą anegdotę opowiadał.

Gajeckiego ciarki przeszły.

— Jakiego artykułu? Co za artykułu?

Kelner postawił flaszkę Chambertina na stole i dwa kieliszki.

— To coś o mnie napisał w »Oriencie«.

— Kto? ja? — Gajecki zerwał się oburzony.

— Siedź tylko spokojnie i nie rób z siebie nad-świni. Otóż ten artykuł jest napisany z taką bajeczną werwą, z takim niesłychanym rozmachem i tak bestyalną złośliwością, że muszę cię głęboko o przebaczenie prosić, iż dotychczas twego geniuszu w tym kierunku nie odkryłem, a zdolności twoje w całkiem fałszywym sensie w »Romowe« zużywałem.

Mówił to tak słodkim i ujmującym głosem, że Gajeckiemu stanął w tej chwili przed oczyma Koczor, wywalony na wznak, według plastycznego opisu buchaltera i obmacujący się, czy jego krzyże w porządku.

Bielecki z nadzwyczajną uprzejmością nalewał wina do ogromnych kieliszków.

— Duszkiem! — powiedział — teraz wiem, kim jesteś; ja zawiniłem, żem się na twoim geniuszu nie poznał, ty zaś, że światło twoje pod korzec wstawiłeś i za trzydzieści srebrników wyranżerowanej szkapie Trąby-Czyńskiego się zaprzedałeś.

Wychylili duszkiem puhary.

— Więc słuchaj — Bielecki śmiał się, jakby niezmiernie śmieszną rzecz opowiadał — jeżeli mi w dwóch dniach dostarczysz artykułu dziesięćkroć razy spotęgowanego przeciw »Oriente«, Okaimie, Reginie i tutti quanti, dostaniesz trzysta rubli na stół — jeżeli odszczekasz to wszystko, coś w tym artykule o mnie napisał, ale to tak skutecznie i tak przekonywująco, że ten »Orient« poprostu zmiażdżysz — zniweczysz — nie będę się lumpował — dodam ci jeszcze pięćdziesiąt rubli — a jeżeli tak zdołasz się urządzić, że »Oriente« całkiem uniemożliwisz — to zarobisz w przeciągu paru dni pięćset rubli.

Gajecki łypnął ślepiami — odrazu połapał się w roli, jaką mu wyznaczył Bielecki.

Aż publiczność obejrzała się na nich, nie wiedząc, co więcej podziwiać: bezczelność Gajeckiego, czy też zupełnie niepojętą głupotę Bieleckiego.

— A żebyś nie myślał, że obiecanki — cacanki, a głupiemu radość — mówił Bielecki

z słoneczną powagą, dam ci przy wyjściu sto rubli zaliczki — teraz na nas patrzą, więc napijmy się z wylaną wprost serdecznością, jakbyśmy się od paru lat nie widzieli i teraz dopiero w najlepszej komitywie spotkali.

— Więc »Romowe« zdołałeś uratować? — pytał Gajecki, jakby o zdrowie Bieleckiego się dowiadywał.

— Nietylko uratować, ale tak postawić, że będziemy mogli zmonopolizować wszystko, co się w Polsce pisze.

Gajecki wytrzeszczył oczy, ale w tej chwili przypomniał sobie wyznaczonę rolę, klasnął rękami o kolana i roześmiał się serdecznie.

— A mogę być pewien, że przyrzeczenia dotrzymasz?

— Ja dotrzymam ale, jeżeli ty tego nie zrobisz, co ci powiedziałem, za co ci grubo zapłacę, to pamiętaj — Bielecki spojrzał na niego tak niesłychanie czule i z taką głęboką przyjaźnią, że Gajeckiego mróz przeszedł...

Gajecki zrozumiał.

— W końcu tego tygodnia wyjdzie zeszyt »Romowe«, pojutrze muszę mieć twój artykuł. Poza tem jedno ci jeszcze powiem: dam ci takie stanowisko w »Romowe«, jeżeli mnie wyrąbiesz z tej zasadzki, w jaką mnie wpakowałeś — świnio piekielna, łotrze i szubraw-

cze — na jakie musiałbyś w innych warunkach pięćdziesiąt lat czekać.

Gajecki śmiał się dobrodusznie, bo rozmowa poczęła przybierać charakter swojskiego humoru.

— Nie jestem desperatem — mówił Bielecki z szczerą, serdeczną przyjaźnią — ale jeżeli jednem słowem piśniesz do kogośkolwiek o naszym układzie, jeżeli się czemśkolwiek zdradzisz — to kulą w łeb, to ci przysięgam na miłość do kobiety, której nazwisko wobec ciebie, szubrawcze, wyjawić, byłoby niechlujstwem.

Spojrzenie Bieleckiego było w tej chwili mimo całej gorącej serdeczności tak groźne i tak stanowcze, że Gajeckiego, mimo również przyjaznych uczuć, mrowie przeszło.

— Zgoda? — zapytał Bielecki z uśmiechem, przejmującym do szpiku kości.

— Zgoda! — powiedział Gajecki i mimowoli zadrżał.

Znowu duszkiem wychylili kieliszki.

— Teraz pójdę — wsunął nieznacznie Gajeckiemu sturublówkę do ręki — o! zdaje się, że pierwszy śnieg spadł... resztę to już sam wypij — ja mam ważny interes do załatwienia.

Bielecki zapłacił, pożegnał się bardzo czule z Gajeckim i wyszedł z kawiarni — ale tym razem nie zwracano na niego żadnej uwagi, bo

widocznie ta cała historya w »Oriencie« była tylko głupią farsą, a może nawet z góry umówioną, by dla »Oriente« i dla »Romowe« łapać naiwnych prenumeratorów.

Teraz już się nie wahał, już teraz wyrzucił z mózgu wszystko, coby się jego niezłomnemu, żelaznemu postanowieniu sprzeciwiać mogło. — Odsunął cicho i łagodnie swoją, ponad wszelką miarę ukochaną Ninę — starał się nawet o niej zapomnieć: jedna tylko myśl rozwielmożniła się w jego mózgu:

Jeżeli już legnąć muszę, to legnę jako zwycięsca!

Śnieg padał — ale on lubiał śnieg: tak rozkosznie, przyjemnie zasnuwał mu cały świat przed nim białymi płatkami, które w dziwnie symetrycznych, geometrycznie dających się wykreślić liniach z niebios się ścieliły.

Szedł w ciężkiem zamyśleniu i ani mu przez głowę nie przeszło, żeby go ktoś mógł śledzić — wtulił głowę w kołnierz futra i nie wiedział o tem, że w ślad za nim szła Regina.

Pocóż mu teraz myśleć, wahać się, rozważać?

Puścił maszynę w ruch, a raczej nie on — tylko sama przez się zmuszona wyższemi, ponad wszelkie ludzkie siły wybiegającemi, okolicznościami, sama siebie w ruch wprowadziła,

a śmiesznem usiłowaniem by było, chcieć ją teraz powstrzymać.

Teraz już przepadło!

Wszystko jedno! Jeżeli już legnąć, powtarzał maniacko, to już jako zwycięsca, jak Nelson pod Trafalgarem — tak, jakby mógł nawet Napoleon pod Waterloo poledz — ale św. Helena: nie! za żadną cenę: nie!

Nieugięta, twarda moc, dzikie jakieś »à rebours« zapanowało wszechwładnie w jego duszy.

O! miałeś racyę, więcej jeszcze ponadto, kochany mecenasie, wspaniały rzeczniku całego społeczeństwa, że urok mego nazwiska gaśnie, że już dół dla mnie wykopany, że chwilę jeszcze, a sromotnie pogrzeban zostanę... Ha — ha — ha! Niedoczekanie wasze!

Jeżeli się pogrzebię, to sam własnemi rękoma, ale wam nie pozwolę, byście mieli wielką satysfakcyę, być moimi grabarzami — co najwyżej rozdzielę między was role — rakarzów.

Grabarzów — rakarzów — to świetny rym: dziwne, że od niejakiego czasu myśli jego doskonale się rymowały. A były i takie, które na wszystkie cztery nogi chromały:

Ex Oriente! Exorenta — Rosinanta!

I takie, jak Hedera — Uhera!

Majaczył... Śnieg padał coraz gęstszymi pła-

tami przed oczyma jego biel — przeczysta biel — doskonale licowała z żałobną czernią w jego duszy.

Wszystkie jej okna pozasłaniał czarnemi kotarami i — co? co? pytał siebie z natrętną uporczywością.

— Nie wiedział, ale coś w nim wiedzieć musiało, bo inaczejby się nie było przedostało przez żywopłoty jego świadomości.

Zresztą cały ten szereg niezszeregowanych myśli był zupełnym absurdem, bo jeżeli jest szereg, to nie może być niezszeregowany, to jest fatalny błąd logiczny: contradictio in adjecto, ale i takie rzeczy się zdarzają.

Fichte twierdzi, że ja jestem ja, a nie-ja jest oczywiście nie »ja« — ale to głupstwo: zachodzą wypadki, że ja jestem »nie-ja« i naodwrót.

A w moim wypadku, teraz, kiedy kroczę, zwycięstwem przeświadczonym krokiem, do pałacyku pani Tańskiej — Ja nie jestem sobą — tylko całkiem kimś innym.

Przed paru dniami rozszczepiłem się na starego i młodego Bieleckiego, dziś zaszedł analogiczny wypadek:

Jestem sobą i nie-sobą!

Piekielne to rozdwojenie!

Być równocześnie ja — i nie-ja — być sobą i nie-sobą, o! to już ponad siły ludzkie.

Więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przestać być sobą, przestać być swojem własnem ja i stać się kimś innym:

Doskonałe wyjście!

Teraz już nie potrzebuję rozdzielać się na starego i nowego Bieleckiego — moje ja, to znaczy: Bieleckiego pozostawię za drzwiami rozkosznego pałacyku pani Tańskiej, a ten, który jego podwoje przekroczy, będzie ten nie-ja: nazwijmy go Uherą!

Wszystko, co nie jest mną, będę odtąd nazywał symbolicznem mianem: Uhera! Dobrze się nawet złożyło, że istnieje dźwiękowe powinowactwo między nazwiskiem Hedery, realnie i istotnie żyjącego pana, a symbolem wszelakiego robactwa, które mnie oblazło i dokuczliwie mnie trapi: mianem Uhery.

To tu! — z jaką sprawnością i nieomylną pewnością nogi mnie tu poniosły — tak! to tu!

Miał wrażenie, że jest trochę zamroczony, ale to tem lepiej — to nawet poniekąd jest okolicznością bardzo sprzyjającą i dla Uhery nawet niezwykle dogodną.

Bielecki wcale w rachubę nie wchodził — on tu pozostanie za żelaznemi płotkami, a wyśle tamtego — całkiem mu obcego pana — na czułe zaproszenie pani Tańskiej.

Regina stała opodal i szczękotała zębami

z zimna, cała ośnieżona, czekała tylko zaczajona, co się dalej stanie.

Po długiem namyśle zadzwonił Bielecki: drzwi ogrodu natychmiast się otworzyły — Bielecki przeszedł pewnym krokiem aleję, prowadzącą do pałacyku — w drzwiach oczekiwał go już lokaj, zdjął z niego futro, poprowadził do salonu, do którego w tej chwili wbiegła pani Tańska.

— Jak można było mi tak długo kazać czekać! — mówiła nawpół z przymileniem, nawpół z miną rozkapryszonego dzieciaka.

Bielecki całował przeciągle jej rękę.

— Niech pani wybaczy, ale tyle spraw było do załatwienia, a teraz nadszedł gorący czas dla »Romowe«.

— Jaki pan niedobry, żeby choć na chwilę, przez całe trzy dni, nie zajrzeć do mnie — a ja — wcale się z tem nie taję — czekałam z takiem upragnieniem odwiedzin mistrza... urwała, jakby się zlękła, że za dużo powiedziała.

— Pani nie ma wyobrażenia, jak się uradowałem pani bilecikiem, ale już musi pani wybaczyć, że prędzej z redakcyi wyrwać się nie mogłem: tyle różnorodnych i niekoniecznie miłych interesów... roześmiał się nagle z jakąś bezczelną, ulicznikowską prostotą.

— Bo trzeba pani wiedzieć, że w tym

Świętym Gaju jakiś święty Wojciech najwspanialsze dęby pościnał, a to moje ukochane »Romowe« robi już bokami, gdyby krowa, która po burzy mokrej koniczyny się najadła i wskutek tego się wzdęła.

— »Romowe« bokami robi?! — pani Tańska się zaśmiewała, ale przecież nic łatwiejszego, jak je na nogi postawić, o ile jest świętą krową asyryjską, a, o ile jest świętym gajem pogańskim, pozasadzać nowe, tysiąckroć razy silniejsze dębczaki na miejsce starych i pewno już mocno spruchniałych, a przez owego świętego Wojciecha w fanatycznym, a nieszkodliwym szale wyciętych...

Bielecki spojrzał na nią wyczekująco:

I ona patrzyła na niego badawczo:

— Mistrz coś przybladł — pewno interesa bardzo kiepsko stoją? — pytała dziwnie uśmiechnięta.

— Więcej niż kiepsko — rozpaczliwie wprost — powiedział Bielecki z umyślną prostaczą szczerością.

Ogarnęli się oczyma — a dotyk ich oczu był czemś cielesnem i nagiem.

Pani Tańska przymrużyła oczy, przysunęła się nieznacznie ku niemu...

— Panu bardzo zależy na podtrzymaniu »Romowe«?

— Więcej, aniżeli bym mógł powiedzieć.

— A ile panu potrzeba?

— Czterdzieści tysięcy rubli!

— Tylko?

Bielecki przez chwilę myślał, że to »tylko« znaczyło kpiny ze strony pani Tańskiej — przygotowywał się na drwiącą odpowiedź, na coś, czemby odrazu mógł panią Tańską zaszachować, wprost jej powiedzieć, że przyszedł do niej w dobrym humorze i uciął z punktu blagę, bo »Romowe« nigdy nie stało na silniejszym fundamencie, jak teraz, gdy on cały spadek po swej babce w »Romowe« włożył, a nagle uczuł na sobie ciężkie, parne spojrzenie pani Tańskiej.

— Pan patrzy na mnie pytająco? Ja powiedziałam to na seryo — na sprawach wydawniczych się nie znam i sądziłam, że wydawanie takiego pisma większego wkładu wymaga.

Bielecki się roześmiał.

— Wątpię, czy jakieś pismo polskie takim kapitałem rozporządza. Okaima rozpoczął swoje wydawnictwo co najwyżej stoma rublami.

— Jaki Okaima?

Bielecki odetchnął: a więc nie czytała dzisiejszej »Ex oriente«.

— Taki sobie Don Kiszot, który wsiadł na sturublową szkapę i teraz przeciw wiatrakom wojuje.

Pani Tańska nie śmiała się z mdłego zresztą dowcipu, a Bielecki pomyślał, że było go stać na lepszy — bo widocznie była inną myślą pochłonięta.

— Ja panu coś powiem... a raczej zrobię panu jedną propozycyę — niech pan mi da tylko przyrzeczenie, że pan ani mnie nie wyśmieje, ani się nie obrazi...

— Święcie to pani przyrzekam.

— Pan mi mówił, że ja mam istotny talent, więcej nawet: pan mi powiedział, że rodzaj pańskiego talentu jest z moim spokrewniony...

— Tak! to mówiłem i po powtórnem czytaniu pani utworów z większym jeszcze naciskiem to powtarzam.

Tańska spojrzała na niego rozpromieniona i wniebowzięta.

— Więc ja panu powiem: mąż mój nie wtrąca się w moje interesa...

— Ryby łapie i drzewo rąbie, jeżeli nie śpiewa — zaśmiał się poufale Bielecki.

— Czasami gorsze jeszcze rzeczy, ale ponieważ mnie to nic nie obchodzi, więc o tem się nie mówi. Ale wracajmy do rzeczy: ja rozporządzam dochodami dużego, własnego majątku — znudziły mnie już zabawy, bale, rauty i przyjęcia; podróże i bady zagraniczne całkiem mnie już nie bawią; postanowiłam

więc zająć się czemś, co mi rzeczywistą da satysfakcyę, czekałam tylko wyroku pańskiego — a pan jest dla mnie wyrocznią i jestem szczęśliwa, żem wreszcie znalazła cel — coś, czem zabójczą nudę mego życia usunąć zdołam.

Teraz Bielecki słuchał z takiem naprężeniem, że czuł, jak mu przez twarz nerwowe drgawki przelatywały.

— Zwykle trudno mi coś postanowić, ale w tym wypadku ani chwili się nie namyślam. Te czterdzieści tysięcy rubli, o których pan mówił, są każdej chwili do pańskiej dyspozycyi, pod tym jednakowoż warunkiem, że pan mi da, choćby skromniutki udział w pracy redakcyjnej.

Spojrzała na niego, jakby zawstydzona śmiałością swojej propozycyi.

Bielecki długo się namyślał — widmo niebezpieczeństwa ośmieszenia się, gdyby nazwisko pani Tańskiej widniało na każdym numerze »Romowe« obok jego nazwiska: niemożliwe: byłobyto wprost kompromitujące i dawało pole do najdziwaczniejszych domysłów, a może stałoby się przewodnią gwiazdą do zbadania prawdy!

O nie! na to zgodzić się nie może, choćby nawet kosztem tego skarbu — tych czterdziestu tysięcy.

— Ja pani coś innego zaproponuję — Bielecki ujął ją delikatnie za rękę:

— Powtarzać pani nie potrzebuję, co o jej talencie myślę — mnie to sprawi prawdziwą satysfakcyę, jeżeli pani zezwoli, iż do jej tomiku poezyi napiszę wstęp: ja kocham młode talenty, a jeżeli jakiśkolwiek zasłużył w pełnej mierze, bym go całemu społeczeństwu w jego sile i mocy i kalejdoskopicznej różnorodności pokazał i z całym naciskiem uwagę nań zwrócił, to właśnie wybitny talent pani.

Tak — nazwisko pani figurowałoby na okładce »Romowe« jedynie tylko, jako współwydawczyni, a więc takiej pani, która daje pieniądze i nic poza tem — a, jak tylko tomik poezyi pani wyjdzie z moją przedmową, sprawa inaczej przedstawiać się będzie.

Pani zyska obywatelstwo w literaturze, a wtedy wszyscy zrozumieją, jakiem prawem nazwisko pani weszło w skład »Romowe«.

W ten sposób — myślał Bielecki chytrze zyskam na czasie.

Pani Tańska nie posiadała się z radości, którą napróżno ukryć usiłowała.

— Jakto? Zdaje mi się, że się przesłyszałam — pan zechciałby parę wstępnych słów do mego tomiku napisać?

— Nietylko parę słów, ale kilka stronnic z bardzo szczegółową analizą pani utworów

i specyficznego rodzaju talentu pani — Bielecki powiedział to z głęboką powagą.

— Tego w najśmielszych marzeniach śnić nie śmiałam.

— Wcale pani nie rozumiem — piszące kobiety chorują przeważnie na megalomanię, a z przyjemnością konstatuję, że kobieta, obdarzona wprost niezwykłym talentem, dziwi się temu, że ktoś kompetentny uczuwa to za święty obowiązek, by talent taki w pełnem świetle pokazać.

Nie pani mnie powinna być wdzięczną, ale przeciwnie: ja pani, bo rzadko mam tę rozkosz, by natrafić na istotny i w tak wysokim stopniu żywotny talent, jakim jest talent pani...

Pani Tańska oniemiała z radości i dumy.

— Ja tak nieskończenie panu jestem wdzięczna.

— Jeszcze po tem wszystkiem, co pani powiedziałem?

— Czy pan nie jest w stanie zrozumieć, czem są dla mnie słowa pana? To ziszczenie najgorętszych pragnień i marzeń, to dokonanie na jawie snów, których nawet śnić się nie odważałam.

Powiedziała to z tak naiwną, tak bezpośrednią szczerością, że Bielecki ani na chwilę nie wątpił w prawdę jej słów.

No! to cię już teraz mam! pomyślał szyderczo — teraz mi się już nie wymkniesz.

— Więc zróbmy tak: ja w przeciągu trzech dni napiszę bardzo serdeczną, gorącą przedmowę, bo innej do utworów pani nawet bym napisać nie potrafił — w przeciągu jakich sześciu tygodni tomik pani ujrzy światło dzienne — ja pozatem wydrukuję w »Romowe« parę pani poemacików — w przeglądzie młodych sił, zwrócę na panią specyalną uwagę i odrazu ma pani imię i rozgłos — a co najważniejsze: prawo obywatelskie w republice artystycznej, a to nie tak łatwo zdobyć — a wtedy — zyskuję na czasie, chciał powiedzieć Bielecki, ale się tylko rozkosznie uśmiechnął; będzie to dla mnie istotnym zaszczytem, panią, jako członka do redakcyi »Romowe« powołać. I już ten fakt sam ustali pani sławę i poczytność, a przytem, ponieważ poruczę pani całkowicie dział twórczości piszących kobiet, nazwisko pani zyska ogromnie na powadze.

Pani Tańska patrzyła na Bieleckiego, jak w zachwyceniu:

— To pan — trudno jej było ze wzruszenia mówić — to pan to wszystko dla mnie uczynić zechce?

— Pewno, że dla pani — mówił Bielecki — i dla jej talentu, a nie dla jej pieniędzy.

— Ależ panie!

— Mogłaby pani być ubogą dziewczyną, ale z pani talentem, a to samo zrobiłbym bez chwili namysłu, a kto wie, czy nie więcej, bo nie narażałbym się na rozmaitego rodzaju przypuszczenia, że nie robię tego bezinteresownie.

— Któżby śmiał pana o to posądzać?!

— W tym wypadku nic, bo talent pani sam za siebie przemawia — ja tylko pani drogę toruję — nic więcej — siła talentu pani zamknie wszystkie usta — i to niezależnie od jakiegoś majątku, którym w tym wypadku pani rozporządza – a który mnie piekielnie mało obchodzi.

Sam jestem na tyle zamożnym, by dostatnio wyżyć, a dla »Romowe« w każdej chwili pieniądze znaleść mogą, a jeżeli pani o chwilowych kłopotach mówiłem, to jedynie dlatego, że dług, zaciągnięty u obcych finansistów, pociąga za sobą lichwiarskie procenty...

— Milcz pan! — podbiegła ku niemu zalotnie i zamknęła mu usta miękką, wyperfumowaną ręką.

A równocześnie, jakby się bała, że mógłby się do kogoś obcego udać, że mogłaby go stracić, a wszystkiemi siłami pragnęła go przywabić do siebie, szepnęła mu do ucha:

— Jedną chwileczkę drogiego mistrza samego zostawię... wybiegła z pokoju. Bie-

lecki zatrząsł się cały. Miał ochotę śmiać się na cały głos, gwizdać, ryknąć z wszystkich sił idyotyczną niemiecką piosenkę, którą gdzieś w Bawaryi podczas karnawalu posłyszał:

O Susanna — wie ist das Leben doch so schön!

Ale zamiast tego posłyszał dokładnie, jakby ktoś za ścianą nucił:

Płyń barko moja,
Pogoda sprzyja...

Aha! zerwał się i siadł: Dokąd? dokąd ja teraz płynę?!

Ninę ujrzał teraz przed sobą, jak z ciężkim wyrzutem i pogardą na niego patrzyła...

— Pas de faiblesse! — zdążył jeszcze stary Bielecki mu do ucha szepnąć, bo już wróciła pani Leontyna z kopertą w ręku.

— Pan się nie zdziwi — mówiła figlarnie, zalotnie, poufale, że ja, jako żona takiego pana, który śpiewa, ryby łapie i drzewo rąbie, znam się trochę na arkanach ubioru męzkiego.

Tę kopertę wsadzimy do wewnętrznej kieszeni pańskiego, zresztą bardzo eleganckiego tużurka.

Odpięła pierwszy guzik tużurka i wsadziła mu zręcznie do kieszoni wewnętrznej kopertę, i jakby przypadkowo spoczęła jej ręka chwilę na kamizelce w okolicy serca.

A serce Bieleckiego waliło, jak młot wali o grubą sztabę żelazną z zaciekłem pragnieniem, by ją w kawałki rozbić, a tą sztabą był niepojęty lęk, który żadną siłą rozbić się nie dał: lęk, że Ninę traci.

— O! jak serduchno bije! — powiedziała z pieczołowitą troskliwością. — Bielecki czuł, że to pretekst, by mogła dłużej rękę na jego sercu potrzymać, więc gwałtownie schwycił tę rękę — i aby się oszołomić, zapomnieć, począł ją gorąco całować — a nikt lepiej od niego nie umiałby odegrać tej — w danej chwili — trudnej roli.

Była istotnie zmieszana? czy też tylko udawała zmieszanie, niepokój, wystraszenie? Tego już Bielecki wymiarkować nie zdołał, a jeżeli grała komedyę, to w takim razie miał godną siebie partnerkę.

I to było doskonale powiedziane, jak gdyby chciała rozluźnić zbytnie jeszcze przedwczesne naprężenie nerwów:

— Tylko proszę koperty nie zgubić, bo w niej jest czek, który umożliwi — jak to pan powiedział? zasadzenie nowych dębczaków na miejsce starych dębów spróchniałych, a przedewszystkiem nie pozwoli, by ogień święty w »Romowe« mógł choć na chwilę przygasnąć...

Chciał coś powiedzieć, ale przerwała mu,

szybko schwyciła go za rękę — wstał — wzięła go teraz pod ramię:

— Teraz już dajmy spokój interesom — dawno już lokaj wyczekuje, kiedy wreszcie może podać kolacyę. Kazałam nakryć w tym zacisznym moim pokoju...

Aha, tym dużym łóżku, pomyślał Bielecki...

· W tej wielkiej jadalni panuje chłód i nuda oficyalnych przyjęć — a tam miło i dobrze — jestem tak rozradowana i tak szczęśliwa tem wszystkiem, coś mi pan dziś powiedział, żebym tam wysiedzieć nie mogła.

Gdy weszli do zacisznego pokoju, który Bieleckiemu już raz wydał się jednem, dużem, wytwornem łóżkiem, był zdumiony, z jakim zbytkiem i przepychem na nowo był urządzony, by z tego pokoju stworzyć zmysłowe, lubieżne, drażniące zacisze.

Na stole, nakrytym na dwie osoby, pełno było kryształów z egzotycznemi kwiatami, których odurzającą wonią cały pokój był przesycony; w srebrnym kuble mroził się szampan, a z całego wyrafinowanego »arangement« wyczuł Bielecki, do czego pani Leontyna zmierzała.

I, jeżeli istotnie pragnęła wywołać w nim iluzyę jakiegoś niezmiernie wytwornego i pikantnego zarazem »cabinet particulier«, to jej się to w zupełności udało. Wobec tego wydały

mu się »cabinets« w najwięcej »fashionable« restauracyach paryskich — lichymi kabinami.

Teraz na oślep! naglił stary Bielecki — nie patrz ani za siebie, ani przed siebie — bo inaczej wszystko przepadnie — zapomnij o wszystkiem — zwycięstwo masz w ręku — zdołaj je tylko wykorzystać!

I z jakimś rozpacznym humorem zaśpiewało w nim jaskrawym dyszkantem:

Płyń barko moja,
Pogoda sprzyja...

XIV.

I ponownie dźwignął się Bielecki z trzęsawiska, w które coraz głębiej już zapadał, a już miał bardzo małą nadzieję wybrnięcia.

A miał teraz często sposobność, zastanawiać się głęboko nad potęgą pieniędzy. Niewiadomo, czy dyrektor banku nie zdradził tej tajemnicy, iż Bielecki w nim czterdzieści tysięcy rubli złożył, czy też numer konta czekowego, który się nagle na blankietach papieru listowego redakcyi »Romowe« pokazał, pozwalał robić rozmaite domysły i przypuszczenia, czy też służący redakcyjny, który podejmował pieniądze w banku, rozpuścił wieść między ludźmi o ogromnym kapitale, jakim Bielecki rozporządza, dość, że z dnia na dzień rósł w poważanie ludzi, którzy go dawniej prawie lekceważąco witali, dziś z uśmiechniętą miną i prawdziwym szacunkiem poczęli mu się kłaniać; na wszystkie zaproszenia o współpracownictwo otrzymywał odwrotną pocztą

zgadzające się odpowiedzi, bo żadne pismo w Polsce nie płaciło nawet w przybliżeniu tak świetnych honoraryów. Zgromadził wokół siebie cały sztab wysoce uzdolnionych, młodych artystów; na kierownika artystycznego powołał wybitnego i wysoce uzdolnionego malarza, który przedtem długi czas studyował za granicą wszystkie najnowsze zdobycze techniki drukarskiej.

Zaroiło się w bardzo pięknej poczekalni redakcyjnej, która jeszcze do niedawna pustkami świeciła — na ogromnym stole były wyłożone najkosztowniejsze i rzadko komu przystępne publikacye zagraniczne, na ścianach rozwieszone litografie i drzeworyty wybitnych współczesnych malarzy europejskich: jednem słowem poczekalnia była raczej salonem artystycznym, a nie przykrą ubikacyą wyczekujących głodomorów, z których niejeden w swojej tece nosił patent na geniusza, ale jeszcze nie uprawnomocniony.

Wszystko w »Romowe« musiało teraz każdego szacunkiem przejmować: odświętny tużurek buchaltera, który teraz równocześnie objął miejsce p. Koczora i mógł sobie pozwolić na nowe ubranie, bo Bielecki wypłacił mu sutą gratyfikacyę — piękna liberya woźnego redakcyi, na której pozłacanych guzikach widniał rozłożysty dąb, z angielska przybrany

boy do posługi i przystojna panienka, pisząca na maszynie.

Z ogromnem napięciem i niecierpliwością oczekiwano nowego numeru, który Bielecki umyślnie opóźnił, a o którym raz po raz przedostawały się wzmianki, coraz więcej zaostrzające ciekawość.

W kawiarniach przy stolikach artystów, literatów, dziennikarzy o niczem innem nie było mowy, jak tylko o »Romowe«. — »Romowe« stało się zwykłym tematem rozmów w kołach inteligencyi, interesującej się sztuką, a w obozie »Ex Oriente« powstał niepokój i popłoch, tem przykrzejszy, że Okaima nie wiedział, czem zdoła wykupić z drukarni następny numer »Ex Oriente«, w którym Regina przypuściła gwałtowny, całkiem już rozwścieczony szturm do fortecy Bieleckiego.

Bielecki pracował gorączkowo, z wytężeniem wszystkich sił — z niesłychanym wysiłkiem wprawił się znowu w ten dla niego już wprost bolesny stan, w którym wkraczał w dziedzinę twórczości.

Przy swej wysokiej kulturze artystycznej, długim pobycie za granicą, obznajomieniu się z najwyższym wykwitem twórczości europejskiej, własną bogatą i niezawodną zdolnością krytyczną, umiał nowy numer »Romowe« tak złożyć, że dał niejako przekrój umysłowej

i artystycznej tężyzny polskiej do tego stopnia, że każden cudzoziemiec mógłby jednym rzutem oka ogarnąć, po przeczytaniu tego numeru, wysoki stopień artystycznej kultury polskiej.

A równocześnie musiało mu społeczeństwo przyznać wielką zasługę, bo ten, programowy niejako numer, drukował się w świetnym przekładzie w Paryżu w języku francuskim.

O tem wszystkiem stolica była doskonale poinformowana — całkiem rozwiało się niedowierzanie i coraz więcej zakorzeniający się sceptycyzm, który powadze jego nazwiska tak już szkodzić począł, a pamflet Gajeckiego, o ile nie poszedł w niepamięć, uważano za zatrutą strzałę z wrogiego obozu, potworną wprost insynuacyę.

Cała opinia przechyliła się na stronę Bieleckiego. Coraz głębiej wsiąkało w publiczność przeświadczenie, że on zainicyował nową erę w kulturze polskiej, otworzył okno na Europę, spełnił zaszczytny obowiązek obywatelski, bo stara się cudzoziemców zaznajomić z stanem rodzinnej kultury; rada miejska na poufnem zgromadzeniu ofertę Bieleckiego, którą już przed dwoma tygodniami wniósł, by objąć dyrekcyę teatru, traktowała bardzo poważnie, przedrukowano całą rozprawę Bieleckiego o reformie teatru, którą tenże, zaczem się miała

pojawić w »Romowe« naprzód już w kilkudziesięciu egzemplarzach wydrukował i poszczególnym »organom« miejskim, decydującym o losach teatru, rozesłał.

I tą właśnie rozprawą zyskał sobie takie zaufanie i wywołał taką pewność w łonie komisyi teatralnej, że nikt nie wątpił, iż Bielecki w krótkim już czasie — i to co najważniejsze, tanim kosztem, zdoła przeprowadzić doszczętną reformę »in capite et membris«, jak się przewodniczący wspomnianej komisyi wyraził.

A przytem stawiał Bielecki pokaźną kaucyę w kwocie dwudziestu tysięcy rubli.

I to ostatnie przeważyło wszystkie szanse na stronę Bieleckiego, ale już przed ostatnią decydującą sesyą uważano kandydaturę Bieleckiego za rozstrzygniętą.

Okaima zapadał coraz częściej w ponurą zadumę, Koczor się pienił, tylko jedna Regina uśmiechała się coraz złośliwiej i z coraz więcej tajemniczą miną.

Żaden, nawet najzręczniejszy detektyw, nie byłby w stanie tak solidnie i z taką precyzyą wymyszkować stosunku Bieleckiego do pani Tańskiej, jak właśnie ona. — Wiedziała dokładnie, o jakiej porze zachodził Bielecki do pałacyku przy Alejach Ujazdowskich, kiedy go opuszczał, a co najważniejsze: zdołała się dowiedzieć, z jakiego źródła czerpał Bielecki pie-

niądze. To ostatnie było rzeczą bardzo trudną, bo trzeba się było zaznajomić z urzędnikami banku, by módz się dowiedzieć, na czyje konto Bielecki pieniądze pobierał, ale w tem nieocenioną pomocą był dla niej Koczor, który szybko zawarł w knajpie znajomość z odnośnym personalem bankowym.

Chytrze, podstępnie śledziła Bieleckiego krok za krokiem, widziała kilkakrotnie, jak wyjeżdżał z panią Tańską jej amerykańskim automobilem za miasto, jak rozkochana pani Leontyna wybiegała, by go raz jeszcze skinieniem pożegnać, na taras pałacyku, widziała, jak często gęsto zachodziła do redakcyi i całemi godzinami tam przesiadywała: Regina krążyła, jak hyena, wówczas wokół redakcyi, to czuwała naprzeciw pałacyku — a gdy widziała przez firanki ich obojga sylwetki, zlewające się w jedną całość, wtedy nie czuła zimna, nie czułu, że cała jest skostniała i zębami z zimna szczękocze, bo rozpierała ją gorąca krew zemsty i odwetu.

Wreszcie zdołała dźwignąć ciężar obuchu, który miażdżącym ciosem miał spaść na głowę Niny — czy jego też? — dobrze nie wiedziała, bo Bielecki był czemś nieuchwytnem, czemś, który się nigdy z niczem nie zdradził: w każdym razie dozna silnego wstrząśnienia. Czekała

tylko stosownej pory, a Regina, w zaciętej chciwości zemsty, umiała czekać.

Bielecki wiedział dobrze, jak »powaga« jego nazwiska niepomiernie się wzmogła, wiedział o tem, że przyjęcie jego oferty na dyrektora teatru jest prawie zapewnione: prasa go popierała, wyliczała jego zasługi; cała młódź artystyczna zbitą falangą broniła go przed wrogimi pociskami, ale równocześnie czuł — nie wiedział, z jakich powodów i przyczyn, że się nad nim ciężkie chmury zbierają, z których straszny, niszczący grom w niego padnie.

Z zaciętą mocą postanowił zwyciężyć, choćby miał ledz — ale ledz zwycięzcą. I to postanowienie pozwoliło mu utrzymać równowagę, którą bezustannie tracić się zdawał.

Stosunek do bogatej pani Tańskiej zaciężył mu cetnarami żelaza u nóg. Myśl, że ten stosunek prędzej, czy później wyjdzie na jaw, że Nina się o nim dowie, że wtedy niechybnie Ninę utraci, ścinała mu krew w żyłach. Nie śmiał już Ninie jasno w oczy patrzeć i z przerażeniem czuł, jak Nina swoje jasnowidzące oczy coraz głębiej w niego zapuszczała: niezadługo przejrzy całą tajemnicę, nawet od nikogo o niej dowiedzieć się nie potrzebuje.

I ta myśl, że Ninę może już niezadługo utraci, całkiem go pętała, paraliżowała mu mózg, rozlała się zabójczą trucizną w jego

krwi, rozpanoszyła się tak wszechwładnie w nim całym, że tylko z największym wysiłkiem był w stanie pracować, o czem innem pomyśleć, opamiętać się.

Ustawicznie popadał w roztargnienie, w głęboką zadumę i coraz boleśniej odczuwał teraz już częściej powtarzające się stany rozdwojenia.

I coraz częściej patrzył w groźne, złowrogie oczy Górskiego, trupa Łusi, wyciągniętego przez rybaków na brzeg — z zajadłą zaciekłością szydziła Ada — rycerskim snem bohaterskich przodków śnił Poraj — straszyła go nieludzkim grymasem wykrzywiona maska Kotowicza: zrywał się wtedy, wylatywał na ulicę, błądził po pustych zaułkach i znowu wracał, by się oszołomić pracą i straszne widma z przed oczu odegnać.

Schudł, wyżółkł, stawał się opryskliwym i nieznośnym, to znowu popadł w drugą ostateczność: kajał się przed Niną, stopy jej i suknie całował, chciał z jej oczu wyczytać każde życzenie, ale Nina nie miała życzeń; chciałby ją na ręce pochwycić, ale nie śmiał, bo lękał się, że ją skala i splugawi, a z jej coraz więcej przeźroczystej twarzy, coraz więcej jasnowidzące oczy wświecały się z bolesnym smutkiem w jego duszę.

A co najgorsze: stary Bielecki już go nie

podtrzymywał, całkiem go już zdawał się opuścić. W miarę, jak jego fizyczne siły wskutek tej obłędnej dusznej rozterki wątlały i podupadały, coraz rzadziej się odzywał.

Często go wołał na ratunek, ale nigdy w czas nie nadchodził: przeciwnie nawiedzał go wtedy, gdy Bielecki chwytał w objęcia Ninę i w rozpacznym szale miłosnym pragnął o wszystkiem zapomnieć, wtedy bluzgał najohydniejszym cynizmem, wtedy najpotworniejsze rady do uszu mu szeptał.

Chwytała go wtedy obłąkańcza wściekłość na panią Tańską, a myśl, że będzie jutro musiał do niej pójść, lub ją w redakcyi przyjąć, napełniała go lękiem, czy zdoła jeszcze tę niecną, hańbiącą komedyę grać dalej.

Czyżbyś ty — nacierał wtedy stary — istotnie nie miał sposobu, by się pani Leontyny pozbyć? Umiałeś przecież dać sobie rady z Łusią, a tu tchórzysz? Tak już silnie nadgryzła miłość korzenie twego bytu?! Bo przecież się nie łudzisz, że ta miłość, która dla innego byłaby wniebowstąpieniem, odrodczą mocą, anteuszową siłą — dla ciebie jest upadkiem i osłabieniem i uśpieniem twej czujności — załatw się czemprędzej — nalegał stary — przecież istnieje tysiące sposobów, którymi tego śmiesznego pawia uprzątnąć możesz i to tak delikat-

nie i tak spokojniutko, niewiedząco, jak się Ady pozbyłeś.

To cię kosztuje jeden, dwa dni zimnego, spokojnego namysłu, a potem już będziesz wolny i z Niną szczęśliwy.

W tych chwilach Bielecki zieleniał trupią bladością, ręce jego latały, jak w febrze, oczy się nadmiernie rozwierały, jakby się w nich obłęd już zagościł.

Ale cały gniew, rozterkę, rozpaczne szamotanie się przygłuszały zwycięskie fanfary — bliższe, coraz bliższe, rozbrzmiewały mu w uszach, a w ryku trąb, przeraźliwym świstaniu piszczałek, dudnieniu bębnów uspakajał się, tężał, rósł, upajał się, że wrogów u nóg swoich zwalił, upijał się tryumfem, jak haszyszem.

Wreszcie nadszedł dzień zwycięstwa.

Ukazanie się tak dawno zapowiadanego numeru »Romowe« było jedną wielką senzacyą dnia.

W niesłychanie wytwornej szacie, o niezmiernie bogatej i wyborowej treści, mógł ten gruby, bo potrójnej prawie objętości zeszyt służyć nietylko za wzór, ale nawet niedościgły prawie ideał drukarskiego sztukmistrzowstwa.

»Romowe« przerastało o całe niebo wszystko, co się dotychczas na rynku księgarskim w Polsce w tym rodzaju ukazało, a z zagranicznymi

wydawnictwami nietylko, że mogło się śmiało mierzyć, ale nawet nie wiedziano o takiem, któreby mu dorównać mogło.

Słowo wstępne, pisane przez Bieleckiego po długich konferencyach z Gwontem, ale ani Gwont, ani Bielecki nie wiedzieli, komu się prawo autorskie przynależy, tak równomiernie pracowali i tak się ze sobą zrośli, było arcydziełem w swojem rodzaju. Jasno, z obuchem przekonywującą siłą, natchnionym rozmachem wyłuszczył Bielecki zadania kultury narodowej i obowiązki społeczeństwa wobec sztuki polskiej, z taką proroczą mocą wskazywał na niedalekie już horyzonty wawrzynowej przyszłości, kiedy Polska przez panowanie w Duchu nad narodami odniesie najszczytniejsze zwycięstwo, jakiem się dotychczas pochlubić jakiś naród może, z taką wizyjną siłą odsłaniał perspektywy, w których ukazywał Polskę, odmładzającą i odradzającą umysłowość całej Europy, Polskę, otoczoną podziwem i szacunkiem, tryumfującą nie zdobyczami politycznemi, ale temi, które nie przemijają i po wszelką wieczność trwają, unieśmiertelniają. Tak to wszystko promieniało ogniem zapału i naprzód rwącą się siłą dojrzałej męskości, że nietylko porywało improwizacyjnem prawie natchnieniem, ale przeko-

nywało i przemocą do duszy czytelnika, jakby jakiś nieomylny dogmat się wdzierało.

W długim szeregu następowały po sobie utwory powieściowe, poematy, nowele, filozoficzne artykuły, a wszystko zdawało się potwierdzać zapewnienie Bieleckiego, że już niezadługo umysłowość polska wszechwładnie zapanuje nad każdą inną, a panowanie Polski w Duchu już się rozpoczęło.

Najjędrniejsze, najwięcej żywotne i bogatą przyszłość obiecujące twórcze siły Polski współzawodniczyły tu w szlachetnej rywalizacyi. Bielecki chciał światu pokazać całokształt duszy polskiej w całej jej ogromnej różnorodności i bogactwie.

Mnóstwo akwafort, litografii, barwnych reprodukcyi, akwarel, fotografii, rzeźb, bogato były rozrzucone w całym zeszycie, a wszystko cenne i pierwszorzędnej wartości.

Rozprawa Bieleckiego o reformie teatru miała ogromne znaczenie aktualne, a była tak świetnie napisana, z taką gruntowną znajomością nietylko swojskiej sceny, ale i zagranicznej — wszystkie próby reformy, podjęte zagranicą, podane były tak gruntownej i rzeczowej krytyce, wywody Bieleckiego tak olśniewały nowymi i nawskróś oryginalnymi poglądami, że nawet najwięcej oporni ulegli niepomiernej sile sugestywnej, z jaką Bielecki projekt

swój reformy przedstawił, że nikt już nie wątpił, iż w najbliższym czasie dyrekcyę, mocno zaprzepaszczonego i niedołężnem kierownictwem zdemoralizowanego, teatru obejmie.

Szczególną uwagę zwróciły również dwie bogato przyozdobione stronnice inicyałami i ornamentami, wzorowanemi na miniaturach rzadkich francuskich inkunabułów, a na tych dwóch stronnicach widniały pierwiosnki muzy pani Leontyny Tańskiej: trzy poemaciki, tchnące wykwintnym parnasizmem francuskim, wzorowane było co prawda na de Heredia i Moreas'ie, pieszczotliwie wycyzelowane, ale miały mimo tych wyraźnych pierwowzorów blask swojskiego słońca.

Tem większą uwagę zwrócono na te poematy, bo Bielecki wskazał w osobnej wzmiance na ich specyalną wartość artystyczną, zapowiedział ukazanie się niebawem w bibliotece »Romowe« całego tomiku, z którego teraz parę perełek wyjął.

Nad cyzelowaniem tych poemacików i napisaniem onej gorącej wzmianki, przed którą jego pióro się wzdrygało, stracił Bielecki parę godzin: ciekaw był tylko, czy pani Leontyna swoje poematy w tej całkiem zmienionej redakcyi zdoła rozpoznać.

Ale istotną senzacyą, niezwykłą ucztą dla kawiarnianych bywalców, geniuszów bez teki,

długowłosych adeptów sztuki, dla wszystkich Chrześniaków i Zieleniaków, jakich Bielecki dawniej tuzinami hodował, »clou« dla rozplotkowanej gawiedzi, była odpowiedź, jaką Gajecki dał sobie samemu na pamflet, pomieszczony w »Ex Oriente«.

Wysokie honoraryum, jakie Bielecki Gajeckiemu przyrzekł, a co najważniejsze wypłacił, podziałało tak, że Gajecki sam siebie zdystansował.

Pamflet w »Ex Oriencie« był bladym wobec tego, który się teraz w »Romowe« pojawił.

To już były niesłychane fajerwerki zabójczego dowcipu, fontanny szalonej, już na całe życie ośmieszającej satyry, kpin, wydrwiwań, miażdżące parodye, karykatury, godne ołówka jakiegoś Daumière'a, tylko jeszcze złośliwsze, jeszcze więcej ironizująco-dyabelskie.

Gdy Okaima to przeczytał, zapienił się z wściekłości, trząsł się, jak w febrze, a gdy ochłonął, zrozumiał, że to jest unicestwienie — śmierć, gorsza nad każdą inną, bo uczuł się pod pręgierzem nietylko drwin, ale i niesławy i hańby i szantażu, że niechlujnym pamfletem chciał się pomścić na Bieleckim za wyrzucenie go sromotne z redakcyi »Romowe«.

Gajecki powyciągał wszystkie rejestra swej genialnej, ale nawskróś spodlonej duszy —

grzmiał oburzeniem, gryzł, kąsał jadowitymi dowcipami, do naga rozbierał Okaimę i cały jego sztab, harcował wokół nich i walił i smagał i chłostał do krwi. W aluzyach aż nadto przejrzystych, w obsłonkach, parabolach i hyperbolach odsłonił Koczora, a najwięcej i najzłośliwiej rzucił się na Reginę. Tej już całkiem nie szczędził, a potem cisnął ją publice na połknięcie.

Ale podczas, gdy Okaima w ciężkiej i przykrej zadumie zdawał sobie dokładnie sprawę, że z takich ciosów już się wylizać nie zdoła, postawa panny Reginy była coraz butniejsza i coraz więcej pewną siebie.

Oczy jej zezujące jarzyły się zaciekłą zemstą, usta wykrzywiał piekielnie zły, piekłem nienawiści dyszący uśmiech i z tym to uśmiechem obrzydliwych, szerokich ust i z tym spojrzeniem kosem spotkał się Bielecki, gdy pod wieczór znużony i wyczerpany pracą zaszedł do Schütta, nie wiedział nawet dlaczego, bo nawet nie z przyzwyczajenia: ostatni raz był tu przed miesiącem.

Bielecki nie raczył zwrócić uwagi na Reginę, której twarz była teraz rozluniona cała pewnością i skutecznością blizkiej pomsty — a straszną miała być jej zemsta — odwrócił się, drgnął nagle, chciał się cofnąć, ale zawstydził się, że tchórzył i poszedł do stolika w od-

ległym kącie, przy którym siedział Borsuk i z zacietrzewieniem czytał pamflet Gajeckiego z przed miesiąca w »Ex Oriencie«.

W chorobliwie przeczulonej duszy Borsuka te wszystkie aluzye do Łusi, Ady, Porąja poczęły przybierać realne kształty — to, co w nim żyło w przeczuciu, w mglistej pomroce nieświadomości jęło się uplastyczniać, wizye i majaczenia jego chorego już mózgu podczas bezsennych nocy wylęgłe, nabierały rzeczywistego życia.

Stosunek Bieleckiego do Ady, podejrzenie, że Ada podpaliła szopę z jego obrazami, że Bielecki do tej haniebnej zbrodni musiał też przyłożyć rękę — wszystkie te kombinacye, poplątane, niejasne, których się bał do końca rozwijać, stawały się teraz nietylko prawdopodobnemi, ale już pewnikami.

I z przebiegłością już kiełkującego obłędu rozpoczął na nowo przegląd wszystkich swych podejrzeń, przypuszczeń, wniosków, a każde zdanie jadowitego pamfletu Gajeckiego potwierdzało to, co uważał za chore majaczenie rozpacznej niemocy w sobie, utrwalało i podnosiło do sił absolutnego przeświadczenia.

Jakby coś Bieleckiego do podłogi przykuło.

Nie mógł kroku postąpić i patrzył w Borsuka, jak w jakieś widmo.

Borsuk całkiem go nie widział, oczy jego

jarzyły się upiornym blaskiem obłędu, usta wykrzywiały się złowrogim śmiechem, a co chwila wykrzykiwał głucho: Aha! teraz rozumiem! Tak — tak! to ona, ta kurwa apokaliptyczna...

Bielecki zatrząsł się głuchym, podziemnym lękiem — posłyszał łoskot, huk w swoim mózgu, przed jego oczyma zaczęły się ogniste skry sypać — ale zdołał przełamać siłę, która mu ruszyć się nie pozwalała i siadł obok Borsuka.

— Dobry wieczór — powiedział i uśmiechnął się blado.

Borsuk spojrzał na niego, chwilę zdawał się go nie poznawać, a nagle zerwał się, obrzucił Bieleckiego wściekłem, złowrogiem spojrzeniem, rzucił półrublówkę na stół dla kelnera, splunął z pogardą przed Bieleckim i pędem prawie wybiegł z kawiarni.

I Bielecki się zerwał, odruchowo chciał Borsuka zatrzymać, ale spotkał się tylko z jadowitym zezem Reginy i bezczelnym, tryumfującym uśmiechem jej szerokich, wyuzdanych ust.

Bielecki chwilę bacznie jej się przypatrywał, ziewnął, siadł przy oknie i wpatrywał się w wyciągnięte sznury deszczu, który w powietrzu trzepał i lodowatemi igłami już samym swym widokiem skórę mrozem przeszy-

wał. Patrzył i patrzył, ale nic nie widział, tak skupienie był w siebie wsłuchany.

Ktoś go trącił — obejrzał się, jakby się ze snu budził.

— Coś tak się zamyślił? — pytał Zieleniak, który już od dłuższego czasu naokół Bieleckiego się kręcił.

— Zresztą nie dziw — Zieleniak przysiadł się do Bieleckiego — dziś się rozstrzygają twoje losy dyrektorskie.

— Aha! Bielecki sobie uprzytomnił, że już przed dwoma tygodniami wysłał swoją rozprawkę o »reformie teatru« do komisyi teatralnej, oraz swoją ofertę. — To już dziś?

— To nic nie wiesz o tem? Właśnie na dziś zwołano tajne posiedzenie i dziś decyzya zapadnie — i to lada chwila.

Zieleniak patrzył niedowierzająco na Bieleckiego.

— Ty rzeczywiście o tem nie wiesz?

— W tej chwili zapomniałem o tem — tłomaczył się Bielecki, byle coś powiedzieć, bo z przerażeniem konstatował w sobie już od dłuższego czasu fakt wprost patologicznego roztargnienia.

— Czyś nie zauważył — indagował Zieleniak, że kawiarnie przepełnione, że telefon w oblężeniu? Wszystko to wyczekuje ostatecznego rezultatu.

— No, to i my tu zaczekamy uśmiechnął się Bielecki i uczuł nagłe z wielką przykrością, że wszystkich oczy były na niego z ordynarną natarczywością zwrócone.

Zawołał kelnera — kazał podać dwie flaszki absyntu i znowu mimowoli spotkał się z bezczelnie tryumfującem spojrzeniem Reginy.

Tym razem zbudziła się w Bieleckim wściekła, nienawistna złość: Czekaj — psiakrew — w wolnej chwili pomyślę o tem, jakby ci twoje ślepia w dwa słupy soli przemienić. Grozisz mi twoimi ślepiami tryumfujesz, dajesz do poznania, że moje tajemnice znasz — już ja się z tobą uporam — a będę się musiał pospieszyć, pomyślał, a w duszy jego poczęły się rodzić jakieś niezłomne postanowienia.

Nagle zrobił się niezwykły ruch w kawiarni.

Jakiś pan wybiegł z budki telefonicznej, wskoczył na krzesło i tubalnym głosem ryknął na całą kawiarnię:

— W tej chwili na posiedzeniu komisyi teatralnej został wybrany na dyrektora teatru większością głosów pan Henryk Bielecki.

Vivat, crescat et floreat!

Frenetyczne oklaski rozległy się po kawiarni.

— Niech żyje Bielecki.

Czego oni się tak drą? pomyślał Bielecki

z niesmakiem i równocześnie skłonił się uprzejmie w stronę publiczności.

— Niech żyje i jeszcze raz niech żyje!

Delikatny słuch Bieleckiego wyłowił w tym grzmiącym okrzyku piskliwy dyszkant Reginy:

— Niech żyje Górski i pani Tańska!

Kwicz — kwicz! pomyślał Bielecki — użyj sobie — niezadługo kwiczyć przestaniesz. Bielecki zaciął zęby — już ja ci urządzę bal, jadowita żmijo, pomyślał, ja już będę umiał na tobie Ninę pomścić.

Do kawiarni wpadł zadyszany woźny teatralny i podbiegł do Bieleckiego:

— Wielmożny panie — wołał już zdaleka — szukałem pana po całem mieście — tam w foyer teatru zgromadzony cały personal oczekuje wielmożnego pana.

Bielecki się nie spieszył.

— Powiedz, że zaraz przyjdę.

Dał mu rubla napiwku i spokojnie pił dalej absynt.

Niech się nauczą czekać, pomyślał — muszą już na wstępie odczuć, kto jest panem, ale równocześnie uśmiechnął się, bo przeleciało mu przez głowę, że punktualność jest grzecznością królów, więc pożegnał się z Zieleniakiem, skłonił się przy odejściu raz jeszcze publiczności, która go jeszcze gorętszemi okla-

skami żegnała, wyszedł z kawiarni i skierował się w stronę teatru.

A im więcej się zbliżał ku przybytkowi, w którym już teraz wszechwładnie miał jakiś czas panować, tem wyraźniej uczuwał napływ sił, żelaznej woli, nieodwołalnych postanowień: jakby jakieś nowe, nieprzeczuwalne, ożywcze i odrodcze źródło nowej, młodzieńczej, nieokiełzanej, żadnych zapór, ani tam nieznającej mocy w nim się otworzyło.

Szedł sprężystym i zwycięskim krokiem — dusza mu rosła na myśl, że zwyciężył, ale twarz jego niczem nie zdradzała wewnętrznego wzburzenia: przeciwnie zdała się coraz więcej stygnąć, obojętnieć, była prawie surową.

Gdy się ukazał w foyer, wszystko ku niemu się poczęło cisnąć z powinszowaniami, doskonale odegraną farsą na temat ogólnej radości, uwielbienia, entuzyazmu, że dane im zostało wszystkie swe siły wytężyć pod dyrekcyą ubóstwianego mistrza.

Przedstawicielem całego personalu był stary aktor, w którego chytrych oczach Bielecki kpiący śmiech, a w patetycznej, do niemożliwości napuszonej przemowie, wyczuł jak najoczywistsze drwiny.

Przerwał nagle cały potok bezsensowych frazesów i powiedział sucho:

— Nie na to przyszedłem, by łykać słody-

cze i marcepany, bo ich nie lubię. Po to się na wasze zawołanie tu nie stawiłem...

Wszyscy byli skonfundowani — jakiś mroźny wiatr powiał przez foyer.

Stary aktor wybałuszył swoje złe, teraz wściekłą złością nabiegłe oczy.

Ten młokos śmiał mu przerywać: Jemu?!

— Czułych komedyi przed sobą grać nie potrzebujemy — ciągnął Bielecki zimnym, lodowatym głosem — wiem dobrze, że w głębi duszy odnosicie się do mnie z nieufnością, a może i niechęcią, bo z tem uczuciem człowiek od początku świata do nowej władzy się odnosi, ja zaś nie taję, że jestem całkiem świadom wszystkich intryg, podstępu i zawiści i wszystkiego tego, co mi pracę moją bardzo uciążliwą robić będzie.

— Dyktatora zachciało mu się grać, pomyślał ktoś tak głośno, że Bielecki to posłyszał.

— Nie śni mi się grać roli dyktatora, jak to któryś z panów zauważył, ale będę istotnie dyrektorem. A, jeżeli na wasze zaproszenie się tu stawiłem, to nie na to, byśmy sobie wzajem dusery prawili, ale aby ściśle określić wasze obowiązki wobec mnie i moje wobec was.

Z wszystkich twarzy maski pozlatywały — już się nie silono na objawy radości i entuzyazmu — wszyscy poczuli żelazną rękę Bieleckiego i z trwogą i lękiem patrzyli w przy-

szłość, w której widniał jak najwyraźniej koniec dotychczasowej gospodarki, wygody, próżniactwa, warcholstwa i bezcelowego wałęsania się z kąta w kąt — koniec protekcyi, intrygom, podjudzaniu: prawdziwy sądny dzień!

A w miarę, jak Bielecki w jędrnych, lapidarnych słowach określał zadanie aktora, zadanie dyrektora, który w tym wypadku będzie zarazem reżyserem, mroczniały twarze, garbiły się głuchym gniewem postacie starych, a bezużytecznych aktorów, hardo i buńczucznie podnosili głowy młodzi, a gdy Bielecki skończył zapowiedzią, że od dziś obejmuje teatr pod swoją wyłączną władzę, której dla żadnych względów, ani też przez nikogo ukrócić sobie nie pozwoli, zaległa głucha, martwa cisza.

— A teraz żegnam panów — od jutra rozpoczniemy wspólną pracę, a mam niepłonną nadzieję: wydajną i owocną.

Skłonił się i wyszedł, a za nim wysunęła się niepostrzeżenie Nastka i przychwyciła go w kurytarzu.

— Panie dyrektorze — mistrzu — Nastka trzęsła się ze wzruszenia.

— Dla ciebie jestem, jak zawsze »ty«, a nie żadnym dyrektorem, boś rzeczywiście wielką artystką.

Zaciągnęła go do swojej garderoby.

— Coś ty nieszczęsny człowieku zrobił?

— To, com zrobić musiał, bo inaczej całą tę budę możnaby z daleko większą korzyścią przemienić na szpital dla wysłużonych emerytów, histeryzujących aktorek, na obłęd wielkości chorujących nieużytków, ale dajmy temu spokój — cieszę się, że cię widzę, a dawnośmy się nie widzieli.

Nastka patrzyła na niego z podziwem.

— Tyś urodzony możnowładca...

Bielecki uśmiechnął się i zapalił papierosa.

— Co za gest wielkopański, co za mina, postawa! ani jednym życzliwym uśmiechem nie raczył okrasić swojej surowej perory... — nadsłuchiwała.

Głuchy pomruk dolatywał aż do garderoby Nastki: to odgłosy niesłychanie burzliwego sejmu, do żywego w ich godności podeptanych, przez smarkacza znieważonych, w gruncie rzeczy przed żelazną ręką drżących aktorów.

— Słyszysz? — pytała Nastka.

— Słyszę — uśmiechnął się Bielecki — tak musiałem do nich przemówić — mówił jak do siebie — nie smarować im miodu naokoło gęb, nie bawić się w androny, dykteryjki i głupie frazesy, bo by mnie wyśmiali za plecami i niedługo byłoby tu mego wiekowania. Trzeba było ich uprzedzić, zaczemby zdo-

łali mnie za łeb pochwycić, trzeba było im trochę karku nagiąć.

Nastka patrzyła z coraz większym zdumieniem i podziwem na Bieleckiego i kręciła niedowierzająco głową.

— Ktoby to myślał, że to ten sam słodki, wytworny Henio, co to tych samych aktorów, którym dzisiaj takie gorzkie nauki dawał, jeszcze przed rokiem spoił likierami i szampanem! Pamiętasz na owej wielkiej uczcie, którą nam szlachetny pan Ligęza fundował.

— Aha! — oczy Bieleckiego się zamgliły — pamiętam — a co się z nim stało?

— Daj spokój: to czarna plama na mojem życiu.

— No! cóż takiego?

— Właściwie tyś wszystkiemu winien — nieraz brała mnie taka pasya na ciebie, że gdyby nie myśl o twojej Ninie, do której czuję dziwną słabość, tobym ci już dawno była oczy wydrapała.

— A to dlaczego?

— Wstrętne mi to wszystko było, aleś ty mnie umiał tak omotać i oszołomić, żem uwierzyła, iż wszystko, co robię, to dla sztuki, żem wszystkie skrupuły w sobie zwalczyła, przemogła, zdusiła... ale to był strasznie przykry czas.

— Wyobrażam sobie — powiedział Bie-

lecki obojętnie — jednej tylko rzeczy nie bierzesz w rachubę — tego właśnie, że twój talent ogromnie się w tym czasie wzmógł.

Miałaś czas i spokój do pracy i do intenzywnego przerobienia swoich ról. Żyłaś w zbytku, nie potrzebowałaś uciekać przed wierzycielami, kryć się pod obcemi nazwiskami na poddasza, nie potrzebowałaś się lękać, że ci najlepszą suknię zafantują, ani też drżeć z przerażenia, że modystka na pół godziny przed spektaklem kostyumu ci nie wyda, bo nie będziesz miała czem zapłacić — o tem wszystkiem zapomniałaś — ocaliłaś się dla sztuki, a to coś z człowieka w sobie dla niej poświęciła, gadania nie warte. Pewnoś w jego objęciach recytowała sobie role najbliższego dramatu — wstał i zaśmiał się cynicznie.

— Nie! o tobie myślałam — powiedziała pół żartem, pół seryo.

Spojrzał na nią filuternie.

— Zostaniesz mi zawsze blizką przyjaciółką i jako taką, poza twoim wielkim artyzmem, cenię cię.

Wciągnął rękawiczki.

— Idziesz już?

— Przecież dość często będziemy się spotykali.

— To prawda — ale ty zawsze zajdziesz do mnie na pogawędkę.

— Oczywiście. Wobec ciebie wszelkie podejrzenia protekcyi i nepotyzmu są nonsensem — więc z góry już złe gęby zamalowane. Chciał już wyjść, ale się zawahał.

— A co się z Ligęzą stało?

— Uciekłam od niego.

— Uciekłaś?

— Stawał się szorstki i ordynarny. Wyrzucał mi, że się dla mnie zrujnował, zboże na pniu sprzedał, lasy wyciął — cisnęłam mu wszystkie klejnoty pod nogi — począł przepraszać, tłomaczyć się — ale ja spakowałam się i byłam szczęśliwa, jak go już nie widziałam więcej — i tu wróciłam.

— On istotnie zrujnowany?

— Zdaje się.

— Nie żal ci go?

— Nie! — powiedziała Nastka twardo.

Jednego więcej trzeba było przez pokład wyrzucić, by zbytnio barki nie obciążał i cóż z tego? jeden więcej, jeden mniej — cóż to znaczy? niepotrzebny balast trzeba wyrzucać, bo inaczej barka pójdzie na dno, mimo, że już latarnia morska przyświeca zdala u wjazdu do portu — Bielecki szedł do domu, cały zatopiony w zimnych jak stal i jak stal nieugiętych myślach i postanowieniach do domu.

Zbyt kosztowny ładunek wiozę w mej barce, zbyt drogocenny skarb w niej ukryłem,

bym się miał na chwilę wahać, bym mógł już, bliski brzegu, zezwolić na to, by z jednej strony Regina, z drugiej pani Leontyna mi barkę przeważyły, która tak, czy tak, już lada chwila rozbiciem grozi...

— Do pomocy Stary! Ostatni raz!

I z przerażeniem ujrzał nagle istotnie jakiegoś człowieka, który tuż przed nim z ciemności się wyłonił.

Obydwaj odruchowo na moment przystanęli.

— Rajfur! — wrzasnął tamten zdławionym głosem do ucha Bieleckiego i szybko go minął.

Zaczem Bielecki się zdołał spostrzedz, był już na zakręcie zaułka, ale w kręgu latarni na mgnienie oka rozpoznał bolesnym grymasem wykrzywioną twarz Ligęzy.

Porwał się, by go dogonić, ale w tym momencie przystanął, machnął ręką:

— To było wysoce niemiłe! — zakonkludował tylko.

Teraz dopiero uczuł, że wichura zmarzniętym deszczem obsiekiwała mu twarz, że cały był doszczętnie przemoknięty i drżał z przenikliwego, mokrego zimna.

Tylko jeszcze resztę balastu poprzez pokład, a wtedy słońce zaświeci i wiosna się rozkwieci.

Do pomocy Stary! raz jeden jeszcze ostatni!

XV.

Dzień inauguracyjny nowego sezonu teatralnego pod egidą Bieleckiego, mający się rozpocząć galowem przedstawieniem i następnie festynem, wydanym na cześć nowego dyrektora przez najpoważniejsze obywatelstwo, mecenasów sztuki, artystów, reprezentujących tak sztuki piękne, jak i sztukę dramatyczną, ten niezwykłą senzacyę w całym mieście budzący dzień, uznała Regina za najodpowiedniejszy, by pani Leontynie Tańskiej pierwszą wizytę złożyć.

Ubrała się bardzo starannie, zaopatrzyła w kartę legitymacyjną delegatki z poręki klubu niewiast polskich — przez Koczora, który miał teraz rozległe stosunki między dramatycznymi artystami, z którymi godzinami wysiadywał w kawiarni i zbożnie i cierpliwie sprawował krecią robotę i zakładał ku wielkiej uciesze tychże artystów miny pod Bieleckiego — upewniła się, że Bielecki przez cały ten gorący

dzień nie ruszy się z teatru, bo ani na chwilę opuścić go nie może. Nie trudno jej było również pożyczyć od jednego starego aktora dziesięć rubli, gdy mu przebąknęła, że te pieniądze potrzebne w tym celu, by Bieleckiemu właśnie dzisiaj psikusa wyrządzić, wsiadła do automobilu w tem słusznem mniemaniu, że ludzi przyjeżdżających automobilem chętniej się do domu wpuszcza, aniżeli takich, którzy pieszo i z zabłoconymi bucikami przychodzą i kazała się popołudniu zawieść do bogatej pani Tańskiej.

Kazała szoferowi czekać, zadzwoniła do furtki ogrodowej, lokaj stanął niedbale na tarasie pałacyku — ale — Regina nie pomyliła się — gdy ujrzał automobil, wybiegł na schody, truchtem przeleciał aleję i z głębokim ukłonem puścił Reginę naprzód.

— Pani Tańska w domu?

— Wielmożna pani jest u siebie — kogo mam zaszczyt zameldować?

Regina złożyła na srebrnej tacy swoją kartę wizytową, oraz legitymacyę z klubu niewiast polskich — lokaj wyszedł, Regina opadła w fotelu bogatej poczekalni.

— Wielmożna pani prosi panią, by zechciała chwilkę zaczekać.

— Dobrze.

Po wyjściu lokaja Regina poczęła się roz-

glądać po niewielkim, ale z zdumiewającym przepychem i bogactwem urządzonym saloniku.

Regina, która poza studencką mansardą i ohydną, staromodną tandetą przystrojonych ubikacyi nic nie widziała, czuła się nagle tem bogactwem i przepychem onieśmieloną. Serce jej niespokojnie zabiło i chwilę drżąco załopotało:

A może on już tej pani coś o niej mówił?

Może jej wszystko opowiada, co się w redakcyi »Romowe« dzieje — ależ nie! musiałby jej wtedy i o Ninie coś napomknąć.

Uspokoiła się: coraz zaciętszy stawał się wyraz jej ciemnej twarzy i coraz gorętsza nienawiść dyszała w jej sercu.

Czekaj, pomyślała zaciekle, odpłacisz ty mi za ten srom, za tę krwawą zniewagę, jakąś mi wyrządził, gdyś mnie z redakcyi przepędzał — ha, ha — tobie się zdawało, że ci to płazem puszczę? O! boś nie znał Reginy — i ty jej nie znałaś słodka gołębiczko: sama sobie dołek wykopałaś, skarżąc się przed nim na mnie — pewno się wtedy tego nie spodziewałaś, że cię teraz samą w ten dołek włożę.

Rozglądała się coraz baczniej, ale na nic uwagi skupić nie zdołała, tak cała jej myśl była pochłonięta uczuciem zemsty i drżącą niepewnością, czy się jej zemsta uda.

Kotara się rozsunęła: ujrzała przed sobą

panią Tańską, strojną w bogate, haftowane, jedwabne, prawdziwie japońskie kimono; wstała: obie podeszły ku sobie.

— Bardzo mi miło — mówiła pani Leontyna z ujmującym uśmiechem — czem pani mogę służyć?

Obrzuciły się błyskawicznym spojrzeniem, z jaką brzydka kobieta zazdrości drugiej urody, a tamta lituje się radośnie nad brzydotą upośledzonej siostry.

— Ależ proszę, niech pani siada.

Siadły w fotelikach naprzeciw siebie.

Regina wywołała na swoje szerokie, grube i od mrozu popękane wargi uśmiech, który miał być czarującym, a silniej jeszcze uwydatnił jej brzydotę.

— Zostałam wydelegowana przez klub kobiet polskich, którego jestem sekretarką, nietylko, jako do wybitnej i możnej kobiety, ale i w równej mierze do wysoce utalentowanej artystki.

— Ależ o czem pani mówi? Tę parę drobnych poemacików, które się w »Romowe« ukazały — nie warto, by o nich wspominać.

— Przeciwnie, Regina siliła się na jak najszczersze akcenty, bo w głębi duszy dławiła zły śmiech i nurtującą ją wściekłość, która ją za każdym razem opadała, gdy ujrzała ładną kobietę — przeciwnie: świadczą o tak niezwy-

kłej dojrzałości artystycznej, jaką rzadko u kobiet się spotyka — mam pewne prawo o tem mówić, bo i ja jestem współpracowniczką »Romowe«.

Pani Leontyna udawała rozkoszne zdumienie. To rzeczywiście te moje drobnostki zwróciły uwagę?

Uczuła miłe łechtanie wzdłuż swoich nerwów.

— Otóż klub kobiet polskich, którego honorowym członkiem była Konopnicka...

— A! — powiedziała pani Leontyna i uczuła nagle szacunek dla tego klubu.

— A który często odwiedzają najwybitniejsze siły z świata artystycznego, polecił mi, abym gorąco panią prosiła, by zechciała na najbliższym raucie parę swoich utworów z manuskryptu przeczytać.

— Ależ droga pani, przecież ja całkiem nowicyuszka w świecie literackim.

— Tem lepiej dla nas, bo będziemy mieli tę głęboką satysfakcyę, że właśnie w naszem gronie panią lepiej i bliżej poznamy, a dla pani będzie ułatwieniem, bo w ten sposób zyska pani najprostszą drogę do sławy i uznania.

Propozycya Reginy niezmiernie pani Leontynie podchlebiła: z coraz większą uprzejmością i życzliwością patrzyła na nią, ale jeszcze się wahała.

Regina czytała jej myśli.

— W imieniu klubu kobiet gorąco panią proszę — pani nawet niewolno nam tej prośby odmówić — my kobiety powinnyśmy sobie za obowiązek uważać, wzajemnie sobie dopomagać i wspierać się, by społeczeństwu pokazać, na jak wysokim poziomie umysłowość nasza stoi i do czegośmy dojrzały.

— A więc dobrze — pani Leontyna grała prześlicznie skromne zakłopotanie — ja twoich pochwał nie potrzebuję, pomyślała przytem z dumą, kto inny, jak ty, na mój talent uwagę zwrócił.

Co za głupi, próżny, śmieszny babsztyk, pomyślała Regina, coraz więcej poirytowana wdziękiem pani Leontyny.

— Zgoda? — pytała Regina natarczywie, rozpromieniona szczęśliwem załatwieniem pierwszej części swojej misyi.

— Zgoda! — podały sobie bardzo przyjaźnie ręce.

— I jeszcze jedną prośbę mam do pani...

— Ależ z przyjemnością spełnię, o ile będę w stanie.

— Dziś jest wieczór inauguracyjny nowego sezonu pod nowym dyrektorem, panem Bieleckim.

— Wiem o tem, wiem — więc cóż? — pytała pani Leontyna zaciekawiona.

— Pani może jednakowoż nie wie, jak wybitną rolę odegrał p. Bielecki w ruchu kobiecym?

— A! — przez twarz pani Leontyny przeleciał lekki rumieniec — ciekawam...

— Wprawdzie nie bezpośrednio — Regina gwałtem dławiła w sobie nienawiść, a że już nie była w stanie, mówiąc o Bieleckim, wywołać słodkiego uśmiechu na usta, więc ratowała się patetycznym tonem — bezpośrednio byłby mógł pan Bielecki naszej sprawie zaszkodzić — powiedziała to z naciskiem, ale chybiła celu, bo pani Leontyna tak była ciekawa, co tu Bielecki ma do czynienia, że tylko czekała końca.

— Za to pośrednio poniósł ogromne zasługi naokoło naszych dążeń i usiłowań. Żaden artysta nie postawił na takim piedestale nowożytnej kobiety z wszystkiemi jej dążeniami i wysiłkami, by zdobyć sobie nową, niezależną pozycyę w społeczeństwie, jak właśnie Bielecki w swoich utworach to uczynił. Nikt skuteczniej nie pomagał nam do rozkuwania tyranicznych kajdan, jakimi nas dotychczas pętano, nikt skuteczniejszej propagandy dla naszego ruchu dotychczas nie zrobił.

Wolna kobieta w wolnym związku! to jego dewiza — Regina spojrzała znacząco na panią Leontynę.

Ale i tym razem pani Tańska nie zrozumiała, do czego Regina zmierza.

Co też to za tępy, zakuty łeb! pomyślała Regina wściekła, że żaden jej strzał zatruty nie trafia.

— Więc co? — zapytała pani Leontyna w najwyższym stopniu zaciekawiona.

— Otóż na ostatniem posiedzeniu klubu uradziłyśmy, by w tym dla całej Polski, jak i dla pana Bieleckiego uroczystym dniu, urządzić mu owacyę kwiatową, by mu przynajmniej w ten sposób naszą wdzięczność okazać.

— Ależ to wspaniała myśl! — Pani Leontyna była tym pomysłem zachwycona i cała pokraśniała.

— Złożyłyśmy składkę między sobą, ale ponieważ kieszenie, wyzwalających się pracą z pod jarzma społecznego kobiet, są niebardzo zasobne...

— Ależ — przerwała gorąco pani Leontyna, niech mi panie pozwolą przyłączyć się do ich grona — i dla mnie pan Bielecki jest w równej mierze wielkim artystą, jak dla pani — zaszczyt mi to przynosi, że panie się do mnie zwróciły — jaką sumą służyć mogę? zarumieniła się, bo teraz dopiero zmiarkowała, iż wobec jakiejś obcej osoby musi być powściągliwą z swymi gorącymi zachwytami dla Bieleckiego.

— Jaka suma jest jeszcze potrzebną?

— By owacya mogła być godną nas, wyzwalających się kobiet, to jeszcze około trzydziestu rubli.

— W tej chwili — pani wybaczy... — pani Tańska wyszła z saloniku.

Regina zaśmiała się złośliwym tryumfem.

— Czekaj! »Das dicke Ende kommt nach« — Regina zajmowała się kiedyś germanistyką w Berlinie.

— Proszę pięćdziesiąt — gdyby był jakiś niedobór, to proszę go pokryć.

— Dziękuję gorąco w imieniu klubu — rzekła Regina i włożyła niedbale banknot do torebki.

— I to pragnę jeszcze nakoniec zaznaczyć, że ta owacya kwiatowa przynależy się panu Bieleckiemu, nietylko jako twórcy, ale i człowiekowi. Jego pierwszego w Polsce było stać na to, by zawrzeć śluby — nie kościelne wprawdzie, ani też cywilne, ale o wiele świętsze śluby w wolnym związku.

Pani Leontyna zaparła oddech.

— O czem pani mówi? — wypowiedziała chwiejnie, bo bezwiednie czuła, że teraz czegoś strasznego się dowie.

Regina udawała mistrzowsko niepomierne zdziwienie.

— Jakto? to pani o niczem nie wie? Przecież to był przed rokiem głośny skandal.

— Jaki skandal? — W oczach pani Leontyny łopotał lęk — wystraszenie... ach! z jaką rozkoszą napawała się Regina tym widokiem — och! gdyby teraz tak mogła Ninie o pani Tańskiej opowiedzieć! Co to byłaby dopiero za rozkosz!

— Nie myślałam, że jest jeszcze ktoś w Polsce, ktoby nie znał stosunku Bieleckiego z panią Niną Ligęziną?!

Pani Leontyna chciała się zerwać, ale tresura dobrego wychowania zmusiła ją do wytrwania.

— I w tem tkwi istotnie bohaterski czyn Bieleckiego, że on, na tak eksponowanem stanowisku, nietylko, że zdołał mocą swego talentu przełamać niechęć społeczeństwa, które mu bardzo za złe wzięło, że oderwał żonę od męża, że z nią potem razem zamieszkał i z nią dotychczas żyje, ale nawet zmusił je poniekąd do szacunku, gdy się przekonano, że ją po prostu na rękach nosi, że...

Regina była przerażona:

— Jezus Marya! co pani się stało?

Pani Tańska była trupio-blada, cała się trzęsła, dobre wychowanie zawiodło, wstała chwiejąc się z fotelu, znowu opadła i nagłym wysiłkiem się zerwała:

— Pani kłamie! — wyrzuciła przez ściśnięte zęby.

— Jakim prawem pani śmie mi kłamstwo zarzucać? — pytała Regina z wyrazem najwyższego oburzenia.

— Pani kłamie! — w oczach pani Leontyny załyskała zbliżająca się burza.

— Zaczem mi pani kłamstwo zarzuci, niech się pani uda do mieszkania Bieleckiego i naocznie się przekona — tam siedzi biedna Ninka, tak wystraszona nagonką społeczeństwa, że lęka się na ulicę wyjść.

— Kłamiesz! — Leontyna ciskała błyskawice.

— Patrzcież tylko — szydziła teraz Regina — nowa zwierzyna zaplątała się w Bieleckiego sieci i teraz waryjuje, jak jej się prawdę mówi... śmiała się już na cały głos i napawała się bezsilną wściekłością pani Leontyny.

Pani Tańska opanowała się: wielka dama przeważyła w niej wobec tej przybłędy — zadzwoniła energicznie — lokaj wpadł natychmiast.

— Proszę wyprowadzić tę panią — powiedziała z zimnym spokojem.

— Hortensya 3! — krzykła na cały głos Regina, upojona tryumfem — szybko wybiegła z pałacyku i dopiero w automobilu zdołała ochłonąć:

Udało się! miała ochotę powinszować sobie samej zwycięskiej kampanii.

Pani Leontyna stała chwilę na środku saloniku, jak do ziemi przykuta.

To przecież niemożliwe, to... to byłoby potwornem, to całkiem wykluczone, by Bielecki mógł tak haniebnie kłamać jej i udawać miłość, a tymczasem inną na rękach nosić.

Piersi jej falowały, dech się w nich zaparł, nogi pod nią drżały, słabła i padła na fotel.

Nagle zerwała się i gwałtownie zaczęła biegać po pokoju.

Zacięła zęby, a oczy ją zabolały od napływu krwi:

Nie! nie! tak siebie oszukiwać, tak drwić z siebie nie pozwoli! Co za ohyda kłamstwa! Jakie podłe oszukaństwo!

Kłamał miłość, udawał czułość, aby tylko pieniądze z niej wydobyć — och! jakie to ordynarne! A ona mu wierzyła, gotowa była wszystko mu oddać — a jemu o nic innego nie chodziło, jak tylko o zdobycie pieniędzy!

Zaśmiała się spazmatycznym śmiechem...

A może to o nim kłamstwo — zastanowiła się nagle — może to tylko szantaż tej poczwary, która widocznie wyszpiegowała nasz stosunek, skradła kartę legitymacyjną klubu kobiet i wyłudziła od niej pięćdziesiąt rubli.

Chwilę się uspokoiła, a nagle:

Jeżeli to był szantaż, to przecież tak doskonale się udał, że ta kobieta nie bylaby potrzebowała o tej pani — jak ona się nazywa? Nina Ligęzina — mówić...

Co to wszystko miało znaczyć?!

I na nowo szarpnęła ją zazdrość i wściekłość, zgrzytnęła zębami i targała chusteczkę w strzępy:

Czekaj mistrzu — już ja będę się umiała na tobie i na twojej kochance pomścić — a straszną będzie moja zemsta!

Biada ci, jeżeli to prawda!

Pragnienie zemsty zmogło jej siły, obudziła się w niej nagle krwiożercza zazdrość — nieprzeparta żądza, by swoją rywalkę stratować, zdeptać, poniżyć: jej — jej tylko jedynie miał Bielecki przynależeć:

On moim! tylko moim! wkrzykiwała w siebie — ja go chcę mieć! I w tej chwili zapomniała, że przysięgła sobie przed chwilą, na Bieleckim się pomścić — nie! nie! on moim i musi być moim — dosyć mam środków, by go przywiązać, ale jego kochankę od niego odpędzę, z mieszkania jego wyrzucę.... i znowu szybko obiegała pokój, drżąca, zdyszana, mściwa.

Całą ją opanował dziki instynkt samicy, przeraźliwy lęk namiętności i lubieżnej chuci że mogłaby utracić tego jedynego...

I znowu się uspokajała chytrze i podstępnie.

Teraz czas się opanować: trzeba działać na trzeźwo i zimno.

Wychowawcza tresura, od małego dziecka, okazała się teraz skuteczną.

Opanowała wzburzone nerwy, stłumiła w sobie dziką zazdrość, zdusiła gniew i wstyd i poczęła myśleć zimno, twardo, nieugięcie.

To może tylko podstęp, by Bieleckiego odemnie oderwać — w każdym razie naocznie się muszę o tem przekonać.

Prawdopodobnie on z całkiem innych względów trzyma tę kobietę przy sobie, jakżeby mógł ją kochać, jeżeli ja mu się cała niepodzielnie oddałam?

Spojrzała w lustro — w swoją, jak lalka z najświeższego żurnalu wyciętą, strojną postać, na całą, w ciemne, lśniące loki ufryzowaną główkę — czem każda inna wobec mnie?! Ha, ha, ha! Nie! Henio zdaje się nawet przygnębiony tym stosunkiem — taki był zdenerwowany, niespokojny, milczący w ostatnich czasach. — Gdy ją pieścił, wydawał się, jak nieprzytomny — pewno z rozpaczą myślał, jakiemi więzami jest tam skrępowany — rozgrzała się myślą o Bieleckim. — Co za śmieszna myśl, że onby mógł jej miłość kłamać! właśnie ją kochał, a tam kłamał!

Może, Henieczku, nie masz siły się uwolnić z tych więzów, to ja cię uwolnię! Może ci to nawet teraz nie będzie na rękę, ale potem błogosławić mnie będziesz.

Cały pierwotny, wrzący, zapalczywy gniew przeciw Bieleckiemu chłódł i stygł, a cała zła nienawiść pani Leontyny skierowała się w stronę tej — tej — jak ona się nazywała? — która się, gdyby pokrzywa do niego przyczepiła?

Oswobodzę! wyzwolę cię Heniu! postanowiła i już całkiem opanowana i spokojna weszła do swego buduaru i rozejrzała się wokoło.

Tu wszystko przypominało jej długie chwile, razem z Bieleckim spędzone, wszystko zdawało się oddychać jego obecnością, żagwić się zimnym, a jakby właśnie dla jej ospałych nerwów roznieconym ogniem wyrafinowanych pieszczot i rozkoszy i już teraz chwili się nie wahała.

Przebrała się sama, bo nie chciała wołać panny służącej, by jej wzruszenia nie dostrzegła — rozglądała się długo w lustrze i uśmiechnięta wzgardliwie na myśl, że mogła chwilę pomyśleć, iż Bielecki inną nad nią mógłby kochać, siadła już całkiem gotowa do wyjścia na szerokiej, kosztownym wschodnim dywanem pokrytej otomanie, by wszystkie siły skupić i Henia — teraz go już pieszczotliwie jego imie-

niem, głaszcząc nazywała — z pod ciężkiego jarzma wyzwolić.

A gdy już osad nienawiści, zemsty i wszystkich tych uczuć, które mogły jej w jasnem i trzeźwem postanowieniu uniesieniem, lub bezmyślną zapalczywością zaszkodzić, całkiem już opadł na dno, gdy w mózgu swym nic więcej nie czuła, prócz zimnej, zmarzniętej bryły lodu, wstała, zadzwoniła, a gdy ukazał się lokaj:

— Proszę w tej chwili automobil — rozkazała niedbale i powoli zapinała rękawiczki.

W przedsionku wyczekiwała garderobiana, bo już się od lokaja dowiedziała, że się coś niezwykłego stało — zarzuciła na wielmożną panią kosztowne futro — persjeny z szęszilami — pani Leontyna z wytworną godnością przeszła aleję ogrodową i wsiadła do swego amerykańskiego automobilu.

— Hortensya 3 — rzuciła, a twarz jej wykrzywiła się złośliwym — zaciętym uporem.

XVI.

W pamiętnym owym dniu, który zapowiadał ostateczny tryumf Bieleckiego, Nina była więcej jeszcze przygnębiona jak zwykle.

Bieleckiego trawiła gorączka. Całymi dniami wysiadywał w teatrze, bo już pierwszy dramat, który miał być wystawiony w jego reżyseryi, jego przeżyciu i obmyśleniu, miał zdecydować o całem jego stanowisku, odrazu je utrwalić i zyskać mu pełne zaufanie publiczności i tak zwanych miarodajnych sfer... Zdawał się o niczem nie myśleć, jak tylko o tem, ale czujne oczy duszy Niny widziały poza tą skrzętną zapobiegliwością, chorobliwą prawie energią, z jaką Bielecki pracował, całem tem bezpamiętnem oddaniem się rzeczy, której się podjął, głuchy niepokój — rozpaczny prawie wysiłek, by podejść samego siebie i przed samym sobą uciec.

Ruchy jego były niespokojne, raz po raz popadał w ciężką zadumę, czoło orało mu się

w głębokie bruzdy, twarz zapadała, a nagle zrywał się, chwytał ją w ramiona i tulił tak silnie i gorąco, jakby mu ją ktoś przemocą wyrywał.

Wtedy nie miała wrażenia, że to on ją obejmuje ramionami, przeciwnie budził się w niej nieświadomy instynkt, że to ona go ogarnia ramieniem i chroni przed burzą, jaka w nim wre.

A w tych chwilach, chociaż ból jej serce skręcał, miłość jej ofiarną goręcej jeszcze płomieniała -- ukropem żywego ognia rozlewała się w jej żyłach — całkiem zapominała o jego zbrodniach — Górskim — Łusi, o tem, że tam na jakichś dramatach wypisał swoje nazwisko, budził się w niej idolatryczny prawie szacunek dla jego niezmożonej siły, dla bohatera, który sam jeden walczy przeciwko tej olbrzymiej przewadze: odcięty od wszystkich zdołał się przerąbać przez zwartą hordę, która go z wszystkich stron osaczyła. A gdy się w nocy budziła, w słabem świetle, całą noc palącej się lampki, widziała na jego twarzy ten jakiś ogromnie tragiczny wyraz ciężkich przejść, wewnętrznej rozterki, wtedy pragnęła szarpią tej współczującej miłości zatamować nawet we śnie krwawiące się rany, swoją wiarą, niegasnącą w niego, dać mu cudotwórczą siłę, dać

mu do ręki magiczną różdżkę, pod której uderzeniem źródło ze skały wytryska.

I tak, wpatrzona w jego twarz, mogła spędzać długie, bezsenne chwile, w tę twarz, której ukryte rany przeczuwała, ale, jasno odczytać, jeszcze ich nie mogła.

Kto on? pytała wtedy siebie po tysiączny już raz.

A jakiś niemy przestrach ją wtedy ogarniał, bo nagle wydawał jej się obcym i o tysiąc mil odległym.

Ustawicznie miała to wrażenie, jakby był mgłą przysłoniętym, w snach go widziała, jak się dostał na zaciekłe wiry, które nim szarpały, rzucały go na jedną i drugą stronę i znowu w siebie wchłaniały, widziała go, jak z nieludzką siłą walczył, by się za ich obręb wydostać — a wtedy budziła się z rozpacznym krzykiem, nawpół nieprzytomna, tak, że dużo czasu potrzebował, by ją uspokoić. Widziała go na pokładzie tonącego okrętu, jak zimny i spokojny, po pas w wodzie wydawał swoje ostatnie rozkazy — on kapitan nieustraszony; w ostatniej chwili jeszcze przedziurawił kulą głowę jakiegoś marynarza, który przed podróżnym i chciał się ratować i posterunek opuścił, a najczęściej majaczyły się jej jego oczy, gdyby dwie latarnie rozszalałej lokomotywy, która pędzi przed się w ślepym obłę-

dzie, niszcząc, miażdżąc wszystko po drodze, bo niema ani kierownika, ani hamulca.

Ten obraz, w którym tak często Bieleckiego widziała, zastanawiał ją i trwożył — ile razy o nim myślała, ile razy w bezsennych nocach na niego patrzyła, zawsze widziała to światło dwóch latarni, które się z trudem przez mgłę przedzierało, słyszała piekielny łoskot rozpędzonych kół, a rozszalały pęd powietrza rzucał ją bezbronną na plant kolejowy.

Zastanawiała się, dlaczego właśnie ta wizya tak ją od jakiegoś czasu prześladowała — godziny całe trawiła na ciężkich rozmyślaniach, dlaczego jej dusza tak posowiała, znużona, i jakby ustawicznym przestrachem drżąca.

Przecież on ją kochał — w to jednej chwili nie wątpiła — i ona całą rozpaczną miłością owinęła się wokół niego — czemu ani mu, ani jej to szczęścia nie dawało?

Nigdy jej tego nie powiedział, ale widziała, że gdyby go o to pytała — możeby odpowiedział, a może i nie: jak ci ja mam szczęście dać, kiedym go nigdy nie doznał?!

I znowu go ujrzała, gdyby jakiegoś Dżungis-Chana, który gnał przed się — niewiadomo dlaczego i ku czemu — tylko z jednem pragnieniem niszczenia, tratowania — może nawet i mordu i pożogi, byleby tylko módz uśmierzyć rozszalały pożar w swojej duszy, nasycić

wiecznie głodną, stugłową hydrę, żądny panowania, zwycięstw, zdobyczy...

Ninie w głowie się plątało.

Czegóż on chce? pytała — zaczem on tak gna? Pocóż popełnia te bezcelowe zbrodnie?

Na nic odpowiedzieć sobie nie zdołała.

Dusza jej chorzała.

Już od miesiąca prawie, że nie wychodziła z domu — na ulicy ogarniał ją tak paniczny lęk, że czemprędzej do domu wracała — każde, najobojętniejsze spojrzenie przestrach w niej budziło — ustawicznie słyszała poza sobą drwiące uwagi i złośliwy śmiech, jakieś skradające się kroki czegoś złego i zawistnego, co już za chwilę znienacka się na nią rzuci, by ją znieważyć i opluć — wszędzie naokoło siebie widziała ludzi gdyby czarny, zwarty mur, najeżony ostrymi gwoździami, lękała się wtedy stąpnąć, by się przypadkowo nie potknąć i o te gwoździe nie poranić.

W domu się uspakajała. Początkowo dręczyła ją samotność, ale wiedziała, że to już niezadługo potrwa. Bielecki teraz olbrzymim rozmachem dźwignął się i postawił na nogi. Bielecki zwyciężył, zapanował nad złością i zawiścią — a teraz już niezadługo rozpocznie się ten czas, którego nie zdążyli do końca przeżyć, do samego dna wykosztować: to rozkoszne

sam na sam, to spowicie się ich dusz w świętą Jednię.

Przez chwilę rozkwieciło się w niej: na pościeli białego śniegu rozłożyły się gałązki kwiecia migdałowego, na przekór zabójczemu zimnu, rozkwitły drzewa pomarańczowe, a z jednej i drugiej strony stromej, lodem ściętej drogi, wybiegały w niebo olbrzymie cyprysy.

Nina wiedziała, że majaczy, ale bawiła się myślami — to była najpiękniejsza jej zabawka, żonglowała myślami, jak ręka Boga żongluje gwiazdami, tkała na ogromnej kanwie swych myśli kwieciste ogrody, by je znowu spowić i kosztowniejsze jeszcze dzierzgać.

Poza Bieleckim nikogo nie widziała, ani znać nie chciała, a gdy jego nie było, to już jej nawet obecność służącej przeszkadzała. Wysyłała ją pod pierwszym lepszym pozorem, byleby tylko pozostać samą, z czego sprytna dziewczyna umiała tak skorzystać, że jej przeważnie całe popołudnie w domu nie było.

Czasami nachodziła Ninę ponura zaduma, zwykle o zmroku. I mimo, że wiedziała, iż gdy tylko światło zapłonie wszystkie mary pierzchną, lubiła się z jakiemś zaciętem okrucieństwem nad sobą pastwić.

Wywoływała wtedy przed swoje oczy utopioną Łusię — och! ileż ona się o niej nie nasłuchała od Reginy — wskrzeszała Adę —

och! jakież to tajemnicze, a raniące ją wieści o stosunku Bieleckiego do demonicznej Ady nie były się już obiły o jej uszy — a wtedy buntowało się w niej gniewem, zranioną dumą, żalem, a w końcu nienawiścią do Bieleckiego.

Dusza jej coraz więcej chorzała.

Niepojętą, bolesną, zaciekłą rozkosz sprawiało jej to wyszukiwanie w swej duszy najwięcej wrażliwych, najczulszych miejsc i wpychać w nie zatrute strzały, kazać im się rozjątrzać, a potem z całą nieokiełzaną pasyą, nieprzytomnym szałem, własnemi rękoma je wyszarpywać, aż wreszcie chciała wywołać gangrenę, którąby całą jej krew zatruła.

Wtedy przerażała się swoim stanem, zapalała w wszystkich pokojach światło i jeszcze tego jej było zamało: rozniecała ogień na kominku, dorzucała doń bezustannie drew, by nie zgasł ani na chwilę i tego jeszcze jej było za mało: a nagle struchlała.

Co się ze mną dzieje?

Wtedy wyciągała się na dywanie przed kominkiem, patrzyła bezustannie w ogień, pozwalała się hypnotyzować płomieniom i usypiała.

Ah! co za święta noc nieprzebranego szczęścia, gdy Bielecki raz ją późną nocą zastał tak śpiącą na dywanie przed kominkiem, z prze-

rażeniem pochwycił na ręce i jak chore dziecko zaniósł i ułożył na posłaniu.

Czegóż on był wtedy taki blady? Czego się lękał?! A! a! on się ognia lęka — on nie może patrzeć na ogień — ogień go przeraża — na widok ognia twarz jego zielenieje, drży cały, on — on! stworzony na mściciela ognia...

Już ja wiem, czego się ty tak ognia lękasz...

Słodka Regina dała mi do przeczytania artykuły, pisane w gazetach po tragicznej śmierci Ady i Poraja — tam tak delikatnie whaftowana była aluzya do mściwej Heimarmeny — a Borsuk podobno obłędu dostał... Ha, ha, ha... żal mi obrazków? Czyżby już nowych namalować nie zdołał!

Śmiała się wtedy pogardliwie i drwiąco śmiechem Bieleckiego i była zdumiona, że się tak śmiać może, bo przecież tego śmiechu w sobie wcale nie miała: był jej obcy i wstrętny...

A! a! już się zaraziłaś — ach! jaka pojętna uczennica z ciebie! Niezadługo, a to błoto. w którem się tarzał Bielecki z Łusią i Adą i Bóg wie jeszcze z kim, wyda ci się czyściutką cysterną — całkiem taką samą, jaką Cranach namalował: z jednej strony wchodzi obrzydła cnota, a na drugim brzegu wyłania się z niej młodziutki, świeżutki, uroczy nierząd...

Ha, ha, ha! śmiała się wtedy Nina i milkła, bo czuła, że to czyjś obcy śmiech, który ją przerażał, jak wołanie puszczyka.

Dusza jej chorzała coraz więcej.

Nina siedziała teraz przy łóżku, na które powykładała suknie i myślała — którą dziś w tym uroczystym i dla Bieleckiego tryumfalnym dniu ma się ubrać.

— Nie chcę twej woli gwałcić Nino, ale dziś mi rzeczywiście na tem zależy, byś była w teatrze.

— Dobrze, o ile mi dasz takie miejsce, gdzie już nikt na mnie uwagi nie zwróci.

— Bądź spokojna, przyrzecz mi tylko, że przyjdziesz.

— Przyrzekam!

Nina zaśmiała się cicho: co jemu tak na tem zależy? Przecież ja nie pokochałam ani autora, ani dyrektora teatru, ani tego, który Bóg wie z jakich powodów z całą sforą psów się ugania, ale jego, jego samego — jego jedynego — ale jeżeli już tak gwałtownie pragnie, bym była świadkiem jego tryumfu, cóż mnie to ochodzi? to i pójdę...

Już ostatnią suknię wyłożyła i jeszcze nie była zdecydowaną, którą dziś włoży, gdy nagle posłyszała gwałtowne dzwonienie.

Przelękła się dzwonka.

Któżby o tej porze mógł dzwonić? I to tak

gwałtownie. Zadrżała przeczuciem jakiegoś nieszczęścia.

Czyżby jemu coś złego stać się miało?

Wybiegła do przedpokoju: służącej nie było, więc sama otworzyła drzwi.

Nina ujrzała przed sobą jakąś wytwornie wystrojoną damę, która impertynencko oglądała ją przez lorgnon, wiszące na złotym łańcuchu.

— Przepraszam panią, że mimowoli tak gwałtownie zadzwoniłam, ale przychodzę w ważnym i pilnym interesie do pana Bieleckiego...

— Proszę panią — Nina zaprowadziła ją do pracowni Bieleckiego.

— Niech pani zechce siąść — usiadły naprzeciw siebie.

— Moje nazwisko: Tańska.

Nina była ucieszona — przyjaciel, od którego Bielecki dostał pieniądze na »Romowe«, też się nazywał Tański.

— Pani krewną, a może żoną słynnego za granicą tenora Tańskiego?

— Tak, pani — pani Leontyna przyglądała się Ninie tak bezczelnie, że Nina była zupełnie zmieszana.

— O ile wiem, to mąż pani żyje w przyjaznych bardzo stosunkach z Henrykiem.

Pani Leontyna spojrzała na nią z udanem zdumieniem i uśmiechnęła się złośliwie.

— Ależ pani musi się mylić: pan Bielecki nie zna wcale mego męża, nigdy go nie widział, tylko mnie łączy z panem Bieleckim ścisła przyjaźń.

Pani Leontyna pochłaniała Ninę złym, nienawistnym wzrokiem. Spodziewała się zastać jakąś zbiedzoną, zniszczoną kobietę, którą Bielecki z litości trzyma, coś w rodzaju biednej, suchotniczej męczennicy, a widziała przed sobą drobną wprawdzie, ale kwitnącą i niezwykłego wdzięku kobietę, której każdy ruch zdradzał gracyę i ułożenie nie byle jakiego pochodzenia. Drobna twarz, o niezwykle delikatnej cerze i pięknych rysach, okalało bogactwo przepysznych włosów, jakich pani Leontyna jeszcze nie widziała, o zdumiewającym połysku starego, czerwonego złota. Zobaczyła prześliczne, małe ręce, drobną i kształtną stopę, która się z pod ciemnej sukni wysuwała i spojrzała w pełne blasku i niezwykłej inteligencyi oczy.

Zawrzała w niej bezpamiętna, zaciekła zazdrość.

Czuła, że ponsowieje, że najchętniej by się chciała teraz na Ninę rzucić i w kawałki ją poszarpać.

— Jakto? — zapytała Nina z lękliwem przeczuciem czegoś niespodziewanego.

— Może być, że są jacyś inni Tańscy, ale męża mego pan Bielecki nie zna.

Pani Leontyna opanowała się, tylko w coraz większą złość wprawiała ją piękność Niny. Wprost już patrzeć na nią nie mogła — oczy jej błądziły po ścianach — nad biurkiem Bieleckiego wisiał bardzo oryginalny portret Niny — w całem urządzeniu, w każdym drobiazgu widziała staranną rękę kobiecą: jej rękę! na biurku znowu duża fotografia Niny. Tu ona panią! pomyślała z dyszącą nienawiścią i teraz odrzuciła wszystkie światowe towarzyskie względy, stała się ordynarną samicą, która rywalkę chce śmiertelnie ranić.

Nina była przerażona tem złowrogiem milczeniem, które nagle zaległo w pokoju — jakaś nieznośna parność zawisła w powietrzu, coś zabójczego zdawało się w niej czyhać — czuła wyraźnie jakąś pięść, która się do miażdżącego razu zamierza.

— Pani mówiła — Nina chciała przerwać milczenie — że panią sprowadza pilny interes?

— Już załatwiony! — syknęła pani Leontyna.

Nina wstała i odruchowo cofała się pod wściekłością ziejącemi oczyma pani Leontyny.

— Mąż mój — Bielecki usilnie prosił Ninę, by go wobec ludzi inaczej nie nazywała...

— Ha, ha, ha — roześmiała się pani Leontyna już brutalnie — odkąd to pan Bielecki jest żonaty? A może ja się pomyliłam, tak, jak pani się co do Tańskiego pomyliła? Może

ja zaszłam do całkiem innego Bieleckiego, takiego, który jest żonaty, bo ten, którego szukam, jest dyrektorem teatru i wydawcą »Romowe« i, jak z jego własnych ust słyszałam kilkakrotnie, ani żony ani kochanki żadnej nie utrzymuje.

Ninie w oczach pociemniało, chwyciła się kurczowo poręczy fotelu, by nie paść i patrzyła błędnie na panią Tańską.

I pani Leontyna wstała:

— Tu zdaje się zaszło komiczne »qui pro quo« — pastwiła się z niechlujnym cynizmem nad Niną — ten przyjaciel najbliższy słodkiego Henia, który mu dał pieniądze na »Romowe« i na kaucyę, by mógł zostać dyrektorem teatru — jestem ja we własnej osobie — pani zaś może być co najwyżej jego utrzymanką — za moje pieniądze!

Nina zerwała się nagle — drobna jej postać nabrała nagle jakiejś niezwykłej powagi, dumy i majestatu:

— Precz! zawołała.

Pani Leontyna przyłożyła lorgnon do oczu:

— No! no! za moje pieniądze całkiem przyzwoicie ubrana, za moje pieniądze całkiem dostatnio żyje i mieszka i jeszcze mnie z domu swego kochanka wyrzuca — w ten sposób jego dług wdzięczności spłaca — kwituję z przy-

jemnością i żegnam panią — aha! o mało co nie zapomniałam: panią Ligęzinę.

Pani Tańska wyszła z trudem hamowaną wściekłością.

Nina jasno jeszcze sobie z całego tego zajścia sprawy nie zdawała, całkiem, jak człowiek śmiertelnie raniony i w pierwszej chwili bólu nie czuje.

Wiedziała tylko, że coś strasznego się stało, że posadzka pod nią faluje i leci w próżnię — przecierała oczy, bo zdawało jej się, że przeżyła tylko ciężki sen, tarła czoło, jakby chciała w lęku zdrętwiałe myśli do życia pobudzić.

Przeszła przez pokój, ale nogi się pod nią chwiały, zataczała się, a wreszcie padła ciężko na otomanę.

Długą chwilę patrzyła bezmyślnie przed się. Wszystkiemi siłami usiłowała coś pomyśleć, ale naprożno — tylko w sercu, w mózgu, w każdym strzępku swych nerwów czuła tępy, głuchy ból, ale przyczyny jego uświadomić sobie nie mogła.

Rozejrzała się po pokoju, jakby się nagle w obcem miejscu znalazła. Właściwie było jej to wszystko znajomem, a równocześnie całkiem obcem, a im dłużej na te meble, te obrazy, te dywany patrzyła, przenikał ją coraz dotkliwszy ból sromu i wstydu.

Przecież to wszystko pieniądzmi pani Tań-

skiej utrzymane... spojrzała na swój miękki, biały szlafroczek, który jej Bielecki sam przed paru dniami kupił i do domu przysłać kazał; zdjął ją taki wstyd i obrzydzenie, że ocknęła się.

Pobiegła do sypialni, nie zdejmowała, ale zdzierała ze siebie ten ohydny, obrzydły szlafrok, kupiony za pieniądze pani Tańskiej — zerwała z siebie łańcuszek złoty, kunsztownej roboty, który jej Bielecki przed tygodniem na imieniny w podarunku przyniósł, rzuciła go ze wstrętem i pogardą na ziemię, wpół obłąkana z bólu, tak strasznego, że już nim przestał być, bo już przekroczyła próg, na którym jeszcze ból, jako taki się odczuwa i zwaliła się w głuchą, ponurą ciemnię, którą rzadko jakaś myśl rozwidnia, a rzadziej jeszcze jakieś uczucie rozświeci.

Pustka! Przeraźliwa cisza przedstworzenia, kiedy jeszcze nic nie było, a żaden Bóg nad przepaściami się nie unosił.

Siadła bezwiednie na łóżku.

Zwiesiła ciężko swą złotą głowę na piersi: ponieważ jej głowa ciążyła, gdyby centnary ołowiu, ujęła ją oburącz w dłonie.

Zwolna krew zaczęła nabiegać do mózgu.

Uprzytomniła sobie, gdzie jest.

Na łóżku siedzi — tym samym, w którym w jego ramionach usypiała; z wstydem palą-

cym, żrącym wstydem wstała z łóżka, ona, która co najwyżej mogła być metresą jego, której się przed jakąś panią Tańską wypierał, bo pani Tańska dawała na wszystko pieniądze...

Żaden przyjaciel nie istniał, tylko ta... ta zła... ta — uśmiechnęła się błędnie — cóż jej można za złe brać, że się upomina o swego Henia, którego sobie kupiła za grube pieniądze?!

Stała teraz tylko w spódniczce i gorsecie i oglądała się uważnie, czy nie zostało przypadkowo coś na niej, coby mogło być kupionem za pieniądze pani Tańskiej.

Teraz już nic!

Wyjęła machinalnie z szafy suknię podróżną, w której z Bieleckim na dworcu się spotkała, gdy wyjeżdżała z nim do Bozen, ubrała się zwolna i z długim zachodem, bo ramiona jej, jakby do niej nie należały, bezustannie opadały bezwładne — a, gdy w ciężkim trudzie przebrać się zdołała, szukała, gdzieby spocząć chwilkę mogła.

W nyży dużego okna stał jej kuferek, przykryty jej kocem podróżnym, wreszcie tam spoczęła. Znowu ujęła swą złotą głowę w obydwie ręce i starała się myśleć, a raczej zmusiła zastygłe myśli, by się wreszcie ocknęły z tego ciężkiego odrętwienia.

Gdzież on?! roztworzyła szeroko oczy, bo zdawało jej się, że przecież on tu musi być gdzieś w pobliżu... ale jego nie było i błyskawicą przeleciały jej przez mózg słowa Bieleckiego, które jej powiedział onej nocy — ach! tej nocy: teraz wiedziała, że ten wieczór u pani Tańskiej spędził.

Ponoć od tej samej gwiazdy się oderwali — ona pobiegła w stronę światła, on gubi się w mrokach ciemności — gubią się i znowu odnajdują w nieprzebranej tęsknocie i bólu... ale teraz...

Jękła w ciężkiej, beznadziejnej rozpaczy:

Widziała go wyraźnie, gdyby spadającą gwiazdę, która zanikała i gasła w międzyplanetarnych mrocznych przestworzach.

I w tej chwili nie czuła żalu do niego — wiedziała tylko to jedno, że stąd pójść musi — gdzie? dokąd? to ją mało obchodziło — byleby tylko ten dom opuścić, który pani Tańska swoimi pieniądzmi utrzymuje... wstała i rozejrzała się znowu po sypialni.

I znowu skręcił jej serce wstyd i srom.

Przymknęła oczy.

A nagle, jakby się w jej duszy dokonał dziwny przełom, poczęła myśleć jasno i trzeźwo, a im dłużej myślała, a przynajmniej zdawało jej się, że myśli, tem większa jaśń prze-

sycała zimnem trzeźwem światłem mroki jej mózgu.

A więc opuści ten dom, w którym ją wszystko hańbiło, okłamywało: pozostać tu teraz dłużej byłoby ohydą.

Dokąd się uda? To już obojętne. Byleby tylko czemprędzej ten dom opuścić.

Ale, na Boga, przecież trochę pieniędzy potrzebuje.

Ta myśl ją zastanowiła.

Tak! bez pieniędzy mogę się udać co najwyżej na ulicę — a na ulicy... zatrzęsła się ze wstydu i obrzydzenia.

Przypomniało jej się nagle, że miała po matce brylantowe kolczyki i kosztowną bransoletę.

Toć to majątek! uśmiechnęła się błędnie.

Poszukała na dnie szufladki bransoletę i kolczyki, włożyła je do torebki i, nie oglądając się za siebie, wyszła chwiejnym krokiem na kurytarz, włożyła na siebie futerko: jej — jej, tego pani Tańska nie kupiła... a gdy już drzwi na wschody miała otworzyć, nagle siły ją opuściły, przycisnęła się do ściany i zapłakała na głos, jak dziecko.

Ale żalu do niego nie miała.

Nad sobą samą płakała!

Nagle uprzytomniła sobie, że nie można mu w dzisiejszym dniu niespodzianką przeszka-

dzać, nie można jego tryumfalnego wieczoru zakłócać tem, że byłby zmuszony na policyę lecieć i kazać się dowiadywać, gdzie się podziała — więc wróciła, zaświeciła elektryczną lampę na biurku i drżącem pismem rzuciła kilka zdań na kartce papieru: »Dłużej w twoim domu pozostać nie mogę. Dlaczego? to sam wiedzieć musisz: resztę powie ci pani Tańska. Nie szukaj mnie, to naprożno. Pozatem nie mam do ciebie żalu. — Nina«.

Położyła tę kartę na jak najwidoczniejszym miejscu, tak, że musiał ją w tej chwili ujrzeć — raz jeszcze obrzuciła jego pracownię oczyma, zgasiła światło, wymknęła się chyłkiem, jak złodziej, jakby się lękała, że ją ktoś zatrzyma w domu, utrzymywanym przez panią Tańską, zeszła na dół i na ulicy rozglądała się, czy jaka dorożka lub automobil nie nadjeżdża.

W zapadającym zmroku ujrzała, jak jakiś mężczyzna do niej się zbliża.

Przystanęła, bo go odrazu poznała:

Ligęza!

Ligęza zbliżył się ku niej, oddychał szybko, jakby tchu złapać nie mógł.

Cofnęła się przestraszona:

— Czego pan sobie życzy?

— Nino — Nino! — mówił zdyszanym głosem Ligęza - posłuchaj mnie — ja tu już

całe popołudnie czekam, bo wiedziałem, że z domu wyjdziesz — posłuchaj mnie...

— Czego pan sobie życzy odemnie?

Ligęza walczył z sobą, zmagał się w ciężkich zapasach, by równowagę utrzymać.

— Ten szatan — wybuchnął nagle — zrujnował mnie i ciebie — ciebie też — syknął zaciekle — widziałem, jak tu dziś jego kochanka, pani Tańska, pod dom swym automobilem zajeżdżała... O! nie myśl, żem tak ordynarny, by cię rozraniać — ty wiesz już o wszystkiem tak, jak ja wiem, że mnie z tą aktorzycą zrajfurzył, aby ciebie odemnie oderwać, sama była na tyle brutalnie uczciwą, że mi to powiedziała...

Nie patrz na mnie tak wystraszona! Ja jestem dziś doszczętnie zrujnowany i zniszczony człowiek, ale gdy ty zechcesz do mnie powrócić — od nowa całe życie rozpocznę — wszystko naprawię — w rok, dwa dźwignę się i — Nino — szeptał bezładnie — posłuchaj mnie: ja młody, silny, pracować umiem, przy tobie siły potroję, wszystko znowu do ładu doprowadzę — od nowa żyć zaczniemy...

Nina patrzyła na niego, jakby go nie rozumiała.

— Nino, słuchaj — szeptał — jeszcze czas, jeszcze siebie i ciebie z tej toni wyratować mogę — chodź, chodź ze mną, pojedziemy do

mojej wsi, o wszystkiem zapomnimy, od świtu do nocy będę pracował, wszystko uratuję... — słowa jego piętrzyły się bezładnie, gdyby kry na rzece, kiedy lód puszcza.

Spojrzała na niego, ujrzała, jak we śnie spustoszoną, postarzałą twarz Ligęzy, serce jej się ścisnęło nad nędzą ludzką, ujrzała nadjeżdżający automobil, skinęła: automobil przystanął.

— Mnie ciebie bardzo żal — powiedziała cicho — ale teraz już za późno — bądź zdrów!

Podała mu rękę i szybko wskoczyła do automobilu.

— Na Marszałkowską!

Automobil ruszył — a za sobą słyszała głuchy krzyk:

— Nino!

Teraz już całkiem była spokojna.

Nic przed nią i nic poza nią.

Nic? zapytała.

Nic! wszystko to, co przeżyła z Bieleckim, wszystkie uniesienia, upojenia, nieprzeczuwane cuda miłości: to wszystko się rozpłynęło w jednem strasznem, pustem Nic!

Ale nie miała żalu do niego.

Tak być musiało.

Kazała przystanąć przed sklepem znanego jej jubilera, u którego przed paru dniami Bie-

lecki kupował jej naszyjnik, i weszła całkiem już spokojna do składu.

Jubiler przywitał ją bardzo uprzejmie.

— Mam tu kosztowności, których nie noszę, więc chciałabym je sprzedać — podała bransoletę i kolczyki jubilerowi.

— Niech pani będzie łaskawą chwilę zaczekać — w tej chwili zbadam i ocenię wartość.

Badał, próbował przez długą chwilę, a wreszcie odrzekł:

— Mogę pani dać dwieście rubli — zgadza się pani?

— Dobrze.

Wypłacił jej dwie sturublówki — była na tyle przytomną, by jednę kazać zmienić na złoto i srebro, bo przypomniało jej się, że szofera trzeba będzie zapłacić — pożegnała jubilera i wsiadła znowu do automobilu.

— A teraz dokąd?

— Na dworzec.

Zapadła, jakby w jakiś letargiczny sen. Nie czuła już ani bólu, ani tęsknoty, ani żalu — przeciwnie: jakby się coś w niej rozanieliło, myślała o wszystkiem z dobrocią i łagodnem współczuciem.

Dziś Bieleckiego wielki tryumf oczekuje — przeleciało jej przez głowę — niełądnie zrobiłam, że mu go niepokojem zakłócę — trzeba

było do jutra zaczekać i uczuła żal do siebie za swoją porywczość.

Trudno: on nie mógł inaczej i ja inaczej nie mogę, westchnęła głęboko, ale żalu do niego nie czuła. Przeciwnie: tylko do siebie samej, że mu ten tak długo oczekiwany, ten upragniony dzień ostatecznego tryumfu swojem nagłem zniknięciem zakłóci.

Wierzyła w jego miłość — tej jednej jej nie kłamał, to wiedziała, a jego zdrada i... trudno! inaczej nie mógłby zwyciężyć.

Nie, nie! żadnego żalu do niego nie miała — pragnęła tylko jego oczy raz jeszcze zobaczyć — te dwie ogromne latarnie pijanej, wściekłej lokomotywy, która pędzi przed się i wszystko miażdży po drodze, bo nie ma kierownika ani hamulców.

Automobil zajechał przed dworzec, wysiadła, zapłaciła i poszła do poczekalni.

Uśmiechnęła się błędnie:

Raz jeszcze popatrzy w te olbrzymie oczy rozszalałej, pijanej wszystko druzgoczącej lokomotywy, a potem czas pomyśleć, gdzie i dokąd?

Duszno było jej w poczekalni, więc wyszła na peron, by raz jeszcze w jego oczy spojrzeć — jego... który może się jej teraz przed jaką panią Tańską wypiera — a jeżeli to robi,

to pewno musi to robić i wcale go nie winiła i żalu żadnego do niego nie miała.

Peron był prawie pusty — a na samym końcu jego siedziała potulnie na tobołkach swoich jakaś chłopka z trojgiem drobnych dzieci, które płakały, bo były widocznie głodne.

Wielka jest nędza ludzka, pomyślała Nina, podeszła do biednej, pokornej kobieciny i wsunęła jej złotą dwudziestorublówkę do ręki.

Kobieta prawie z przerażeniem spojrzała na złoto:

— Wielmożna pani się omyliła!

— Ja się nigdy nie mylę, ani też do nikogo żalu nie mam — uśmiechnęła się błędnie Nina i poszła dalej.

Opadała coraz gęstsza mgła.

Wyszła poza dworzec, szła wzdłuż toru kolejowego chwiejnie, potykając się co chwila o relsy i progi.

Szła, szła przed się, błądziła między szynami, bo strażnicy nie mogli w tej mgle rozpoznać, czy to nie ktoś ze służby - i nagle przystanęła w zachwycie:

Na skręcie ujrzała światła, przymglone jeszcze, dwóch latarni, słyszała ciężkie dudnienie w oddali, coraz bliżej i coraz więcej zbliżały się światła dwojga potężnych oczu, któreby nietylko mgłę, ale najgęstsze ciemności i mroki

rozerwać zdołały — Nina nieprzytomna biegła naprzeciw.

Teraz już wiedziała, dlaczego tu się zabłąkała. — Wiedziała, że go spotkać musi — jego, który się w mrokach gubił i znowu do niej przedzierał — i znowu go odnajdywała. — Tak! tak! jemu naprzeciw tu wybiegła — całym pędem rzuciła mu się na spotkanie.

Jedzie, pędzi, szuka mnie! Poprzez mroki, poprzez mgły przedziera się ku mnie — On — On! Jedyny mój! A mówił mi, że się odnajdziemy!

Jedną jeszcze chwilę obłąkanego szczęścia w jego objęciu.

Bliżej, coraz bliżej:

Już — już! O rozkosz! o szczęście!

XVII.

Teatr był przepełniony. By jeszcze jedno miejsce dostać, trzeba było handlarzom biletami bajońskie sumy płacić.

Jedno miejsce tylko było puste — to właśnie, które Bielecki dla Niny wybrał — nie zwracające niczyjej uwagi, według jej życzenia, a z którego równocześnie całą scenę wygodnie objąć mogła.

Na inauguracyjne przedstawienie wybrał Bielecki »Irydiona« Krasińskiego.

Było to zadanie nad wszelką miarę trudne — ale Bielecki zdołał się z nim uporać.

Od miesiąca pracował dniem i nocą — każdemu aktorowi z osobna tłomaczył godzinami całemi jego rolę i jej znaczenie, po kilkadziesiąt razy kazał powtarzać jeden i ten sam frazes, z umiejętną plastyką przedstawiał myśli przewodnie — epokę, na której tle on dramat powstał — znajomością dokładną historyi rozkładającego się Rzymu, którą doszczętnie prze-

studyował, zaimponował aktorom, nawet najniechętniejszych rozgrzał, zachęcał, smagał po prostu w gorliwy entuzyazm.

Wszystko do góry nogami w teatrze poprzewracał. Syci sławy i swej wielkości starzy aktorzy zostali usunięci na drugi plan — pomiędzy tymi, którzy się trzeciorzędnemi rolami dotychczas zadawalniać musieli, odnalazł trzy, cztery niezwykłe talenty.

Z niezawodną znajomością duszy aktora i tego, co zrobić jest w stanie, dobierał sobie idealny wprost zespół.

— Pan mi zagra Heliogabala — powiedział do młodego artysty — i — rozumie pan — pan go tak zagra, że odrazu pan się wybije na pierwszorzędne stanowisko.

Młody, piękny, trochę zniewieściały chłopak, ale o istotnym talencie, zbladł, miał odruch, jakby się chciał Bieleckiemu do nóg rzucić — oczy zamgliły mu się łzami szczęścia.

— Tu masz pan specyalny traktacik o Heliogabalu — to sobie pan uważnie przeczytaj, a potem zabierz się pan do roboty. I jedno panu powiadam: nie grać, tylko trzeba być Heliogabalem, jeżeli pan za trzy dni się nim nie stanie, odbiorę panu rolę.

Po długich wahaniach znalazł Irydiona również w młodym aktorze, który dotychczas podrzędnemi rolami zadawalniać się musiał,

a którego zdołał istotnie przetworzyć na Irydiona. Siłą potężnej swojej sugestyi tak długo nad nim pracował, dopóki nie rozbudził i do gorącego życia nie powołał ostatniego bohatera Hellady.

Nastka jako Cornelia była idealną — Nastce jednego słowa nie było potrzeba mówić — intuicyą genialnej artystki wniknęła w najtajniejsze intencye wielkiego wieszcza — tu już Bielecki nie miał nic do powiedzenia — podziwiał tylko.

Za to ogromny zasób pracy zużył przy wystudyowaniu roli Elsinoe z młodą i wysoce utalentowaną aktorką.

Tu już pogwałcił jej własną duszę: rozkazał jej być — Niną. Z głęboką ścisłością, nieskończoną cierpliwością urabiał tak długo duszę artystki, aż ją wreszcie zdołał odmienić i Ninę-Elsinoe w niej do życia powołać.

Bielecki umiał natchnąć aktorów, rozpalić ich tak, że wszystkie siły wytężali, by dorość do ról im przeznaczonych.

Obraz sceniczny stworzony był najprostszymi środkami, ale tak sugestywny, że cały olbrzymi aparat sceny byłby tylko psuł wrażenie niepokalanie czystych linii dramatu.

To też, gdy zapadła zasłona po pierwszym akcie, publiczność była jak oczarowana. Chwilę

trwało jakieś ogłupiałe, nieme wrażenie, a nagle zerwała się frenetyczna burza oklasków.

— Bielecki! Bielecki!

Takiego widowiska nikt nawet z najstarszych bywalców teatralnych jeszcze nie widział.

— Bielecki! — krzyczała, wrzeszczała publiczność, do głębi poruszona i serdeczną wdzięcznością przejęta.

Bielecki wyszedł z aktorami na scenę, skłonił się w stronę aktorów i publiczności i z ciężkim niepokojem ujrzał, że miejsce, które dla Niny przeznaczył, było puste.

Co się stało? Serce mu się zatrzęsło, cały zadygotał.

Po kilka razy kurtyna się podnosiła, raz jeszcze pokazał się na scenie, a potem z gorączkowym niepokojem posłał woźnego do Niny — dał mu nawet na automobil, by czemprędzej mógł się dowiedzieć, co się stało.

W niespełna kwadrans powrócił woźny z dziwną wieścią:

Mieszkanie było zamknięte, w oknach ciemno, a stróż powiedział, że widział panią, jak przed trzema godzinami wychodziła z domu, na ulicy rozmawiała z jakimś panem, a potem wsiadła sama do automobilu i gdzieś pojechała.

Bielecki zatrząsł się jakiemś złowrogiem przeczuciem. Nie zważał na rozentuzyazmo-

waną publiczność, która go przed rampę wywoływała, wybiegł z teatru — wpadł do automobilu i popędził ku domowi.

Pozapalał światła elektryczne w jednym, drugim i trzecim pokoju: Niny nie było!

W sypialni ujrzał porozkładane suknie — na podłodze zmięty i podarty szlafrok biały, który jej przed paru dniami kupił, a porozrywane ogniwa naszyjnika świeciły bezładnie na dywanie...

Cóż to? wrzasnęło w nim w dzikim lęku.

Była chwila, w której całkiem przytomność utracił.

Zaglądał po wszystkich kątach, błądził i szukał po całem mieszkaniu, aż nagle ujrzał na swojem biurku dużą kartę białego papieru, na którym widniało parę zdań, napisanych ręką Niny.

Czytał raz, drugi i trzeci, ale litery zaczęły wyskakiwać z papieru, chwyciły się za ręce i w tęczowym wirze kołowały przed jego oczyma.

Siadł chwilę i znowu zbliżył kartę do oczu, na której tylko charakterystyczną ręką Niny pismo zdołał rozpoznać.

Ale wtem ujrzał tylko tysiącznobarwną tęczę, wirującą w szalonym pędzie przed swemi oczyma.

Trzeba poczekać, pomyślał — trzeba się dowiedzieć, co tu stoi.

Chwila głuchego milczenia w sobie samym, zupełnego odrętwienia.

Teraz! szepnął.

»Dłużej w twoim domu pozostać nie mogę«!

Co — co — co? zatoczył się, jak w pijanym transie — podszedł do elektrycznej lampy, która na biurku stała — wszystkiego nie był w stanie przeczytać, bo, jakby nagle oślepł — parę wyrazów tylko wpakowało mu się w mózg, gdyby ordynarne hufnale w kopyto końskie: »— pani Tańska ci powie — i...«

A! a! zacharczał.

W takim przerażeniu jeszcze żadna ofiara nie kryła się przed zabójczymi razami, jak on... w głowie mu się mieszało, z dna duszy wydobywały się niszczące, trujące gazy — schował się w jeden kąt — potem wbiegł do drugiego pokoju; zgasił szybko za sobą światło, i tu się nie czuł bezpiecznym; zakradł się z tysiącem ostrożności i podstępów do sypialni: padł na łóżko Niny, zerwał kołdrę, wtulił, wgrzebał się twarzą w poduszki, przesycone Niną, głaskał je i całował, bo zdawało mu się, że ma w rękach bogate, jedwabiste pasma jej złotych włosów, szarpał je i gryzł, bo tych włosów nie było — ryknął przeraźli-

wie nie płaczem, bo na to, co teraz czuł, płaczu nie było — i nagle oprzytomniał.

Znowu zapalił światło i potykając się o meble, taczał się, jak pijany z jednego pokoju do drugiego.

Zmiarkował nagle, że coś w ręku trzyma.

Aha! papier — list pożegnalny Niny.

Wytężył całą uwagę, by zrozumieć, co tam stało:

— »Nie szukaj mnie, bo napróżno... pani Tańska ci powie...«

Wściekły odruch nienawiści oprzytomnił go.

Straszliwy paroksyzm bólu minął, a w mózgu jego rozelśniła się gładka, szeroka tafla lodu.

Aha! pani Tańska... Była tu, wszystko Ninie powiedziała...

Zerwał się, zdawało mu się, że krew mu z oczu tryśnie.

— Pomszczę się! — zaciął zęby i czuł, że teraz w żaden sposób nie mógłby ich otworzyć.

— Pomszczę się! — powtarzał maniacko i zostawił drzwi mieszkania na oścież otwarte.

Czemu to robił — nie wiedział — czuł tylko, że się dziwne rzeczy w nim dokonują.

Gdy wyszedł na ulicę zapomniał, że poprzysiągł krwawą zemstę jakiejś pani Tańskiej, natomiast ogarnęło go jasne przeświadczenie, że musi spełnić coś, jakiś wielki, piękny

czyn — tak! czyn, godzien czystej, niepokalanej duszy Niny: czyn, którymby mógł dorość do jej wielkiej, niepojętej, tajemnej piękności.

Szedł przed się, jak odurzony, nogi go mechanicznie niosły i znowu znalazł się w przedsionku teatru.

Jasno stało się w nim nagle — słyszał, jak woźny do niego mówił:

— Jaśnie panie, już od godziny szukam jaśnie pana — urwał, przeraził się.

— Jaśnie panie, co panu jest?

— Czego chcesz? — Bielecki spojrzał na niego i całkiem oprzytomniał — uśmiechnął się łagodnie, bo przypomniał sobie, że dziś jeszcze ma spełnić wielki i święty czyn, godny Boga — Niny.

— Jaśnie panie — szeptał natarczywie woźny, wydawało mu się, że teraz ma nietylko prawo, ale i obowiązek zaopiekować się panem dyrektorem, który na całkiem trzeźwego nie wyglądał.

— Za kwadrans spektakl się kończy — jasnie pan będzie musiał koniecznie się na scenie ukazać, bo publiczność wprost waryjuje.

Opiekuńcza gorliwość woźnego wzruszyła Bieleckiego: dał mu sztukę złota, za którą woźny żarliwie go w rękę pocałował, a zimne, niezłomne postanowienie, że dziś już wiel-

kiego czynu, godnego Niny dokona, zrobiło go wielkim i istotnie mocnym człowiekiem.

Gdy kurtyna po ostatnim akcie zapadła, ogarnął całą publiczność nieopisany zachwyt i szczery entuzyazm.

Przedstawienie to nie miało dotychczas w Polsce czegoś, w przybliżeniu choćby, równego.

Zapomniano o aktorach, którzy może nigdy tak nie grali, jak właśnie w tym dniu — ponad wszystkiem zapanował niepodzielnie: Bielecki reżyser — dusza teatru.

Wywoływano go bez końca, posypał się deszcz kwiatów na scenę — a on się kłaniał jakby lunatycznym snem spowity, ściskał mechanicznie dłonie aktorów i aktorek, a gdy wreszcie znalazł się w swojem biurze — tak — tak: to się nazywało biurem dyrektora, a niema żadnej wątpliwości, że on był istotnie dyrektorem teatru — odetchnął głęboko.

Zwyciężyłem, pomyślał — warto było dla takiego zwycięstwa cały szereg niepotrzebnych zbrodni spełnić?! i Łusię uśmiercać i — i... głupstwo! pocóż miał po tysiączny raz wyliczać te małe głupstewka, które popełniał, by wreszcie osiągnąć to marne zwycięstwo, które zdołało mu zaledwie maluteńką dać satysfakcyę.

O innem zwycięstwie marzył teraz — do

całkiem innego prowadziła go Nina-Samotrake: pokusi się teraz o wawrzyny takiego zwycięstwa, jakiego żaden z zwycięzców nie odniósł!

Ten czyn, który dzisiaj spełni, wystawi go na czoło wszystkich tych, którzy dotychczas istnieli i którzy dopiero się rodzą, lub porodzić się mają — i gdziekolwiekby Nina się znajdowała, do niej też wieść o jego czynie dotrzeć musi i dotrze: tego był pewien.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi.

Wstał i otworzył uprzejmie.

— Całe towarzystwo, zebrane już w foyer, oczekuje pana dyrektora. Stół już zastawiony — mówił inspicyent.

— W tej chwili przyjdę.

Oglądnął się starannie w lustrze, zawołał woźnego, by wyszczotkował mu frak, zakurzony pyłem zakulisowym i wszedł do foyer, gdzie go tak zwana śmietanka inteligencyi i świata artystycznego gromkimi oklaskami powitała.

Bielecki się kłaniał machinalnie na wszystkie strony, ściskał serdecznie, wyciągnięte ku niemu wdzięczne dłonie, a nagle ujrzał w kącie foyer — Borsuka.

Zahaczyły się ich oczy — Bielecki bezwiednie prawie zwrócił się w jego stronę, jakby

wędkę połknął i teraz już koniecznie u stóp jego, na ląd wyłowiony, legnąć musi.

— Nie masz wyobrażenia, jak się cieszę, że cię tu dzisiaj widzę — mówił Bielecki.

— Ja tu się przypadkowo tylko znalazłem — całkiem przypadkowo — mówił Borsuk z przebiegłością obłąkańca i odwracał niespokojnie latające oczy od wzroku Bieleckiego.

Nie zwrócono na to uwagi.

Wszyscy zasiedli przy stole — Bielecki obok prezesa komisyi teatralnej. Czyn z Niny porodzony, majaczył bezprzestannie Bielecki, dziś jeszcze się dokona.

Jedzenia nie tknął, pił tylko, ale w miarę, im więcej pił, coraz staranniej i boleśniej trzeźwiał — a mimo to zdawał sobie dokładnie sprawę, że coś niezwykłego w nim się odbywało, że chwilami tracił świadomość tego, co się naokół działo, to znowu ją odzyskiwał, ale poprzez wszystkie te patologiczne stany rozbrzmiewał jeden potężny, nakazujący akord: dziś spełnić się musi!

Bielecki był ciężko roztargniony — śmiał się, gdy nie było ku temu żadnej przyczyny, marszczył się na komplimenty — robił wogóle ku ogólnemu zdumieniu, wrażenie człowieka, nie całkiem przytomnego.

Ale stan jego tłomaczono przemęczeniem — przepracowaniem, roztargnienie jego budziło

raczej współczucie i głęboką wdzięczność, a nikogo nie raziło.

Przy pierwszym kieliszku szampana podniósł się z miejsca prezes komisyi teatralnej i w uroczystem przemówieniu podnosił ogromne zasługi Bieleckiego, nietylko jako redaktora i wydawcy »Romowe«, które to pismo sławę i chlubę nazwiska polskiego rozniosło po całym świecie, ale i genialnego reżysera i dyrektora, który dziś już w całej pełni okazał, czem już w najbliższej przyszłości teatr polski się stanie — porównywał wystawienie »Irydiona« z najwięcej świetnemi przedstawieniami Stanisławskiego w Moskwie i Reinhardta w Berlinie, które on sam widział, a które nawet porównać się nie dadzą z tem, jakie dziś dał Bielecki.

Teraz nadeszła chwila wielkiego czynu, myślał Bielecki.

Gdy prezes ukończył swoją gorącą, entuzyastyczną przemowę, dźwignął się Bielecki ciężko z swego krzesła.

Zrobiła się wielka cisza.

Jakby makiem zasiał.

Bielecki ważył się jeszcze w sobie, a nagle mocny — zwycięski wybuchnął:

Szanowne Panie i Panowie!

— Odetchnął głęboko — jeszcze się chwilę

zawahał, ale Nina wołała: mów, mów wszystko! i już na nic nie zważał.

— Powołaliście mnie na stanowisko, któremu — aż nadto po pierwszej próbie jestem tego świadom — podołać mogę.

— Brawo! Brawo!

Czego oni tak wrzeszczą, jeżeli nie wiedzą, co za chwilę posłyszą? pomyślał Bielecki zdziwiony.

— Ale dokładnie nie znacie człowieka, którego oklaskami darzycie, którego dzisiejszą ucztą fetujecie — umyślnie użył banalnego wyrażenia: fetowanie — a któremu poza umiejętną bezsprzecznie reżyseryę, całkiem niezasłużone honory oddajecie.

Nie posądzano Bieleckiego aż o taką skromność, a raczej spryt, więc rozległ się chóralny śmiech:

— Brawo! brawo!

Bielecki rozejrzał się spokojnie, sennie po zgromadzeniu i ciągnął rzecz dalej w ten sposób:

— Społeczeństwo polskie ma obowiązek, kontrolować czyny tego, którego wysuwa na jeden z najważniejszych posterunków, a w tym wypadku mój posterunek...

Urwał i zamyślił się.

Ogólnie zauważono, że Bielecki jest bardzo zręczny w swojej mowie, nie wiedziano tylko jeszcze, dokąd zdąża.

— Rozmaite pogłoski, podziemne szmery, detektywne działania pana Hedery-Surzyckiego — syntezy, którą ja ochrzciłem zbiorową nazwą Uhery — mają istotną i rzeczywistą podstawę.

Całe zgromadzenie wybuchnęło znowu śmiechem, bo Bielecki tak bajecznie ironizował legendy, które o nim krążyły.

— Przedewszystkiem — mówił Bielecki, jak w lunatycznym śnie — muszę się przyznać, że dwa dramaty, które pod swojem nazwiskiem wystawiłem, całkiem nie wyszły z pod mego pióra, bo ja tworzyć nie mogę — są one własnością św. p. Górskiego, którego nazwisko nieraz już o wasze uszy się obiło, a którego ja rozmyślnie do samobójstwa pchnąłem.

Zrobiła się wielka cisza, tylko ktoś na cały głos się roześmiał: tak kapitalnym wydał mu się dowcip Bieleckiego.

— Ponieważ jednak — Bielecki mówił znużonym, poważnym głosem, który wykluczał wszelaką możliwość dowcipu i ironii — w chwili, gdy przywłaszczałem sobie dwa dramaty Górskiego, znalazł się w jego mieszkaniu świadek: ówczesna moja kochanka Łucya Szumska, więc musiałem się tego niewygodnego świadka pozbyć, a uczyniłem to w ten sposób, że barką, którą jechałem z św. p. Łucyą w golfie Spezii, umyślnie najechałem na motor wojskowy i po

krótkiej walce Łucyę zatopiłem, sam się, dzięki umiejętności wytrwałego pływania, wyratowałem.

Bielecki spojrzał z uroczystym tryumfem wokół siebie — teraz już śmiać się przestano — wszystkie twarze popielały i kamieniały·

— Wiedząc atoli, że jakaś część manuskryptów Górskiego, któreby mnie zdradzić mogły, jest w posiadaniu Łucyi, wywiozłem ją, a rzeczy jej wraz z onymi manuskryptami złożyłem w atelier, które dla pana Borsuka wynająłem: umyślnie w domu, położonym nad szopą siana.

Chcąc zniszczyć te ślady literackiej czynności Górskiego i społeczeństwo zarazem w błąd wprowadzić, że tam jakiś trzeci i czwarty dramat przezemnie napisany — również w onem miejscu był złożony, poleciłem Adzie Karskiej, której pamięć jeszcze pewno nie spłowiała — szopę z sianem podpalić i tym sposobem zniszczyłem cały długoletni dorobek tak wielkiego artysty, jakim jest Borsuk. I z tego najhaniebniejszego grzechu, z tej najcięższej zbrodni przed wami się, szanowne panie i panowie, uczciwie spowiadam.

Chwytał powietrze, gdyby karp na ląd wyrzucony i znowu obejrzał się po zgromadzeniu z wielką, uroczystą powagą. Zdołał wresz-

cie spełnić czyn, godny tego, którego Nina ukochała, a nie czekając jego spełnienia, odeszła.

Widział, jak we śnie, jak Borsuk cichymi krokami do niego się zbliża — witał go przyjaźnie oczyma, jakby go po latach całych co dopiero ujrzał, widział, jak oczy Borsuka obłąkańczo latają, jak sięga do kieszeni i rewolwer z niej wyciąga i cała dusza zaśmiała mu się nieziemskim tryumfem.

Zaległo tak straszne milczenie, że w tej głuchej, pustynnej ciszy ludzie się pogubili — wszystko mu znikło z przed oczu — nic już nie widział — tylko czuł, że się ku niemu ktoś zbliża — może Borsuk, może kto inny — czuł zimno lufy rewolwerowej tuż obok swej skroni — ale nie drgnął nawet — posłyszał jakiś huk — grzmot — i wywrócił się na wznak.

Jeszcze rękoma załopotał w powietrzu: błogość śmierci opadła ciężko na jego powieki.

KONIEC.

F.J.B. & CO.
JAN. 1918
BINDERS